

1933
rok założenia

8g... ..zawj

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

KAMENA

KWARTALNIK KRESOWY

NR 1 (925) 1989

Czes. 2552/1989/1

CENA 300 ZŁ

W numerze:

- Ireneusz J. Kamiński: „Kamena wraca do Chełma” [1]
Włodzimierz Sedlak: „Byłem w raju” [2]
„Wiedziałem już, co to wojna” – rozmowa z dr. Marianem Radajewskim [6]
Mieczysław Wieliczko: „Linia czterech rzek 1939” [8]
Edward Osóbka-Morawski: „Granice 1944” [12]
K.: „Wileńscy artyści 1919–1945” [15]
Henryk Radej: „... jakbym Chełma nigdy nie opuścił – Wacław Iwaniuk” [16]
Eugeniusz Janas: „Szlachta – szkic do portretu” [18]
Felieton kwartalny:
Jastrzębiec: „Jestem Amerykanin!” [22]
Felieton obrazkowy [23]
„Chełm poetycki” [24]
„Kresowe manewry konserwatora” – ostatni wywiad ze Zbigniewem Rewskim [26]
Zbigniew Rewski: „Co się dzieje z barokiem na Wołyniu” [29]
Aleksander Jakimowicz: „Sztuka i mentalność Rosji” [31]
Okolice sztuki:
IJK: „Moskiewski oczopląs” [34]
Notatnik słownikowy:
Mieczysław Buczyński: „Ociec – otec – ojciec” [36]
Michał Sajewicz: „Język to krew narodu” [37]
Jerzy Górny: „Żywi i truje” [40]
Rozmaitości kresowe [43]
Kronika wschodnia [45]
Regionalny słownik biograficzny:
Konstanty Prożogo: „Aleksandra Jentysówna, Maria Orsetti, Kiejstut Žemaitis” [47]

Od redaktora:

W 56 rocznicę swoich narodzin „Kamena” wraca oto do Chełma, gdzie zaczęła ukazywać się w roku 1933 z inicjatywy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, którego wspomagał Zenon Waśniewski.

BYŁEM W RAJU

WŁODZIMIERZ SEDLAK:

Według odwiecznej filozofii żydowskiej – nigdzie się jeszcze nie narodził wielki człowiek. Safrin w Chełmie Lubelskim zbierał wiadomości o wybitnych osobach i zapytywał w urzędzie stanu cywilnego, czy kiedyś narodził się w Chełmie wielki człowiek. Prowadzący księgi ludności Izraelita odparł: – Jak tutaj pracuję 30 lat, to zawsze rodziły się tylko małe dzieci.

LINIA CZTERECH RZEK 1939

MIECZYŚLAW WIELICZKO:

W tym czasie Ribbentrop gotował się do lotu specjalnym samolotem z Berlina przez Królewiec do Moskwy, gdzie przybył w południe 23 sierpnia, na lotnisko Hudynka. Powitany został przez Władimira P. Potiomkina, wicekomisarza spraw zagranicznych, pośród ogromnej gali flag wypożyczonych z... „Mosfilmu”, bowiem nie tak dawno kręcono tu film o tematyce antyfaszystowskiej.

GRANICE 1944

EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI:

Na krótko przeszliśmy do pokoju obok (przypuszczałem, że podsłuchy mogą być tam zainstalowane) i oświadczyłem, że jeżeli nie otrzyma Polska Puszczę Białowieskiej, to ja będę czuć się zmuszonym do rezygnacji z funkcji przewodniczącego PKWN, gdyż bez Puszczy nie uważam granicy za sprawiedliwą i nie znalazłbym w sobie dość sił duchowych, aby ją usprawiedliwić przed narodem.

SZTUKA I MENTALNOŚĆ ROSJI

ALEKSANDER JAKIMOWICZ:

Siły represyjne nie miałyby żadnej trudności w zniszczeniu artystycznego „podziemia” całkowicie i w każdej chwili. Zdolności destrukcyjne zademonstrowano przekonująco w 1974 roku, kiedy to w przeciągu kilku zaledwie minut rozbito nonkonformistyczną wystawę na otwartym powietrzu w Moskwie, rozpraszając bądź aresztując artystów i publiczność.



Fragment kolekcji polskiej sztuki współczesnej w Muzeum Okręgowym w Chełmie. Zainicjowana siedemnaście lat temu, kiedy w tymże muzeum otwarto działającą do dziś „Galerię 72”, liczy obecnie około 1000 obiektów, autoryzowanych przez czołowych artystów kraju. Kolekcja jest metodyczna i elokwentna, dobrze przedstawia co ważniejsze tendencje i postawy w sztuce po II wojnie światowej, pomijając tylko „nową ekspresję” lat osiemdziesiątych. Warto ją obejrzeć z powodów zasadniczych, ale i dlatego, że w niezbyt odległej przyszłości muzeum zmuszone będzie opuścić swoją dotychczasową siedzibę w budynku stanowiącym własność Kościoła.

Notujemy ponadto, że w tym roku w „Galerii 72” czynne były wystawy następujących artystów: Teresy Murak, Dariusza Lipskiego, Tadeusza Gustawa Wiktora, Istvana Haasza, Kazimierza Ostrowskiego, Ryszarda Ługowskiego. (K)

Założyciele pisma: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI I ZENON WAŚNIEWSKI

Redaguje zespół:

Ireneusz J. Kamiński – redaktor naczelny

Stanisław Duszak, Jerzy Górny

Henryk Radej

Adres redakcji:

22-100 Chełm, ul. Lubelska 57

Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów w tekstach przeznaczonych do publikacji. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca autorom.

Warunki prenumeraty podamy w następnym numerze.

»Pismo wydawane przez Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej z dotacji Funduszu Rozwoju Kultury.

Skład, przygotownia offsetowa, blachy: Wydawnictwo Polonia – Oddział w Lublinie, druk: Spółdzielnia „Kartograf” w Krasnymstawie.

1933
rok założenia

205. 2552/1889/1

KAMENA

WRACA DO CHEŁMA



W 56 rocznicę swoich narodzin „Kamena” wraca oto do Chełma, gdzie zaczęła ukazywać się w roku 1933 z inicjatywy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, którego wspomagał Zenon Waśniewski.

Jakie będzie, jakie może być to pismo, zaopatrzone w nowy podtytuł: „kwartalnik kresowy”?

Łatwiej odpowiedzieć na pytanie, czego nie będzie w „Kamenie”. Nie skorzystamy jednak z tego ułatwienia, bo kryje ono pospolitą kokieterię. Wypada nam przecież oznajmić, że nie zamierzamy roztrząsać sprawy zlikwidowania lubelskiego wcielenia pisma. Uważamy tę kwestię za zamkniętą w grudniu 1988 roku, a co najwyżej wartą uwagi historyków badających dzieje głupoty i zdziczenia obyczajów w Polsce, gdzie faktyczna dekapitacja tłumaczona bywa publicznie i bez żenady jako „samolikwidacja”.

Powróćmy jednak do tego, co zwie się programem czy profilem wydawnictwa.

Mówiąc szczerze, a o to chyba wreszcie chodzi, czterosobowy, jak dotąd, zespół redakcyjny dorobił się ledwie szkicu do owego programu. Mało?! Proszę nam zaufać, o profilu i jakości każdego pisma decyduje praktyka, realne możliwości redakcyjne i autorskie, wreszcie charakter szeroko rozumianej wrażliwości dookólnego środowiska społecznego, a nie kartka papieru z iluminacją w formie urzekającej mądrością koncepcji.

Oczywiście, mamy kilka pomysłów na pismo. One są, nie splonęły w czasie pożaru jedynej chełmskiej drukarni. Inna sprawa, że ten gorący przypadek poważnie opóźnił wydanie pierwszego numeru „Kamena” i w ogóle zdemolował dokładnie przygotowaną kompozycję problemową wszystkich kolejnych, tegorocznych edycji. Biednego to i ogień nie ogrzeje. W końcu przecież, może poruszone rozpaczliwym stanem naszych nerwów, produkcją kwartalnika zajęły się dwie renomowane firmy: lubelski oddział Wydawnictwa Polonia (skład komputerowy, przygotowalnia offsetowa) i krasnostawska spółdzielnia „Kartograf” (druk).

W tym miejscu chcemy zaznaczyć, że wydawcą pisma jest Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej, jedno z najstarszych towarzystw regionalnych w Polsce, skupiające ludzi oddanych tej Ziemi, która w przeszłości sięgała daleko poza obecne granice województwa, obejmując m.in. Zamość. Nie od rzeczy też będzie wspomnieć, że inicjatywa wznowienia „Kamena” w Chełmie wyszła od tutejszych władz politycznych.

Jest zatem szkic do programu, na pewno są pomysły na pismo. Ad rem.

Przyjmujemy za oczywiste, że długoletnia, bezprecedensowa biografia tytułu, przyjazny na ogół rezonans, jaki powoduje on w świadomości czytelników prasy periodycznej w Polsce, zobowiązują nową edycję „Kamena” do przyjęcia roli spadkobierczyni i kontynuatorki tego wszystkiego, co w historycznym dorobku wydawnictwa jest cenne i trwałe z dzisiejszego punktu widzenia. Żyjemy przekonanie, że obiektywne spojrzenie bez trudu odnajdzie takie wartości w każdym okresie czasopisma, którym kolejno kierowali: Kazimierz Andrzej Jaworski, Maria Bechcysz-Rudnicka i Marek Adam Jaworski, syn założyciela „Kamena”, pełniący zresztą funkcję redaktora naczelnego najdłużej, bo 23 lata (1965–1988).

Chełmski kwartalnik kresowy powinien jednak ukształtować własny, oryginalny profil.

Łatwo powiedzieć: „oryginalny profil”! Widzimy przecież drogę do tego celu – przez skupienie uwagi redakcji na dwóch zasadniczych obszarach problemowych.

Pierwszy wyznacza kultura humanistyczna i takie inne sfery życia zbiorowego, w których postacią centralną jest człowiek: jednostka myśląca i czująca, tworząca historię, ale i niszczona przez nią, obdarzona świadomością ekologiczną.

Drugi określa kulturę narodów słowiańskich, zwłaszcza sąsiadujących z Polską, oraz polskie dziedzictwo kulturowe i współczesne sprawy Polaków żyjących w tych krajach.

„Kamena” od zarania, choć w bardzo zróżnicowanym stopniu, interesowała się kulturą Słowian, głównie literacką. Kwartalnik kresowy będzie to czynił inaczej – w znakomicie szerszym zakresie problemowym, zgodnie z duchem czasu, nie unikając kwestii obustronnie drażliwych czy wręcz bolesnych. Obce są nam przecież tendencje rewindykacyjne i próby rozdrapywania ran zablźnionych. W miarę możliwości będziemy dążyć do tego, by idea „wzajemnego zrozumienia” przestała być wreszcie politycznym frazesem.

Pragniemy zbudować pismo tyle regionalne, co ogólnopolskie, a jednocześnie przyciągające uwagę zagranicznych sąsiadów. Trudne zadanie, owszem, ale co robić, skoro łatwe już dawno zostały rozwiązane.

Dla realizacji tych celów redakcja zamierza pozyskać inteligencję chełmską, publicystów, twórców kultury symbolicznej i nauki z innych ośrodków kraju, a także zza granicy.

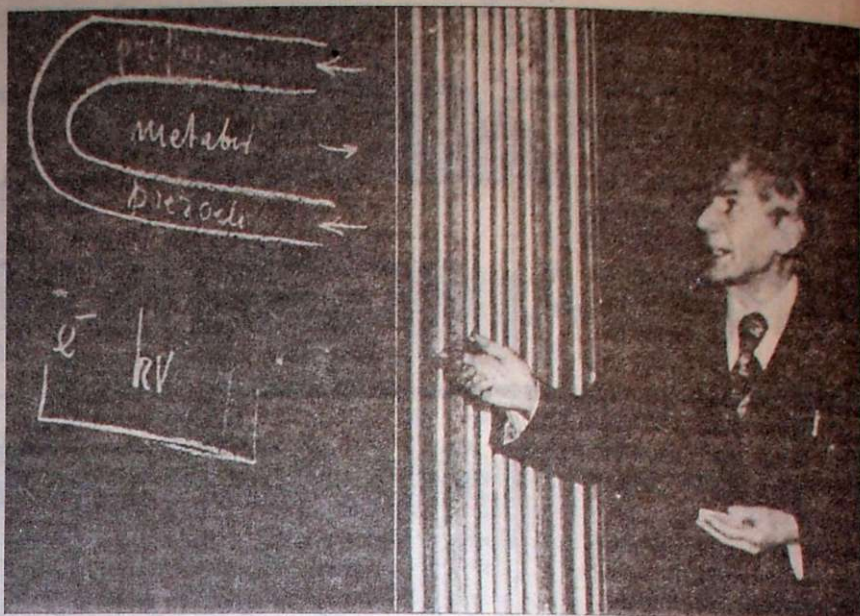
Ostatecznie chodzi o to, by kwartalnik kresowy „Kamena” stanowił ważny merytoryczny i atrakcyjny formalnie fakt edytorski, a zarazem – instytucję, z której programem utożsamia się inteligencja Ziemi Chełmskiej, w ogóle ludzie myślący, skłonni do wymiany poglądów i zabierania głosu w sprawach publicznych: współczesnych lub zanurzonych w historii, acz tak zmysłnie skonstruowanych przez przodków, że nieustannie wylaniających się na powierzchnię życia.

Numer 1 kwartalnika, który kierujemy właśnie pod krytyczną uwagę Czytelników, przygotowaliśmy „po domach”, w lokalach życzliwych nam urzędów i w pociągu relacji Chełm – Lublin – Warszawa i z powrotem. Wiele wskazuje na to, że następne zredagujemy już pod własnym dachem.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

BYŁEM W RAJU

WŁODZIMIERZ SEDLAK



Autor „Homo elektronicus” w roli dla niego zwyczajnej...

Według odwiecznej filozofii żydowskiej – nigdzie się jeszcze nie narodził wielki człowiek. Safrin w Chełmie Lubelskim zbierał wiadomości o wybitnych osobach i zapytywał w Urzędzie Stanu Cywilnego, czy kiedyś narodził się w Chełmie wielki człowiek. Prowadzący księgi ludności Izraelita odparł: „Jak tutaj pracuję 30 lat, to zawsze rodziły się tylko małe dzieci”.

Coś podobnego wydarzyło się jeszcze przed I wojną światową w Sosnowcu. Jako trzeci narodził się u Elżbiety i Pawła Sedlaków, po Edycie i Henryku (zmarł w niemowlęctwie) narodził się przepisowo mały Włodzimierz Henryk, nazwany od razu Waldkiem. Chrzestnymi rodzicami byli Otto i Klara Brendel z Katowic, jak głosił grawerowany wiatrak srebrny, pomyślany jako skarbonka. Był dzień 31 października i matka wybrała ów dzień, by w 1911 roku urodzić Waldka. Na szczęście nie był to jeszcze wówczas Międzynarodowy Dzień Oszczędności.

Mały chował się chyba zdrowo, skoro dotrwał do dzisiaj. Miał dwa zwyczaje, bardziej instynktowne niż „przemysłane”. Długo ssal piersi matczyne i jakoś okres nasycenia się smaku nie mijał. Matka pozbyła się parazyta całkiem po domowemu i skutecznie. Posmarowała sutek musztardą. Od tamtej pory nie bardzo mi „idzie” musztarda.

Drugi pomysł Waldka – przy bolącym zębie ucieczka na kolana matki, przyłożenie jej dłoni do policzka. Autentycznie – ból mijał. Waldek był mimo wszystko dostatnio „natłuszczony”, gdyż w dobroćliwości przezywali go burmistrzem, co w gwarze śląskoniemieckiej fonetycznie lepiej brzmiało – Herr Bürgermeister. Czyli już stanowisko. Nie trzeba się będzie na starość uganiać za fotel.

Pan – Burmistrz miał kiedyś potrzebę dotaszczyć wodę do ogródka. Emaliowany dzbanek od kompletu umywalnianego najpierw zjechał po schodach, „burmistrz” podążył za nim na brzuchu. Prócz płaczu nic się nie stało, gdyż dobry Bóg specjalnie czuwa nad głupimi, dziećmi i pijakami.

Nie lubił mycia się, bo służąca (jeszcze nie było pomocy domowej na świecie) ciągnęła mydliny od brody do czoła, zapychając po drodze dziurki od nosa.

Kopistą był doskonałym. Widząc w starym browarze przerobionym na kaplicę odprawianie mszy świętej, odtworzył liturgiczne szczegóły zastępując oryginały stołeczkiem, a za ornat służył

rzęznik. Autentyczne było jedynie śpiewanie, choć w nieznanym języku. Do szybkiego zaśnięcia służyła zapowiadana przez służącą groźba wściekłego parowozu.

Nie wiadomo dlaczego spośród wszystkich obrazów oglądanych oczyma dziecięcymi, najplastyczniej zakodował się moment obierania ziemniaków przez Edytę. Garnek stał na stołeczku, Edyta siedziała na drugim i obierała ziemniaki. „Dzidka, co trzeba zrobić, żeby iść do nieba?” „Zjesz trzy surowe kartofle.” „Naprawdę? Nie kłamiesz?” Dzidka umiała mieć poważną minę. Zawijam rękaw u prawej ręki, sięgam garnka, wybieram mniejszy albo najwyżej średniej wielkości. Widocznie z obawy, aby się za szybko do nieba nie dostać. Drugi też poszedł. Przy trzecim okazało się, że nie chcę nieba za taką ofiarę. Może całe szczęście? W każdym razie ta ziemniaczana metafizyka poza ładną kolorystyką życia dziecięcego, nie jest chyba pozbawiona sensu. Metafizyka ziemniaczana? Czy tylko? A potem?

W międzyczasie urodziła się Lidia 1913 i potem Maria 1915. Nie pomnę, kiedy nastąpiła przeprowadzka z gospodarstwa kopalni „Renard”. Według opowiadań, miało to nastąpić przed urodzeniem się Lilki. Mieszkaliśmy przez ścianę z oborą, Edyta pamiętała doskonale pobrzękiwanie łańcuchów. Obok były stajnie. Wózki kopalniane ciągnęły konie zwożone do kopalni na wieki. Tam ginęły, wcześniej ślepy od ciemności.

Narodzenie Maryśki już pamiętam. Ojciec zaprowadził mnie do sypialni. Pamięcią widzę jeszcze pudełko z gilzami większych rozmiarów, bo zawierało 100 sztuk. Palacze sami nabijali tytoń do gilz specjalną prowadnicą dwuczęściową na zawiasach, z popychającym tłoczkiem.

Waldek na ogół był lęklivego ducha, nie bywał zadziorny, prócz momentu wkładania wełnianego swetra bezpośrednio na ciało. Rwał wtedy, targał, bo drapie. Pamiętam dwór gospodarczy „Hr. Renard”, gdzie stały rzędem wozy, bryczki, powozy. Wzrost był wymierzalny poziomem dyszla nad ziemią, co po przeliczeniu jak raz pasowało do wzrostu Waldka, a raczej jego czoła. Indyki... prawdziwe. W tył zwrot i w nogi... prosto czołem o żelazne okucie dyszla. Naturalnie bek, który paraliżował ucieczkę.

Martwa przyroda również była przyczyną strachu, zwłaszcza rzeka Przemsza, którą musiał mijać idąc przez most na lekcje lub wracając. Przy wezbraniu wody i wieczorem, kiedy się kontury

fali zatracają w zmroku, Przemsza napawała strachem. Z tego ostatniego zostało coś we mnie, nie mam przekonania do rzeki.

W pamięci utkwiał olbrzymi czerwony księżyc podczas wieczornego spaceru z rodzicami. Kiedyś ojciec zabrał nas do Strzyżowic, gdzie był płatnikiem, bo nikt nie chciał jechać w obawie napadu. W pamięci utkwily światła wieczorem, niektóre czerwone, inne zielone. Ojciec nigdy nie zabierał Kozaków jako obstawy kasy. Wywiązywała się wtedy walka. Zawsze jakoś sposobem i unikami przedostawał się. Nie brał też bryczki z grawerowaną tabliczką „Kopalnia Hr. Renard”.

Nie wiem, kiedy Sosnowiec na skutek działań wojennych uwolnił się od żołnierzy rosyjskich, a ich miejsce zajęli Niemcy. W domu były podręczniki rosyjskie, z których uczyła się Edyta. Po rosyjskim zaborze została paczka rubli papierowych, którymi długo jako dzieciaki płaciliśmy za towary podczas zabawy w sklep.

Ojciec został powołany do wojska niemieckiego. Odprowadzamy go na stację; Maryskę matka miała na ręce. Musiało to być około początku roku 1916, bo Maryska nie miała chyba pełnego roku. Obskurny dworzec kolejowy, drewniany, malowany ugiem. Całe życie pamiętam ten dworzec. I kiedy po wielu latach byłem w Sosnowcu, dworzec wyglądał identycznie, jak go dziecinne oczy widziały. Podobny dworzec może mieć jeszcze Rozwadów i Oxford. To pamiętam z pobytu w Anglii w 1960 r.

Ojciec został kanonierem w ciężkiej artylerii na froncie niemiecko-francuskim. Wojna była faktem rzeczywistym. Pisywał z Francji. Nie rozumieliśmy, że na froncie się ginie. Pomnę jedną paczkę

nadawaną do ojca. W płaskiej butelce była wódka. Urzędniczka zakwestionowała przyjęcie. Trzeba się było zasłonić śmietaną, która bulgoce. Świat był jeszcze piękny, urzędniczki pocztowe wierzyły w konieczność śmietany do zwycięstwa na wojnie.

Jedyną mężczyzną teraz w domu, dawny burmistrz, staje na wysokości zadań. Matka weszła podczas proklamowania patriarchatu w domu. Czteroletni Waldek tupnął nogą i wzorem najklasyczniejszych tyranów rzekł: „Żebyś wiedziała, że ja tu jestem teraz panem”.

Minął rok. Schodami wchodzą ciężkie buty. W drzwiach staje ojciec w mundurze. Dyrekcja kopalni go wyreklamowała z wojska.

Chyba w 1917 roku w „czerwonym” biurze naprzeciwko naszych okien stacjonowali legionieści. Jeden z nich, Barański, bywał u nas często. Po krótkim czasie był wymarsz legionów z Sosnowca. Matka podarowała Barańskiemu kawałek sukna potartego o grób św. Piotra w Rzymie. Była to pamiątka po którymś bracie ojca, który studiował teologię w Rzymie, nie został jednak księdzem.

Bez echa wspomnieniowego minął pokój wersalski i niepodległość. Otrzymaliśmy jeszcze kilka pokoi. Pamiętam malowanie. Radość dużej przestrzeni nie trwała długo. Pewnego dnia zauważamy, że rodzice sprzedają wiele rzeczy. Matka kupuje dużą wiszącą lampę naftową. Dowiadujemy się, że wyjeżdżamy do Suchedniowa. Nie wiemy nic, może prócz Edyty, że ojciec stracił pracę. Pamięć zatrzymała tylko pani Radowską z charakterystycznym trzymaniem palców u dłoni. Dwa środkowe palce zgięte do dłoni, reszta rozczapierzona. Czy była to pani z jakiegoś komitetu, tego nie wiem. Ale pani Radowska odegrała jakąś rolę w utracie pracy.

Był chyba początek roku 1919. Pierwsza jazda pociągiem w nieznanie. Dziwne, ale odznaczam się dobrą pamięcią kolejarza. Dworzec w Sosnowcu po raz drugi oglądany. Tunel, zbiegające się w dali tory do Sosnowca i tylko jeden odgałęział się (jak się później okazało, do Krakowa).

Drewniany dom w Suchedniowie. Zaraz obok fabryka garnków glinianych. Studnia wbudowana w komórkę. Wodę dostawało się długim drągiem. Szara menażka wojskowa kanoniera Sedlaka przydała się do takiej próby. Studnia cembrowana deskami porośniętymi grzybami. Woda nie do picia bez przegotowania. Za domem łąka duża na dziecinne stopy. Kwietna łąka. Dalej wąski strumyk. Po prawej urwisko wyerodowane przez rzeczkę. Działało to nieco lekko na dzieci.

Matka – kapłanka od naftowej lampy – zapala tę dziwną konstrukcję, nie widzianą dotychczas w naszym domu. Fabryka naczyń glinianych była pierwszym zakładem pracy zwiedzonym przeze mnie. Ręczna robota na wirującym kole popychanym nogami. W korycie metalowym glazura do polewania. Chyba pod koniec naszego pobytu w Suchedniowie mówiono już o produkcji kamionkowej, a może ją rozpoczęto w niewielkiej ilości.

Suchedniowski pobyt obudził w nas zamiłowanie do naturalnej przestrzeni. Poza wspomnianą łąką bywaliśmy często z matką na wycieczce w suchedniowskich lasach. Biedny pobyt w Suchedniowie osładzał ojciec kupnem blaszanek po landrynkach z cukierkowym kruszywem na dnie.

W pamięci całego życia tkwi wieczorny spacer z rodzicami i znajomymi groblami stawu berezowskiego z kumkaniem bezmiaru żab. Przejeżdżając jeszcze dzisiaj na Święty Krzyż przez Suchedniów, ze wzruszeniem oglądam pradawny dom drewniany, przebudowany komin wytwórni naczyń kamionkowych, sklep spółdzielczy, słodki dla nas sklep związany z pamięcią o ojcu. Mijając berezowski młyn mimo woli przychodzą mi na pamięć żabie koncerty pełne upojenia, dochodzące ze stawu. Nie ma już łąki z uroczym strumykiem... i naszym dzieciństwem. Uro-

... tu zaś w roli jakby filmowej



dzinowa książeczka z wierszykami dla dzieci i utkwionym tytułem w pamięci – „Niezapadki modrej kwiecie”...

Suchedniów był biedny, ale uroczy w beztroście. Trzeba było jednak pomyśleć o nauce. Dotychczas Waldek posiadał jeden „dyplom naukowy” z prywatnych lekcji w Sosnowcu. Nauczyciel Martin wypisał „cyrograf” oświaty ręcznie, z wynikami bardzo dobrymi w języku niemieckim, jednak z polskim językiem. Nie pomnę daty wystawienia.

W Suchedniowie uczyła mnie pani Elżanowska. Drewniany, poczerniały domek stoi do dzisiaj przy drodze wiodącej do berzowskiego młyna. Może wyniki byłyby lepsze, gdyby nie... gęsi. Autentycznie. Przyszły bohater alfabetu zawracał z drogi. Na zapytanie matki padała nieodmienna relacja – „gęsi na drodze”. Wstydziłbyś się, taki chłopak i boi się gęsi. „Ale one szczypią.” Trzeba było nadal mijać drugą stronę drogi. Na nie odrobione zadania domowe znowu pani udzielająca lekcji słyszała niezmiennie alibi – „bo mamusia...” Co pani, nie pozwala synowi odrabiać w domu lekcji? Ciągłe to słyszę. Nie ma dalszego ciągu przeszkód w edukacji.

Rozumie się powoli nowelkę „Za chlebem”, kiedy własny ojciec przemierza codziennie 10 km wracając z pracy. Jeździł do niej wczesnym rano pociągami.

Suchedniowska idylla niezbyt długo trwała, bo chyba niecałe dwa lata i trzeba było się wynosić do Skarżyska-Kamiennej, gdzie ojciec pracował już od około roku w Odlewni Witwickiego. Zamiast przymierać głodem, trzeba się przenieść.

Mieszkanie w piętrowym drewniaku. Na parterze obok zamieszkiwała żydowska rodzina Wołowskich. On krawiec. Nad nami trzy starsze panny z częstą potańcówką. Matka stuknęła miotłą w sufit późnym wieczorem. Obok na piętrze kolejarska rodzina Markiewiczów.

Dwa pokoje i kuchnia. Dziurawe podłogi były doskonałym schronieniem myszy, a jeszcze bardziej szczurów. Sufit w kuchni przeciekał. Wstanie w nocy za swoją potrzebą było ryzykiem lęku, że spotka się szczura, a na pewno rozdepcze kilkanaście karaluchów. Podłoga po zaświeceniu naftowej lampy była ruchoma, z odcieniem czarno-fioletowym.

Wyżywienie jak na supernędzę wystarczające. Trzeba było spożytkować niewielką ilość mąki razowej. Upieczony w duchówce chleb był bezkonkurencyjnym zakalcem o konsystencji gliny. Do kraszenia potraw najtaniej kalkulował się tój woli lub barani, nie używali go Żydzi. Krzept już na łyżce prowadzonej do ust albo najpóźniej na podniebieniu. Długo trwało odżywianie się krwią drobiu zbieraną u żydowskich rzeźników i upieczoną na tłuszczu. Miała tak obrzydliwy smak, że do dzisiaj go czuję. Chyba dzieci Sedlakowej buntowały się przeciw jedzeniu tego. Wszechwładna sacharyna dwu gatunków – lepsza krystaliczna rzadsza i tabletkowana.

Palta i buty przechodziły swą kolejność nienaruszalną. Najpierw dostawała Edyta, za nią otrzymywał Waldek buty i palto. Od Waldka Lilka, od niej Maryśka. Ubranie matka przesywała, jak palta albo przerabiała starocie ojca na jedyne syna. Zanim Maryśka buty otrzymała, brakowało im sporo do ich nazwy. I to w naszych butach bardzo długo utrzymywało się tyle wody, co poza butami, choć w domu zagrzewała się nieco.

Opatrzność Boża chyba sobie upodobała to ludzkie gniazdo, bo nikt nie chorował. Nikomu nic nie dolegało i najważniejsze, nikt nie cierpiał na brak apetytu. Lilka jeszcze długo zbierała skórki chleba ze śmietnika albo resztki nadające się do jedzenia nie odczuwając wstrętu. Nie przesada. Jadała też muchy, którym wrywała skrzydła, żeby nie uciekały z blachy kuchennej w czasie

przypiekania. Do takiego bohaterstwa jednak nie dorosłem. Nie brzydziła się też, jeśli w resztkę kawy mlecznej znajdowała kilka utopionych prusaków. Odcedzała je w zębach i wypluwała. Taką siostrę mieć w nędzy, to prawdziwy majątek.

Przez dwa lub trzy lata wystawialiśmy w kuchni Markiewiczów, zwłaszcza gdy mieszano groch z kapustą w dużej emaliowanej waniencie. Markiewiczowa szykowała jedzenie na parę dni. Coś się tam oberwało nam, bo oczy dzieciaków wyskakiwały i tarzwały się rozkosznie widokiem. Kiedy indziej znowu było pieczenie placków ziemniaczanych na tłuszczu. Trzymało się to w palcach choć gorące, ale nie było zdarzenia, żeby kto to gorąco na podłogę upuścił.

Koleżeńska rada podwórkowa uchwaliła, że nadaję się do drugiej klasy. Tak też zrobiłem. Była pierwsza komunika w szkole. Ku wielkiej radości nie zdałem egzaminu. I tak nie byłoby w czym pójść do tej uroczystości. Za to od kolegi Chlewińskiego, z którym wypadło siedzieć w tej samej ławce, przyniosłem spory kontyngent wszy ubraniowych. Pierwsze zabawienie się w metodę ilościowego stwierdzenia gniecionych przez matkę wszy.

Życie poniżej biednego. Zimą pojedyncze okna zamrożone grubą warstwą lodu drapały dzieciaki stołowymi łyżkami. Matka nie wyganiała w mroźne dni do szkoły, gdyż nawet umycie się z samego rana było niemal niepodobieństwem. Kiedyś podczas mycia urwał się kawałek sufitu z bezmiarem karaluchów wprost na moją głowę. Na cześć karaluchów już się tego dnia nie poszło do szkoły.

Pierwsze pojęcie o zoologii zdobywałem więc na praktycznych lekcjach, na przykładzie dwu grup systematycznych – gryzoni i owadów. Pociechę w smutnych nocach pełnych lęku, czy szczur nie będzie zdobywał mojego żelaznego łóżka, umiał dźwięk skrzy piec w sąsiednim drewniaku. To Żydek Berkowicz ćwiczył swe wirtuozostwo o jakiegokolwiek godzinie dnia i nocy, burzy, deszczu czy upału. Jakoś ta żarta przez wszy dusza Waldka nabierała muzyczności, zapomnienia o codzienności. Wyżywienie duchowe nader obfite. Spożywcze mniej niż zebracze.

W Wigilię Bożego Narodzenia, w niespełna rok po przeniesieniu się rodziny do Skarżyska, na biurko ojca leżało wymówienie pracy u Witwickiego. Ręka i przekleństwo Radowskiej widocznie daleko sięgały albo ojciec był zbyt sumienny i podawał miejsce urodzenia Zabrze, jak było faktycznie. Zabrze nie leżało w polskich ziemiach, a w dodatku dawny kanonier niemieckiej artylerii nie miał prawa zajmować miejsca pracy. Z biegiem czasu zauważyłem, że ojciec urodził się w Poznaniu. Było to strawniejsze.

A propos obywatelstwa. Całą długą niewolę, od trzeciego rozbioru Polski, nie było polskiej państwowości i oficjalne dokumenty tożsamości opiewały na obywatelstwo rosyjskie, pruskie albo austriackie. Polskiej przynależności nikt nie miał. Mógł się co najwyżej czuć Polakiem. Prawnie był Rosjaninem, Prywiślincem, Niemcem z Posen i Austriakiem z Galizien. Kto nie umie historycznie myśleć i sam nie zamieszkiwał w strefie spornej państwowo i narodowo, ten nie ma żadnego pojęcia o realiach przynależenia państwowego.

Ale wróćmy na podwórkę w Skarżysku przy ulicy 3 Maja 10. Oprócz wymienionych mieszkańców były jeszcze dwa domki parterowe w tym samym podwórzu. W jednym zamieszkiwała rodzina kolejarska Szumielewiczów, w drugim czapnik Mosze Cukier, który mojej matce powiedział kiedyś: „mam panią w dupa”, co było całkiem możliwe po niebywale przestronnych spodniach i wypełniającej je treści. Prócz tego teściowa czapnika, przezwana przez Edytę Kulką z racji przybliżonego kształtu. Rzeźnik rytualny, który zarzywał krowy i jałówki w małej obórcie z dwoma synami. Jeden młodszy, Chamu, starszy zwany przez dzieci zwykłe Byku. Któregoś dnia, jak za czasów Skrzetuskiego, zrobił się

wrzask. Rozwścieczony byczek włókł przez podwórko uwiązanego do siebie za rękę Byku, wywłókł go na ulicę. Tutaj musiał zwolnić, gdyż zaczynały się olbrzymie bajory pokryte latem zieloną rzęsą, w zimie zaś radosnym lodem pod ślizgawki długości niekiedy 20 metrów. Po nieśmiertelnym błocie przechodziło się po kamieniach. Po raz pierwszy widziałem dawną torturę skazanego na wleczenie przez konia.

Mieszkający obok nas Herszel Wołowski był wdowcem z pięciorgiem dzieci. Naprzeciwko ulicy mieszkała wdowa Blima Wolfowicz ze sklepem spożywczym. Blima miała dwóch szajgeców, czyli podrostków chodzących zawsze w jarmułkach i chałatach. Odbyło się „hassene”, czyli wesele wieczorem, a już rano Blima otrzymała list rozwodowy. Małżeństwo nie pasowało do siebie.

Na podwórzu był bezodpływowy zlew drewniany, pochłaniający cudownie pomyje. Na środku wąskiej uliczki prowadzącej do bóżnicy stała w środku studnia z żurawiem. Przechodnie polscy i semicy uważali za pożyteczne pluć do niej albo sikać.

Sanitaria mieściły się za domem Cukrów, który nie stał dokładnie przy granicznym płocie i dawał dosyć dużą przestrzeń do załatwiania spraw koniecznych w antroposferze. W lecie trzeba było uważać, by się nie zabrudzić w gównie (naprawdę to było gówno, nie trzeba poszukiwać synonimu), a w zimie nie przewrócić się na zamrożonych kupach. Pojęcie sanitaria kończyło się na opróżnianiu pęcherza i kiszki stolcowej. A że się to dokonywało na podstawach nadfizycznych praw o materii i przestrzeni, to nie rozwiązana sprawa do dzisiaj. W każdym razie nie będę się na międzyrasowe gówno przysięgał. Trzeba przyjąć do wiadomości, że takie były ówczesne sanitaria. Ludzie mieli wtedy nienaturalną siłę życia i zdrowia:

Ojciec bywał tylko w niedziele i święta w domu oraz podczas urlopu. Przeniósł się do Starachowic na stanowisko magazyniera w hucie. Matka nie ruszyła za mężem i słusznie, jak się okazało, W stosunkowo niedługim czasie firma „Skarboferme” w Królewskiej Hucie (obecny Chorzów) zaangażowała ojca w późniejszej hucie „Kościszko”. Rodzina została w Skarżysku, nie przerywając nauki Waldkowi. Teraz ojciec bywał trzy razy w roku w domu – Boże Narodzenie, Wielkanoc i urlop.

Przeprowadzamy się na piętro po Markiewiczach. Wybudowali domek na placach kolejarskich. Zakres zoologicznych obserwacji powiększył się o nienaturalną ilość pluskw. Nie było jednak szczurów. Było lżej, a pluskwy, okazało się, że nie znoszą nafty.

Jeszcze mieszkając na parterze starając się o rękę starszej ode mnie o pięć lat Edyty – Boguś Wagner zaopatrzył mnie w pewną ilość chemikaliów, widząc moje zainteresowania. Szybko skompletowany został dział metali, nie wyłączając złota z wewnętrznej koperty maminego zegarka i srebra ze skarbonki od chrzestnych. Był to okres zwykłego majsterkowania u podrastających chłopców. Matkę namówiłem na kupno zarysu chemii Tołłoczki za 2000 marek. „Naukowe myślenie” zaczęło się od zaopatrzenia. Pomnę jeszcze polskie pieniądze z przeważającym jasnym tłem i czerwoną podkładką pod orla białego.

Według wiadomości zaczerpniętej kilkadziesiąt lat później, za jednego dolara płacono w Polsce 9 milionów marek. Inflacja była nie tylko w Polsce. Jeszcze gorzej było w Niemczech. Ojciec przynosił dla pokazu wysokość faktycznej wartości marki niemieckiej. Dobrze znałem banknot opiewający na 5 miliardów marek.

Mieszkanie dawne na parterze zajął gospodarz Piotr Szewczyk, otworzył tam masarnię. Po Szumielewiczach wyprowadzonych na place kolejarskie powstał warsztat masarski. Przypatrzyłem się, jak się wędliny wyrabia. Nie zużyte salcesony wyciągało się z pęcherza, mieszało z nowym mięsem i łachami jak uszy itp., po-

lewało jakimś specyfiką opalizującym, dla dezynfekcji chyba. Mieszało się to i gotowało w nowych pęcherzach. Tak któregoś dnia kupiłem 20 dkg salcesonu z bakteriami jadu kiełbasianego. Przechorowałem ostro. Przez 6 tygodni walczyłem o życie. Matka nie godzi się na użycie kalomelu jako środka przeczyszczającego. Powoli doszedłem do siebie. Tylko niezwykle niski stał się stół i krzesła. Choroba wyciągnęła 15-letka.

Skarżysko było zbiorem nietypowych osobliwości swojego rodzaju. Przed kościołem wystawał olbrzymi dziad w barankowej czapie nawet w lecie, wysoką gałą wybijał sobie takt. Podobno zakochał się nieszczęśliwie. Prawdopodobnie udawał pomyłonego i śmiał się z całego świata tak zwanych normalnych. W każdą niedzielę stał przed kościołem w grubym opakowaniu łachów przewiązanych sznurkiem. Nie zebrał. Ludzie dawali sami. „Mieszkał” na placu harcerskim, gdzie mu pozwolono zbudować szałas.

Jankiel „kogut” wspaniale piał czysto po polsku, nie po żydowsku. Kołowatego Stasia namawiali chłopcy – „zagraj na katarynce”. Wyciągał na ulicy „katarynkę” ze spodni i „grał”. Na mszę niedzielną o godzinie 9 rano przychodził „trzynasty apostoł” koło lat trzydziestu. Twarz ascetyczna, włosy długie z przedziałkiem na środku. Miał podobieństwo do Chrystusa z niektórych malarskich ujęć. Zimą nawet w długim lekkim płaszczu i całkowicie boso stał przez nabożeństwo na kościelnej posadzce. Był poważny, skupiony, nie zaczepiał nikogo.

Na podwórku produkował się apetytem brukarz zwany Próźniakiem, zatrudniony przy budowie ulicy z okrągłaków narzutowych. Przy warsztacie masarskim nietrudno było się pożywić. Czasami pękła kaszanka w kotle przy gotowaniu, rozwalił się salceson od gorąca. Stanisław Wnuk, pracownik masarni, brał wtedy miednicę rozmiarów balii, nalewał tej bręi do pełna. Próźniak kupował u Katza dwukilogramowy chleb i zjadał to na naszych pełnych zachwyty oczach.

Podobno kilku inżynierów z Wytwórni Zbrojeniowej poszło o zakład, że Próźniak zje w Warszawie 60 trójdanowych obiadów. Zakład poszedł o zapłacenie za materiał do lykania. Jedna frakcja inżynierów była zdania, że potrafi, inni nie wierzyli w takie umiejętności. Pierwsi konsultowali się z zawodowcem w jadło. Przegrali sceptycy, którzy nie mogli sobie wyobrazić podobnej sytuacji.

Matka pracowała w akcji charytatywnej i miała obowiązek badać stosunki domowe. Odwiedziła żonę rekordzisty. Przecież pani mąż pracuje, dobrze zarabia jako brukarz miejski. Zgoda proszę pani. Widzi pani te 25 kg ziemniaków w sionce? To porcja na jeden obiad dla niego. Rzeczywiście miał tak rozciągniętą skórę i pod nią żołądek, że będąc głodny zaciągał skórę na brzuchu jak poły płaszczka jedna na drugą. (cdn.)

WŁODZIMIERZ SEDLAK

Publikowany tekst stanowi fragment wspomnieniowej książki *W pogoni za nieznanym*, autorstwa prof. Włodzimierza Sedlaka, twórcy bioelektroniki – nauki rewolucjonizującej dotychczasowe poglądy na problem powstania życia na Ziemi, założyciela i długoletniego kierownika Katedry Biologii Teoretycznej KUL, autora takich innych książek, jak: *Bioelektronika*, *Homo electronicus*, *Zycie jest światłem*. Praca ukaże się w cenionej serii Wydawnictwa Lubelskiego *Wspomnienia ludzi nauki*, w nakładzie 20 tys. egzemplarzy. (Red.)

Doktor Marian Radajewski urodził się w 1906 roku w Poznaniu i tam też studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu; dyplom uzyskał w roku 1933. Pracował jako asystent naukowy Instytutu Spraw Społecznych w Warszawie, a od 1935 roku w Powiatowym Ośrodku Zdrowia i Poradni Przeciwgruźliczej w Biłgoraju. W roku 1938 został lekarzem powiatowym w Chełmie, gdzie przebywał do 1943. Pod koniec wojny mieszkał i pracował w Puławach. Zajmował się głównie zagadnieniami z dziedziny epidemiologii.

W latach 1945–1948 był lekarzem powiatowym i kierował Poradnią Przeciwgruźliczą w Kępnie (woj. poznańskie). Do Poznania wrócił w roku 1949 jako wojewódzki inspektor zdrowia. Był pełnomocnikiem ministra zdrowia – dyrektorem ds. organizacyjnych przy tworzeniu Akademii Medycznej w Poznaniu. W roku 1956 uzyskał specjalizację I stopnia w zakresie chorób wewnętrznych. W roku 1962 będąc ordynatorem oddziału płucnego Szpitala Miejskiego w Poznaniu, został zwolniony z pracy i usunięty z partii z powodu tolerowania obecności w szpitalu sióstr zakonnych i emblematów religijnych. Przez następne siedem lat pracował w sanatoriach przeciwgruźliczych w NRD. Mieszka w Poznaniu.

Wydał szereg prac naukowych. Jest odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Krzyżem Zasługi.



WIEDZIAŁEM JUŻ, CO TO WOJNA

HENRYK RADEJ – Jak to się stało, że będąc poznaniakiem trafił pan aż na kresy?

MARIAN RADAJEWSKI – Proszę pana, byłem wtedy młody, pełen werwy, a w dodatku jeszcze kawalerem i jako pionier miałem krzycić oświatę zdrowotną na prowincji.

– Ale Biłgoraj nie był chyba miastem pańskich marzeń?

– Istotnie. Znałem już ciekawsze miejsca w kraju. Jednak panowała tu epidemia czerwonki i ja z nią miałem walczyć; i walczyłem z powodzeniem aż do 1938 roku. Mogłem wówczas powiedzieć sobie, że jako młody lekarz sprawdziłem się. Wtedy też ożeniłem się i zacząłem myśleć o życiu rodzinnym.

– Ile pan zarabiał?

– Bardzo mało. Zaproponowano mi wówczas funkcję lekarza powiatowego w Chełmie, ale wiedziałem, że z tego stołka nie utrzymam rodziny. Będąc lekarzem powiatowym w Biłgoraju, otrzymywałem 180 złotych miesięcznie, ale na przykład mój felczer zarabiał 150 złotych. Musiałem więc rozważyć się za jakąś praktyką, która dałaby trochę grosza.

– Zdecydował pan, że lepiej być lekarzem w Chełmie niż w Biłgoraju.

– To nie było takie proste. Pojechałem wtedy do Chełma, żeby zbadać teren. Rozmawiałem tam z aptekarzami, m.in. z panem Papużyńskim. Sądzę, że to nazwisko do dziś jest znane w Chełmie. On mi powiedział, że tu nie ma co liczyć na jakąkolwiek praktykę prywatną.

– Czy wiedział pan, ilu lekarzy było wtedy w Chełmie?

– Oczywiście. Chełm liczył około 35 tysięcy mieszkańców i miał 32 lekarzy. To było dużo. W większości byli to Żydzi i lekarze wojskowi. Oni podzielili się praktyką i jeden drugiemu nie wchodził na teren. Tacy poważni lekarze, których do dziś pamiętam, to Teofil Gniazdowski (stary), Piotr Gniazdowski (młody), ale to nie byli nawet krewni. Dalej: Neyman (rentgenolog), Żarnowski (chirurg), Sikorski (laryngolog), Malinowski (fityzjatra), Gierałowski (chirurg) i doktor Czarnecka. Niestety, ich imion już dziś nie pamiętam.

– W związku z tym pańskie perspektywy na przyszłość były raczej kiepskie.

– Zapowiadało się gorzej niż źle. Ale zdecydowałem się. Mieliśmy już wtedy dziecko; wynajęłem mieszkanie i sprowadziłem żonę do Chełma.

– Gdzie pan zamieszkał?

– Przy ulicy Sienkiewicza, I piętro nad apteką Makielły. Właścicielem kamienicy był Żyd.

– Po wojnie topografia nazw trochę się zmieniła i dawna ulica Sienkiewicza to dziś ul. Lenina, a pod numerem 8 nadal jest apteka. Czyżby to było tutaj?

– Dokładnie był to narożnik ul. Sienkiewicza i uliczki prowadzącej do gimnazjum. Trochę dalej stał budynek poczty, a koło niego przychodnia społeczna.

– Jak wyglądały początki pańskiej pracy w Chełmie?

– Dostałem pokój służbowy w starostwie. Jako lekarz powiatowy miałem obowiązek leczyć urzędników państwowych. Za każdą taką wizytę otrzymywałem od państwa złotówkę. Na to żaden inny lekarz się nie godził, a ja musiałem. Prawdę mówiąc, tych urzędników państwowych traktowano tak, jak dziś ubezpieczalnia traktuje swoich pacjentów. Ja powiedziałem sobie, że chory jest chory i czy złotówka, czy nie, muszę go traktować poważnie. Jeden pokój w mieszkaniu przeznaczyłem na gabinet przyjąć. Miałem też trochę wizyt domowych.

– Jakie były skutki tej pańskiej filozofii?

– Od początku byłem nie akceptowany przez chełmskie środowisko lekarskie. Przecież nikt nie lubi konkurencji! A mnie los sprzyjał, bo to, że leczyłem wszystkich solidnie (zdarzało się, że i za darmo), zrobiło mi dobrą reklamę w okolicy. Przychodzili do mnie ludzie z miasta i przyjeżdżali chłopi z pobliskich wsi. Zamiast kupić żonę futro, najpierw kupiłem rentgen. Kosztował wtedy 5400 złotych. Trochę miałem już pieniędzy, a resztę pożyczył mi teść. Jak pan widzi, moje leczenie przynosiło dobre efekty. Ludzie byli zadowoleni, a ja za miesiąc miałem około tysiąca złotych z samej praktyki prywatnej. To już było coś. Mój ojciec, który był prezesem Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, miał wtedy 1200 złotych emerytury, więc może pan sobie porównać.

– Pamięta pan jakieś szczególne wydarzenie z tamtych lat?

– Pewnego dnia wezwano mnie do policjanta, który leżał już ze trzy miesiące i nie chodził. Wcześniej byli u niego inni lekarze, ale jakoś bez rezultatu. Poproszono mnie; wiadomo, nowy lekarz, młody, może coś wymyśli? Ja wtedy stosowałem nową metodę leczenia ischiasu poprzez zamrożenie okolicy nerwu kulszowego chloretylem. Pojechałem do domu tego policjanta, zrobiłem to zamrożenie i poprosiłem go, żeby usiadł. Zrobił to z niechęcią i ze zdziwieniem, bo mówił, że nawet kichnąć nie mógł. Wtedy powiedziałem, żeby spuścił z tóżka nogi, a potem kazałem mu

wstać i przejść się po pokoju. Ten patrzył na mnie jak na wariata, ale poszedł. Proszę pamiętać, że stało się to po trzech miesiącach absolutnego leżenia. Fakt ten przyjęto niemal jak cud. Od tej pory nie mogłem narzekać na brak roboty w Chełmie.

– Czy pamięta pan początek wojny we wrześniu 1939 roku?

– W Chełmie był spokój. Tej wojny na początku w ogóle się nie czuło. Pamiętam, że starosta chodził jak zmokła kura, mnie przydzielił do telefonu (?), a inni urzędnicy nie pracowali. Pierwszą oznaką wojny były tłumy uciekinierów. Przyszedł do mnie do biura jakiś człowiek i zapytał, czy nie mógłbym go gdzieś przemocować. Byłem zaskoczony, dlaczego to niby ja mam mu załatwiać nocleg? Ale następnego dnia wiedziałem już, co to znaczy wojna. Fala uciekinierów spadała na nas jak grad z nieba i trzeba było z nimi coś zrobić. Nie wiedziałem, gdzie ich kierować, więc moją poczekalnię w domu zamieniłem na sypialnię. Był to obszerny pokój, gdzieś ok. 35 metrów kwadratowych. Znajomy chłop przywiózł ze wsi trochę słomy, zasłano nią całą podłogę i tam ludzie mieszkali. Ja nie pytałem, kto jest kim i skąd przychodzi. Przez trzy tygodnie przez nasz dom przewinęło się około 200 osób.

– A gdzie były władze administracyjne miasta w tym czasie skoro po kwaterunek przychodzono do lekarza powiatowego?

– Nie wiem, widocznie były czymś zajęte. Uciekinierów liczyłem wtedy na dziesiątki tysięcy. Całe kolumny ludzi i wozów przewały się dalej na wschód. Miasto było w ogóle nie przygotowane na taką historię i wszyscy przeżyliśmy szok.

– A czy nie było kłopotów z żywnością?

– Ze wszystkim były kłopoty. Ludzie jakoś sobie radzili, pomagali jeden drugiemu. My sami w domu nie mieliśmy co jeść. W dodatku miałem jeszcze psa i nie było czym go nakarmić. Dowiedziałem się, że w sąsiednim gimnazjum prąd zabił konia, więc poszedłem tam i siekierą wyciąłem całą połędwicę. Przyniosłem mięso dla psa, ale sam byłem głodny i powiedziałem żonie, aby usmażyła mi kawałek. Żona usmażyła, ale zapach pieczenia rozniósł się po całym domu, więc jak mogłem jeść sam, kiedy wszyscy wiedzieli, że w domu jest mięso?! Podzieliłem całość na kawałki tak, że starczyło dla wszystkich z poczekalni.

– Czy nie zetknął się pan wówczas z jakimś korpusem dyplomatycznym uciekającym przez Chełm?

– Ja miałem wrażenie, że z powodu tych korpusów Chełm był bombardowany kilka razy. We wspomnianej już przychodni przy ul. Sienkiewicza miałem kiedyś zebranie z kolumną sanitarną Czerwonego Krzyża. Poprzedniego dnia przejeżdżał przez miasto prezydent Mościcki w eskorcie wozów. W trakcie tej narady posypały się bomby, jedna z nich spadła tuż koło budynku. Wtedy też rozleciała się moja kolumna sanitarna.

– Było to zapewne 8 września. Chełm przeżył wówczas najsilniejszy nalot. Były ofiary w ludziach, zniszczeniu uległo sporo budynków.

– Proszę pana, Niemcy nie wiedzieli w co trafić, albo chwała Bogu, że im się to nie udało. Na ulicy Dworcowej działała przed wojną gorzelnia, której dyrektorem był niejaki Zaremba. W jej basenach mieściło się około trzech milionów litrów spirytusu. Cały magistrat był przerażony: co to będzie, jak tam spadnie bomba! Wtedy wpadli na pomysł, żeby lekarz powiatowy rozdawał ludziom ten spirytus.

– Czy nie łatwiej było spuścić go do kanału?

– Nie wiem, kto i jak wpadł na tak „genialną myśl”. Ogonek po ten spirytus był aż na ulicę. Skoro darmo dają – trzeba brać! Więc dawałem, jednemu pięć, innemu 20 litrów, w co kto miał. Oczywiście, sam tego nie rozlewałem, robili to pracownicy. Ja dawałem kartkę i z nią tam szli. Niektórzy brali do samochodów zamiast benzyny, a jednego pijaka to wyrzuciłem, bo przychodził

kilka razy. Największą pretensję do mnie miała moja żona, ponieważ nie przyniosłem do domu ani kropli.

– Czy wszystko udało się panu „upłynnić”?

– Ależ skąd! Wydałem jakieś 2-3 tysiące litrów. To śmieszna ilość w porównaniu z tym, co tam zostało. Potem już nie pannałem nad sytuacją. Po 20 września, jak przyszli Sowieci – to zabrali. Trochę wypili, dwóch się nawet utopiło. Ale to było później. Zanim pojawili się Rosjanie, nocą przez Chełm przejeżdżały ciężkie transporty naszego wojska. Potem wszystko ucichło i był względny spokój.

– Bardziej spodziewano się wówczas Niemców czy Rosjan?

– Oczywiście, że Niemców. Wybuchła jakaś zbiorowa psychoza, że wszędzie są niemieccy szpiegowie. Był nawet taki humorystyczny wypadek, że przyprawiono do mnie chłopca z jakiejś niemieckiej kolonii spod Chełma, twierdząc, że on jest szpiegiem, bo sprzedaje ludziom zatruty miód. W ogóle nie wiedziałem, co mam z nim zrobić. Moja żona wpadła na pomysł, że skoro tak, to niech sam je ten miód. I ten przestraszony chłopca jadł go przy ludziach. Wtedy puściłem człowieka. Kiedy innym razem, rano, była mgła, to ludzie wpadli w panikę, że to Niemcy puścili gazy. Ja szkowałem się do ucieczki za Bug. Ostrzygłem włosy, wziąłem stare ubranie i już miałem wyjeżdżać. Wtedy spotkałem starego Gniazdowskiego i on mówi do mnie: – Kolego, zostało nas troje lekarzy w całym Chełmie: wy, doktor Czarnecka i ja. Musimy jakoś ludzi podtrzymać. Ja wezmę miasto, wy weźcie szpital wojskowy, bo tam jest sporo chorych, a Czarnecka niech się zajmie szpitalem pod wezwaniem św. Mikołaja. – I tak zrobiliśmy.

– Znow przełożmy to na współczesną topografię Chełma. Szpital wojskowy był przy ul. Hrubieszowskiej, tam gdzie dziś znajduje się jednostka sanitarna. Szpital Miejski był bliżej, też przy Hrubieszowskiej; obecnie jest tam oddział gruźliczy... A co się stało z tak liczną grupą innych chełmskich lekarzy?

– Część wyjechała z wojskiem, a reszta uciekła.

– Czy pan czuł się wtedy jeszcze lekarzem powiatowym?

– Jak najbardziej. Zdarzało się, że wśród uciekinierów byli lekarze. Kiedy zgłaszali się do mnie, to obsadzałem nimi najważniejsze punkty w całym powiecie. I tak na przykład doktora Abrama skierowałem do ośrodka zdrowia w Sawinie (dziś mieszka w Poznaniu). jednego skierowałem do Cycowa, innego do Wojśławic. To było ich szczęście, bo gdyby pojechali do Brześcia, dziś wiadomo, jaki czekałby ich los.

– Jaki widok zastał pan w szpitalu wojskowym?

– Nie ma o czym mówić. Jak wspominałem, nie było ani jednego lekarza, nie było też żadnej pielęgniarki. Tylko chorzy leżeli na łózkach i kuchnia coś tam jeszcze wydawała. Wszedłem do gabinetu komendanta. Pamiętam do dziś, że zobaczyłem tam piękną figurkę nagiej kobiety. Wszystko stało otworem, kasa była otwarta, inne szafy też, ale to błahostka wobec tego, że stu kilkudziesięciu chorych żołnierzy leżało jeszcze w pomieszczeniach seminarium przy ul. Reformackiej i w Szkole Dziesięciolecia. Trzeba ich było przetransportować w jedno miejsce, żeby móc opatrzyć i nakarmić. To mi się udało podstępem po ostrej dyskusji z pewnym oficerem, który w swojej kolumnie miał sześć sanitarek.

– Ale zanim przyszli Niemcy, w mieście wcześniej zjawili się Rosjanie...

– Wojska rosyjskie specjalnie nie dały się nam we znaki, ale w tym czasie w magistracie rządili Żydzi. Założyli jakiś komitet, nałożyli czerwone opaski i sprawowali władzę. Dla nas osobiście byli dobrzy, nawet chleb przynosili nam do domu. A gdy Sowieci chcieli zabrać mi samochód, to oni nie pozwolili...

– Dlaczego?

– Oni wiedzieli, że gdy była bombardowana ulica Lwowska, to

wspólnie z żoną wozili tym samochodem rannych Żydów do szpitala. Ponadto wiedzieli, że leczyłem biednych Żydów za darmo i traktowałem ich tak, jak każdego innego człowieka. Dlatego też dla nas byli życzliwi. Bolszewicy byli w Chełmie krótko, ale zdążyli wyaresztować polskich oficerów i mówiono, że pomagali im w tym Żydzi.

– W ogóle nie interesowali się pańskim szpitalem ani służbą zdrowia?

– Rosjan interesowały głównie sklepy i ich zawartość. Wykupowali w nich pełne worki towarów. Niedaleko był taki sklep z obuwem, to workami wynosili z niego damskie trzewiki balowe i obuwie trumienne. Czołgi mieli potężne, ale niezbyt sprawne. Za to wszyscy byli zaskoczeni widokiem ich karabinów na sznurku.

Kiedy się wycofywali za Bug, dużo Żydów zadeklarowało się jako komuniści i poszło z nimi.

– W jaki sposób Niemcy odnosili się do pana?

– Gdzieś w połowie października zostałem wezwany przez Niemców do starostwa. Po dłuższej rozmowie dostałem od ich lekarza wojskowego dokument, który stwierdzał, że mam prawo kontrolować szpitale. Tym samym potwierdzili moją funkcję sanitarną. Oczywiście dotyczyło to tylko szpitali dla ludności polskiej. Co jakiś czas musiałem meldować się u lekarza niemieckiego i składać mu informację o stanie sanitarnym w rejonie.

– Czy odwiedzał pan wtedy szpital psychiatryczny?

– Nie zdążyłem, ale też nie było takiej potrzeby, bo sytuacja w szpitalu była jeszcze dobra.

– Kiedy dowiedział się pan o masakrze?

– Do wyjazdów terenowych miałem przydzielony przez Niemców samochód służbowy. Pewnego dnia po Nowym Roku 1940 szofer mówi mi, że dziś rano wystrzelano pacjentów szpitala psychiatrycznego. Ja w swojej polskiej naiwności nie mogłem w to uwierzyć. Uważałem jeszcze Niemców za naród o wysokiej kulturze, który nigdy czegoś takiego nie mógłby zrobić. Jednak fakt był faktem. Kazałem się tam wieść. Ze względu na niemiecki samochód nie zatrzymywano nas i dojechałem aż pod sam budynek. Gdy mnie zobaczyli gestapowcy, to na mnie nawrzeszczeli. Na nic się zdało moje zaświadczenie. Kazali mi zjeżdżać czym prędzej. Dzięki Bogu, że mnie nie zastrzelili, bo i tak się to mogło skończyć. Tam widziałem zmasakrowane zwłoki, które chłopi zwozili do jakiegoś dołu.

– Czy ta obecność pod szpitalem, w którym zamordowano chorych, nie miała wpływu na późniejszą pańską pracę?

– A jakże! Niebawem wezwał mnie starosta i zapytał, czy chcę dostać po głębie. Skończyło się na dyskusji, a raczej na jego kazaniu. Niedługo potem dostałem pismo od władz niemieckich z Lublina, w którym bez wyjaśnień informowano mnie, że zostaje przeniesiony służbowo do Janowa Lubelskiego. Trzeba się było jakoś bronić. Za radą żony wziętem z domu dwa kufrы z różnymi dobrymi rzeczami i pojechałem do Lublina. Wróciłem stamtąd z pismem, że ze względów zdrowotnych nie nadaję się do dalszego urzędowania, natomiast mogę prowadzić praktykę lekarską. Było to jednoznaczne z moim pozostaniem w Chełmie.

– Jak pan to załatwił?

– To nie ja, załatwiły to moje kufrы. Zacząłem wtedy mieć wątpliwości, kto jest bardziej przekupny, Rosjanie czy Niemcy? Później za spirytus też wszystko dostawałem od Niemców. Od lipca 1940 roku byłem więc lekarzem wolno praktykującym i jak na ówczesne warunki wojenne, to miałem niezłe życie. Ale do czasu, bo Niemcy tak łatwo nie dawali za wygraną.

– Serdecznie dziękuję za rozmowę panu oraz pańskiej żonie, która wytrwale przysłuchiwała się tym wspomnieniom, pomagając w ustalaniu faktów.

LINIA CZTERECH RZEK 1939

MIECZYSLAW WIELICZKO

Pisa-Narew-Wisła lub Bug-San: oto rzeki graniczne dwóch układów niemiecko-radzieckich z 23 sierpnia i 28 września 1939 r. Układy te nazywane też są od nazwisk ich sygnatariuszy, ministrów spraw zagranicznych Rzeszy i ZSRR, paktami Ribbentrop-Mołotow.

Nadmienić trzeba, że nie tylko w polskiej opinii publicznej utrzymuje się pamięć o pierwszym układzie wyprzedzającym o kilka dni agresję na Polskę. Natomiast drugi układ przystąpiły zdaje się być wydarzeniami Września i nie jest tak zauważany. Niestudnie, bowiem w wyniku tego drugiego układu nad brzegami wspomnianych rzek (z wyjątkiem Wisły, o czym za chwilę) stanęły słupy graniczne z radzieckimi i niemieckimi godłami państwowymi. Podzielone tym samym zostało terytorium Polski, jej mieszkańcy i obywatele.

Obydwa układy stanowią całość porozumień, w preambule bowiem do drugiego powołany jest pierwszy, jakby włączony integralnie przez przypomnienie motywacji umawiających się stron co potwierdzają też ich tytuły – „o nieagresji” oraz „o przyjaźni i granicy”. Stąd traktowanie tych układów rozdzielnie, potwierdzanie bądź przyjmowanie pierwszego jako zgodnego „z radziecką racją stanu”, a odrzucanie drugiego jako „błęd politycznego” lub „odrażającego dokumentu” nic w materii faktu w historii nie zmienia.

Układy były wydarzeniem tak bezprecedensowym, że natychmiast wzbudziły żywe zainteresowanie opinii międzynarodowej, zaś rozwój wypadków w toku „wojny wrześniowej” w Polsce stawiał na porządku tego forum pytanie bardzo podstawowe, tyczące uzgodnień terytorialnych, czyli pytanie o tzw. tajny protokół. Nie była to jednak kwestia wynikająca z rozwoju sytuacji w okolicznościach zawarcia i funkcjonowania układów sierpniowo-wrzesniowych, ale zbliżenia radziecko-niemieckiego na wiosnę 1939 r., którego konsekwencją stały się te układy i ich postanowienia. Warto poświęcić temu trochę uwagi.

Powszechnie zainteresowanie opinii międzynarodowej wywołała słynna mowa Hitlera w Reichstagu 28 kwietnia 1939 r., w której zerwał układ morski z Wielką Brytanią oraz wypowiedział deklarację o nieagresji z Polską i... słowem nie wspomniął ani o ZSRR, ani o pakcie antykominternowskim, co dotychczas było stałym punktem publicznych wystąpień Führera. Antykomunizm był najważniejszym obok antysemityzmu składnikiem programu politycznego kierowanej przez Hitlera III Rzeszy. Trzecim punktem był antyślawizm, w tym sprawa polska... Powszechnie stawiano sobie pytanie – co miało to oznaczać?

Służby dyplomatyczne w Berlinie, szczególnie zainteresowane tą kwestią, bez trudu ustaliły, że 17 kwietnia ambasador radziecki Aleksiej K. Mierekałow, który objął placówkę w lipcu 1938 r., po raz pierwszy złożył wizytę w Auswärtiges Amt (niemieckie MSZ) przy słynnej Wilhelmstrasse i odbył dłuższą rozmowę z Ernstem von Weizsäckerem, zastępcą Ribbentropa. Wkrótce, 25 kwietnia.

podjęto rozmowy w sprawach traktatu handlowego, ale prawdziwe rewelacje podał kilka dni później Robert Coulondre, ambasador francuski (w latach 1936–1938 ambasador w Moskwie, który dopiero co przybył do Berlina), pisząc do swojego ministra w raporcie, który dotarł do Paryża 7 maja:

Pozwalam sobie zwrócić uwagę szczególną Waszej Ekszelencji na informację zawartą w załączonym raporcie, ponieważ osoba, która nam je dostarczyła, jest wyjątkowo dobrze usytuowana, zna zamiary Führera i jego głównych współpracowników. Te nowe wiadomości można streścić w sposób następujący:

1. Führer jest zdecydowany zapewnić powrót Gdańska do Niemiec i połączenie Prus Wschodnich z Rzeszą.

2. Führer cierpliwy i rozważny, nie podejmie sprawy wprost, ponieważ wie, że teraz już Francja i Anglia nie ustąpią i że koalicja, na którą by się natknął, byłaby bardzo silna. Będzie manewrował dopóki nie wybieje jego godzina.

3. Führer porozumie się w tym celu z Rosją. Nadejdzie dzień, kiedy osiągnie swoje cele w taki sposób, że alianci nie będą mieli żadnego powodu ani nawet żadnego zamiaru interweniowania. Być może dojdzie do czwartego rozbioru Polski. W każdym razie zobaczymy wkrótce, że coś się dzieje na Wschodzie...

Do tego raportu było dołączone streszczenie rozmowy z informatorem – wiadomo, że był to jeden z członków adiutantury Hitlera, i nie jest wykluczone, że celowo podawał Francuzom różne „rewelacje” i to niejedną raz – który miał wypowiadać następujące myśli:

Czy nie uderzyło pana w jego przemówieniu (Hitlera), że nie zrobił żadnej wzmianki o Rosji? Chyba zauważył pan z jakim zrozumieniem prasa poranna – która zresztą otrzymała ściśle instrukcje w tym względzie – pisze o Mołotowie i Rosji? (Mołotow 4 maja objął tekę ludowego komisarza spraw zagranicznych i połączył to stanowisko z urzędem premiera ZSRR – obj. MW). Doszły zapewne pana wiadomości o pewnych toczących się rozmowach oraz o podróży do Moskwy ambasadora i attaché wojskowego Związku Radzieckiego. Obaj zostali przyjeździe w przeddzień wyjazdu, pierwszy przez Ribbentropa, drugi w dowództwie naczelnym Wehrmachtu i dokładnie poinformowani o stanowisku rządu Rzeszy. Nie mogę doprawdy powiedzieć panu o tym nic więcej, ale dowie się pan pewnego dnia, że coś się dzieje na Wschodzie.

Powtórzyłem ten raport za pamiętnikiem Grigore Gafencu, rumuńskiego ministra spraw zagranicznych, który w okresie od 17 kwietnia, rozpoczynając od Polski, do 8 maja 1939 r. odbył podróż do siedmiu stolic Europy i był jak mało który dyplomata tego czasu dobrze zorientowany w rozwoju sytuacji międzynarodowej.

Wynika stąd, że od początku zbliżenia radziecko-niemieckiego zasadniczą sprawą były zmiany graniczne; choć pozostawały poza literą przyszłych układów, stanowiły jednak integralną ich część jako protokoły tajne.

Tymczasem trwały zabiegi dyplomatyczne wywołane niemieckimi przygotowaniami wojennymi i żądaniem ustępstw terytorialnych przez Polskę, która stanowczo odmówiła jakichkolwiek negocjacji w tej sprawie. Pokój w tej części Europy był coraz bardziej zagrożony. Stąd rozmowy francusko-brytyjsko-radzieckie w Moskwie dotyczyły wojskowej współpracy tych państw oraz ewentualności ich zaangażowania w rysującym się konflikcie niemiecko-polskim. Miała bowiem Polska układy i porozumienia z Francją i Wielką Brytanią, miała ze Związkiem Radzieckim układ o nieagresji z 25 lipca 1932 r., przedłużony w 1934 r. i ważny do 31 grudnia 1945 r. Rokowania moskiewskie, choć bez udziału Polski, dotyczyły w bardzo wielu szczegółach naszego kraju.

Równoległe z tymi rozmowami, którym przewodniczyli: ze strony radzieckiej – marszałek Klimient J. Woroszyłow, fran-

cuskiej – gen. Aimé Doumenc, brytyjskiej – admirał Reginald Drax, rozmowami rozpoczętymi 12 sierpnia, kiedy strony rokujące przedłożyły swoje stanowisko, równoległe trwały niemieckie zabiegi dyplomatyczne zmierzające do storpedowania tych rokowań.

Oto Friedrich Werner von der Schulenburg, od 1934 r. ambasador Rzeszy, wspólnie z radcą Gustawem Hilgerem (organizatorem niemieckiego przedstawicielstwa w Moskwie w 1921 r., odtąd tu zatrudnionym) występowali wobec Mołotowa z różnymi propozycjami, byle nie dopuścić do powstania koalicji antyniemieckiej, jakby powtórzenia Ententy. Jedną z tych propozycji było porozumienie się co do losów Polski w celu uniknięcia ewentualnego konfliktu niemiecko-radzieckiego. Jak Schulenburg zapewniał Mołotowa: pomiędzy Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym nie ma sprzeczności interesów między Niemcami a ZSRR, zaś niemieckie żądania wobec Polski nie godzą w interesy radzieckie i strona niemiecka na wszelki wypadek proponuje określić strefy tych interesów...

Na Kremlu rozważano całą groźbę sytuacji międzynarodowej, w której ewentualność współpracy z Zachodem, wobec przedstawionych propozycji oraz zdeklarowanych przez delegacje uprawnień do negocjacji, rysowała się niezbyt wyraźnie, zaś gotowość dyplomacji niemieckiej i jej natarczywość nakazywały podjęcie rozmów. Stąd Schulenburg pytał 15 sierpnia swoją berlińską centralę – czy Niemcy byłyby skłonne zawrzeć układ o nieagresji i spowodować „załagodzenie” stosunków radziecko-japońskich? Odpowiedź nadeszła natychmiast – następnego dnia – wraz z propozycją osobistego omówienia tych spraw na miejscu w Moskwie przez samego Ribbentropa!

Wolno sądzić, że obydwie strony nie wydały się zaskoczone takim zwrotem w sytuacji, skoro odtąd codziennie wymieniano szyfrowe depesze między Berlinem i Moskwą, w których uzgadniano szereg szczegółów, dotyczących także zakończenia rokowań gospodarczych i podpisania w Berlinie układu w dniu 19 sierpnia. W tych okolicznościach Mołotow proponował przyjazd Ribbentropa w ciągu tygodnia od tej daty, czyli 26 lub 27 sierpnia. I tu pojawiła się zasadnicza przeszkoda: zgodnie z dyrektywą „Fall Weiss” przygotowania Wehrmachtu do wojny, w dniu 26 sierpnia przypadał termin agresji na Polskę i Hitler chciał przed najazdem osiągnąć jakieś porozumienie z Moskwą... Stąd 20 sierpnia jego osobisty telegram do Stalina z prośbą, by Ribbentrop mógł przybyć do Moskwy już 22, a najdalej 23 sierpnia. Na drugi dzień nadeszła pozytywna odpowiedź.

W tej sytuacji Hitler natychmiast zwołał naradę wyższych dowódców Wehrmachtu i kierownictwa SS do Obersalzbergu. Wysłuchał raportu o gotowości do agresji i wydał słynny rozkaz: *Wojskowym celem jest zniszczenie Polski do szczytu*. Zgodnie z dyrektywą, o świcie 26 sierpnia miała wybuchnąć wojna zawiąziona przez... Polskę. W tym czasie Ribbentrop gotował się do lotu specjalnym samolotem z Berlina przez Królewiec do Moskwy, gdzie przybył w południe 23 sierpnia, na lotnisko Hudynka. Powitany został przez Władimira P. Potiomkina, wicekomisarza spraw zagranicznych, pośród ogromnej gali flag wypożyczonych z... „Mosfilmu”, nie tak dawno bowiem kręcono tu film o tematyce antyfaszystowskiej. Tak atrapy posłużyły do uroczystej oprawy powitania hitlerowskiego dyplomaty. Jego wizyta była tak nagła, że gospodarze nie zdążyli ustalić, który hymn niemiecki winien być wykonany i aby nie uchybić nic w serdeczności, polecili odegrać i „Deutschland, Deutschland über alles...” i hitlerowski „Horst Wessel Marsch...” oraz „Międzynarodówkę”!

Już o godz 16 Ribbentrop został przyjęty przez Stalina. Rozmowy rozpoczęły się od oświadczeń obydwu stron, deklarujących wolę dwustronnych uzgodnień i zobowiązań. Schulenburg, który

towarzyszył Ribbentropowi w czasie rozmów ze Stalinem i Mołotowem, jak i radca Hilger pozostawili pamiętniki relacjonujące trzygodzinne rokowania wokół ustalenia tzw. stref interesów obydwu państw, sam pakt o nieagresji bowiem praktycznie uzgodniono przed przyjazdem Ribbentropa do Moskwy. Interesy strony radzieckiej na wybrzeżu Bałtyku zabezpieczyć miały przyszłe pakt z Łotwą i Estonią. Uzgodniono, że na zachód od radzieckich granic strefa interesów strategicznych sięga biegu Narwi, środkowej Wisły i Sanu, czyli ziem w pewnej części zamieszkałych przez Białorusinów i Ukraińców (co łączyło się z kwestią narodowościową jako ideową przesłanką ustrojową ZSRR), zaś w Europie południowo-wschodniej obejmuje Besarabię, przyłączoną po I wojnie do Rumunii.

Strona niemiecka swoje interesy ograniczała do Litwy i ziem polskich na zachód od wymienionych rzek, zaś w pozostałych kwestiach zgłosiła brak zainteresowania, choć Ribbentrop był przygotowany do rozmów na temat interesów obydwu państw w strefie Morza Czarnego oraz Turcji. Ta ostatnia sprawa jako „karta przetargowa” nie była już potrzebna, istotne bowiem porozumienia osiągnięto i bez tego.

Wieczorem 23 sierpnia Ribbentrop mógł więc telegrafować do Hitlera i powiadomić, że czeka go jeszcze podpisanie tajnego protokołu. Podał szczegóły. Odpowiedź była krótka: *Tak. Zgadza się.*

O dalszym biegu wydarzeń tak pisał estoński historyk H. Arumiae w artykule o pakcie Ribbentrop-Mołotow, ogłoszonym z początkiem sierpnia 1988 r. na łamach gazety „Rahva Hääl”:

O godzinie 22.00 rozmowy były kontynuowane i zakończyły się podpisaniem paktu o nieagresji oraz – według wszelkiego prawdopodobieństwa – tajnego protokołu, stanowiącego część paktu. Wiadomo, że protokół uzupełniający nie został odnaleziony w naszych archiwach.

I to ostatnie stwierdzenie używane bywa jako konorny argument, że do układu o nieagresji nie dołączono żadnych ustaleń terytorialnych. Ostatnio, w czerwcu 1989 r., Andriej A. Gromyko w wywiadzie udzielonym prasie amerykańskiej stwierdził, że Mołotow zapewniał go, iż żadnego tajnego protokołu nie było... Wiadomość ta zbiegła się z komunikatem o śmierci Gromyki, przez 28 lat ministra – sternika radzieckiej polityki zagranicznej, ostatniego z ludzi Stalina, przez ćwierć wieku po jego zgonie strzegącego wiernie tajemnic dyplomacji z Hitlerem.

Ale od początku nie były to tajemnice! Pakt o nieagresji, ogłoszony w „Izwestiach” 24 sierpnia, natychmiast wzbudził „plotki dyplomatyczne” o tajnym protokole i podziale stref interesów obydwu sygnatariuszy. Jeszcze zanim go podpisano, ambasador Estonii w Londynie A. Schmidt-Torma donosił w raporcie z 22 sierpnia, że w toku rozmów radziecko-niemieckich poruszana jest sprawa ... *nie tylko Polski, ale i państw nadbałtyckich. W szczególności Niemcy zgodziły się uznać Finlandię, Estonię i Łotwę jako wchodzące w strefę szczególnych wpływów Rosji Radzieckiej.* 25 sierpnia ambasada estońska w Paryżu podawała w depeszy szyfrowej:

Dzisiaj pojawiły się pogłoski, że oprócz zawartego paktu między Rosją i Niemcami, istnieje jeszcze tajne porozumienie uzupełniające, zgodnie z którym Rosji w pełni rozwiązano ręce do działań przeciwko państwom nadbałtyckim.

Podobny w treści raport szyfrowy, oznaczony jako nr 465, nadesłał do Moskwy ambasador USA Laurence A. Steinhardt. Raport ten odnotowano w Departamencie Stanu „przed południem” 24 sierpnia, czyli zanim Ribbentrop o godz. 14 odleciał do Berlina. Steinhardt donosił o pełnym porozumieniu co do żywotnych interesów obydwu państw i wymienił wśród nich „wschodnią Polskę”, jako strefę wpływów ZSRR.

Jest rzeczą oczywistą, że wszystkie informacje, jakie wyżej wymieniono, można – jeżeli się chce – zaliczyć do „plotek dyplomatycznych”, ale nie sposób tak potraktować noty radzieckiej skierowanej do Rumunii w sprawie zwrotu Besarabii, gdzie powołany został punkt 3 tajnego protokołu jako argument (wobec przyjaznych stosunków rumuńsko-niemieckich i traktatów łączących obydwie państwa) uzasadniający radzieckie żądania. Na początku 1989 r. rumuńskie czasopismo historyczne „Lupta Intregului Popor”, w artykule na temat międzynarodowej sytuacji Rumunii na początku II wojny światowej, podało tekst tej noty wręczonej przez Mołotowa ambasadorowi Gheorghe Davidescu o godz. 22 w dniu 26 czerwca 1940 r.

Od 25 marca 1946 r. znany jest tekst niemiecki (kopia) protokołu, przedstawiony jako dowód obrony (adwokat dr A. Sudl) przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze. Pomimo odrzucenia go jako dowodu, tekst ten wszedł do obiegu naukowego w literaturze światowej. U nas pierwszy opublikował go W. T. Kowalski na łamach „Życia Literackiego” (1987, nr 41, 42).

Są to więc ważniejsze bezpośrednie przekazy źródłowe dotyczące linii czterech rzek i kolej teraz na argumenty źródłowe pośrednie, wskazujące na istnienie uzgodnień co do stref interesów. Można uznać, że pamiętniki Schulenburga i Hilgera są relacjami subiektywnymi, ale odzwierciedlają dosłownie codzienne stosunki niemiecko-radzieckie w okresie pomiędzy obydwoimi układami. Widoczna jest presja Berlina, zwłaszcza po 3 września, na stronę radziecką i zapewnienia, że działania Wehrmachtu nie zmienią ustaleń układu i że nadal aktualne jest rozgraniczenie „stref interesów” wzdłuż Pisy, Narwi, Wisły i Sanu. W tej sytuacji znamienna była reakcja strony radzieckiej.

Przed wszystkim spieszenie zakończono rokowania z delegacjami wojskowymi Francji i Wielkiej Brytanii. Zaskoczony rozwojem wydarzeń Woroszyłow wyjaśniał im, że do podpisania układu sojuszniczego nie doszło nie dlatego, iż nastąpiła zmiana w polityce radzieckiej, ale że zmiana ta stała się konieczna wobec niechęci Polski w sprawie współdziałania wojskowego z Armią Czerwoną przeciw Niemcom... 28 sierpnia delegacje zachodnie z niczym opuściły Moskwę.

Układ niemiecko-radziecki wchodził w życie natychmiast po podpisaniu i wymagał jeszcze ratyfikacji. 31 sierpnia rozpoczęła się nadzwyczajna sesja Rady Najwyższej, na której jednogłośnie go ratyfikowano. Premier Mołotow oświadczył wtedy:

Wczoraj jeszcze faszyci niemieccy prowadzili wobec Związku Radzieckiego wrogą politykę zagraniczną. Wczoraj jeszcze w stosunkach międzynarodowych byliśmy wrogami. Dzisiaj jednakże sytuacja się już zmieniła i przestaliśmy być wrogami.

Rada Najwyższa 1 września uchwaliła ustawę o powszechnym obowiązku wojskowym, a 3 września marszałek Woroszyłow zarządził stan gotowości bojowej w sześciu okręgach wojskowych na zachód od Leningradu, Moskwy i Kijowa. Jednocześnie wstrzymano zwolnienia do rezerwy, urlopy dla kadry, powołano na ćwiczenia pewien kontyngent rezerwistów. Kilka dni później Okręg Kijowski i Okręg Białoruski zreorganizowane zostały we Fronty, otrzymały rozkazy koncentracji wojsk wzdłuż granicy polsko-radzieckiej do 16 września. Armie tych Frontów, liczące około miliona żołnierzy, do końca tego dnia osiągnęły nakazaną gotowość na podstawach wyjściowych, by 17 września 1939 r. o godz. 5.40 przekroczyć granicę polsko-radziecką, ustaloną dwustronnym traktatem w Rydze 18 marca 1921 r.

Powstała zupełnie nowa sytuacja. Rozwinięte w bojach pościgowych niektóre dywizje Wehrmachtu wysforowały się, zwłaszcza na

południowym wschodzie, daleko od ustalonej linii czterech rzek, tworząc „fakty dokonane” wymagające rewizji w drodze rozmów dyplomatycznych. San bowiem został sforsowany na kilku odcinkach pomiędzy 9 a 11 września przez ugrupowania 14 Armii, które dalej parły na wschód... Do rozmów doszło prawdopodobnie 19 września, gdyż dnia następnego o 11.20 naczelne dowództwo wojsk lądowych (Oberkommando des Heeres) wysłało telefonogram do dowództw Grupy Armii „Nord” i „Süd” z powiadomieniem o nowym rozgraniczeniu (na linii Pisa–Narew–Wisła–San) na południowy wschód od Przemyśla w stronę Chyrowa i Przełęcz Użockiej. Inny telefonogram wysłano do dowództwa wojsk oblegających Warszawę – z poleceniem kontynuowania oblężenia i natarcia, choć Pragę mają obsadzić wojska radzieckie.

Dyrektywy te spowodowały przegrupowanie tych dywizji Wehrmachtu, które były na wschód od linii czterech rzek. Zaczęły one hamować natarcie i powracać ze zdobyczą wojenną i jeńcami na zachodni brzeg Sanu i Bugu.

Dalsze ustalenia w sprawie linii czterech rzek, jako granicy stref interesów, albo linii demarkacyjnej, zapadły w Moskwie w czasie powtórnej wizyty Ribbentropa w dniach 27–29 września 1939 r., dokąd przyleciał przed południem osobistym samolotem Hitlera. Już o godz. 12 Stalin przyjął Ribbentropa na Kremlu i przystąpiono do rozmów na temat stref wpływów, obydwie bowiem strony wysuwały nowe propozycje. Stalin żądał uznania Litwy jako części interesów radzieckich nad Bałtykiem, w zamian za przesunięcie linii demarkacyjnej ze środkowego biegu Wisły podobnie na środkowy bieg Bugu, zaś Ribbentrop domagał się Wschodniego Zagłębia Naftowego (Borysław–Stryj–Drohobycz), zajętego już na wschód od Sanu. Ostatecznie po południu 27 oraz rano 28 września (Ribbentrop telefonicznie uzgadniał z Hitlerem podejmowane decyzje przed południem tego dnia) ustalono założenia układu, który w szczegółach opracowywały grupy robocze rozlokowane w kilku pokojach biura Mołotowa. Przed przyjęciem o godz. 19 Stalin i Ribbentrop złożyli parafy na mapach, po czym – przy carskiej złotej zastawie i słynnych rosyjskich zakąskach – wymieniono toasty i ostatnie już opinie co do tekstu układu.

Stalin i Mołotow przyjmowali następnie delegację rządową Łotwy, wezwaną na Kreml w sprawie uzgodnienia układu o stacjonowaniu garnizonów Armii Czerwonej w tym kraju, zaś Ribbentrop i Schulenburg w teatrze „Balszj” podziwiali pierwszy akt „Jeziora Łabędziego” Piotra Czajkowskiego.

Dobrze po północy wznowiono obrady, by o godz. 5 podpisać układ o przyjaźni i granicy (... *dem deutsch-sowjetischen Grenz und Freundschaftvertrag*), który obydwaj sygnatariusze uznali za właściwe odnieść do daty dnia poprzedniego, czyli 28 września. Układ zawierał trzy tajne protokoły oraz zapoczątkował całą serię dodatkowych umów szczegółowych. Układ ogłoszono między innymi w „Dzienniku Urzędowym” Rzeszy (RGBl 1940, II, s. 4), natomiast tajnych protokołów nie opublikowano, choć wiadomo, że dotyczyły migracji ludności pomiędzy „strefami interesów”, uzgodnień co do przebiegu ich granicy (co zostało rozwinięte w umowach dodatkowych) oraz zobowiązania obydwu stron niedopuszczenia do „polskiej agitacji” na swoich terytoriach, do jej zwalczania oraz wzajemnego informowania się o wydanych w tym zakresie zarządzeniach.

Od samego początku powstania kwestii granicznych w stosunkach niemiecko-radzieckich strona radziecka zawsze pojmowała „linię demarkacyjną”, obojętne o jakim przebiegu w terenie, jako radziecką granicę państwową (w wersji niemieckiej wszystkich układów funkcjonuje określenie ... *der Staatsgrenze der Union der*

Sozialistischen Sowjetrepubliken), w przeciwieństwie do strony niemieckiej, która początkowo posługiwała się określeniami *Grenzlinie*, albo *Interessengrenze*. Formulę o granicy państwowej Rzeszy przyjęto dopiero 17 sierpnia 1940 r. w porozumieniu radziecko-niemieckim, podpisanym w tej sprawie w Berlinie. Także w Berlinie podpisano 31 sierpnia 1940 r. układ o stosunkach prawnych granicy między III Rzeszą a ZSRR i w jego preambule powołano układ z 28 września 1939 r.

Trzeba w tym miejscu zauważyć, że obydwie strony zmierzały do nadania temu rozgraniczeniu cech trwałości, przez co rozumieć doprowadzenie w wyniku rozmów do takiego biegu granicy, by maksymalnie oparła się o trwałe i naturalne wartości rzeźby terenu. Potwierdzają to spostrzeżenie porozumienia (umowy) szczegółowe, a to w sprawie przebiegu granicy (podpisane 4 października 1939 r.), o wymierzeniu granicy na mapach i w terenie (22 października 1939 r.) i o oznaczeniu granicy (z tegoż dnia). Do tych porozumień dołączono szereg załączników o charakterze technicznym, jakie zostały opracowane przez zespoły robocze obydwu stron.

I tak w załączniku nr 1 jest opis podziału granicy (1389 km) na 6 odcinków z wyszczególnieniem długości granicy „mokrej” (bieg 7 rzek i obszar jeziora, łącznie 1145 km długości, czyli 82,4%) i „suchej” (tylko 244 km, 17,6% granicy „gruntowej”). Tamże są również dane co do lokalizacji słupów granicznych i ich numeracji. Pozostałe załączniki dotyczyły pomiaru topograficznego granicy (nr 2), opisu 302 wysp (nr 3) i mostów (nr 4). Ponieważ na odcinku II i III granicy na Narwi i Bugu słupy graniczne nie zostały ustawione naprzeciwko siebie, i tę „anomalię” w stosunku do zasad oznaczania granicy państwowej opisano w osobnym dokumencie (nr 5). Dodajmy, że wszystkie te dokumenty zostały przez stronę niemiecką wykonane w 50 egzemplarzach objętych tajemnością, numerowanych, zastrzeżonych w zakresie kompetencji korzystania z nich. Wszystkie też istnieją w polskich archiwach!

Całość granicy na linii czterech rzek obok opisu w porozumieniach szczegółowych i wymienionych wyżej załącznikach została oznaczona na mapach w skali 1:25 000 (na 54 arkuszach) oraz w skali 1:500 (na 23 arkuszach, w tym ręcznie wyrysowano 22 arkusze). Dla przestrzegania tych wszystkich uzgodnień, ale jednocześnie zagwarantowania normalnego funkcjonowania całości stosunków międzynarodowych przez tę granicę, obydwie strony uzgodniły postanowienie urzędów pełnomocników dla poszczególnych jej odcinków. Było ich ogółem 15. Ustalono też sposoby porozumiewania się przez granicę oraz tryb funkcjonowania tych urzędów.

Od Czarnej Hańcy na północy biegiem rzek, aż po Przełęcz Użocką na południu u źródeł Sanu, pośrodku II Rzeczypospolitej, powstała nowa granica o wszystkich cechach trwałości i pełnym protokole dyplomatycznym, przewidzianym na tę okoliczność, granica przyjaźni – natychmiast fortyfikowana przez obydwie strony! Ślady potężnych bunkrów z tego czasu można odnaleźć nad Sanem od Leska do Postołowa i w stronę Sanoka, w rejonie Przemyśla (także na terenie tego miasta na prawym brzegu Sanu) oraz między biegiem Sanu i Bugu, gdzie było 75 km granicy suchej. Tu po stronie niemieckiej wykonano w 1940 r. gigantyczne prace ziemne, które stanowiły fragment słynnego „Ostwall” nad Bugiem.

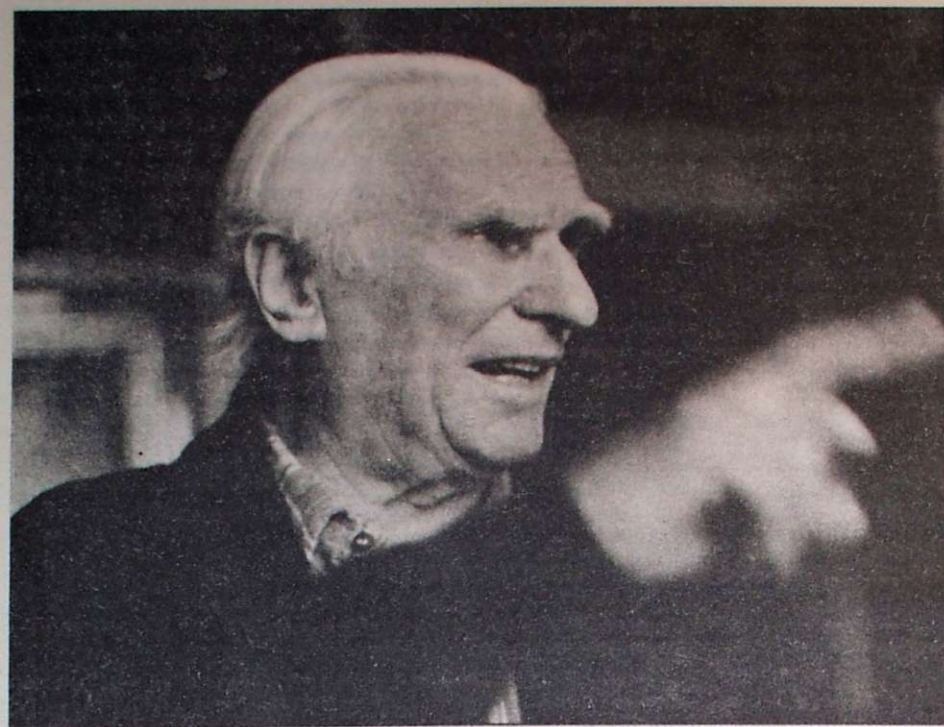
Nie brakło w naszej historii dwustu lat różnych granic dzielących naród – żywą jego substancję, ale żaden z tych podziałów w centrum ziem polskich nie pochłonął tylu ofiar i nie przyniósł tylu cierpień, co linia czterech rzek.

MIECZYSLAW WIELICZKO

Lublin, w lipcu 1989 r.

GRANICE

1944



EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI

W 1943 roku sytuacja międzynarodowa i na froncie wschodnim była tego rodzaju, że rząd londyński nie był już zdolny rozwiązać najważniejszej sprawy polskiej, jaką były granice. Jak wszystkim wiadomo, rząd londyński i jego krajowa Delegatura stały na gruncie granic ryskich, a rząd radziecki niektóre przedwojenne tereny za Bugiem w wyniku wojny przyłączył do ZSRR i ani słyszeć nie chciał, aby zadośćuczynić wymaganiom rządu polskiego w Londynie. Konieczny był kompromis w sprawie granicy wschodniej, a ponadto prawidłowa korekta granicy północnej i zachodniej.

W sprawie granicy wschodniej trzy mocarstwa w Teheranie zgodziły się, że będzie ona przebiegała wzdłuż tzw. linii Curzona. W okresie Teheranu istniał tylko rząd londyński, który powyższej decyzji nie mógł zapobiec, a PKWN jeszcze w ogóle nie było.

Sprawę przesunięcia naszej granicy na zachodzie i północy można było uregulować głównie przy poparciu Związku Radzieckiego, gdyż premier Wielkiej Brytanii, Winston Churchill, w Poczdamie nam oświadczył, żebyśmy nie robili tego samego błędu, jak w 1920 roku, kiedy to: *poszliśmy za daleko na wschód, a teraz chcemy iść za daleko na zachód!*

Znane jest nie od dzisiaj proniemieckie stanowisko Anglików. Oni i po I wojnie światowej w sprawie podziału Górnego Śląska zajmowali proniemieckie stanowisko...

Najkorzystniejsza sytuacja do rozmów o granicy wschodniej była w grudniu 1941 r., gdy Stalin proponował rozmowy na ten temat w czasie grudniowej wizyty premiera-generała Władysława Sikorskiego w ZSRR, kiedy to także wizytował on armię Władysława Andersa. Wtedy ZSRR znajdował się w trudnej sytuacji na froncie wschodnim i potrzebował pomocy tej armii. Ale gdy *Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu najpierw rozum odbiera*. Rozum nakazywał, żeby armia Andersa wzięła udział w walkach na froncie wschodnim i szła najkrótszą drogą do Polski, a nie szła na koniec świata walczyć pod rozkazami angielskimi...

Anders wyprowadził swoje wojska do Iranu i dalej na Bliski Wschód, a niebawem w ogóle zostały przerwane stosunki polsko-radzieckie. W tej sytuacji historyczna konieczność kazała polskiej lewicy ująć sprawę w swoje ręce. W ten sposób powstała najpierw Krajowa Rada Narodowa, a ta z kolei w okresie ofensywy Armii Czerwonej na linii Bugu, w której wyniku oswojone były ziemie polskie, powołała Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, aby miał kto zająć się administracją na terenach nowo wyzwolonych i w ogóle reprezentować polskie interesy.

KRN i PKWN nie miały zamiaru same rządzić w Polsce po wyzwoleniu, czego dowodem są moje propozycje w Chełmie Lubelskim, złożone delegatowi rządu londyńskiego na województwo, Władysławowi Cholewie, oraz pułkownikowi Armii Krajowej, K. Tumidajskiemu („Marcinowi”), żeby w Polsce „lubelskiej” wspólnie tworzyć polską administrację. Niebawem, bo 6 sierpnia, zaproponowaliśmy premierowi rządu londyńskiego, Stanisławowi Mikołajczykowi, utworzenie Rządu Jedności Narodowej pod jego przewodnictwem. Obydwie te propozycje spotkały się z ignorancją i odrzuceniem i dlatego musieliśmy sami dźwigać ciężar odbudowy Polski w ciągu całego roku (pół roku działalności PKWN i pół roku działalności Rządu Tymczasowego), zanim powstał wreszcie Rząd Jedności Narodowej.

Najważniejsza sprawa polska nie tylko nic nie straciła, że powstał lewicowy rząd w Polsce, gdyż tylko jemu udało się korzystnie rozwiązać sprawę powojennych granic polskich. Gdyby istniał inny rząd, np. wspomniany rząd londyński, to polskie granice z trzech stron: zachodu, północy i wschodu byłyby gorsze niż te, które udało się nam osiągnąć. Więc sprawdziło się i drugie polskie przysłowie: *Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło!*

W lipcu 1944 roku ruszyła ofensywa na Bugu, a wraz z tym zaczęły być wyzwolane ziemie polskie, które miały przypaść Polsce Ludowej. Zaszła konieczność zawarcia odnośnego porozumienia ze stroną radziecką o administracji na terenach oswojonych. Podobne porozumienia zawierały zresztą inne kraje, jak np. Czechosłowacja.

Udaliśmy się w tej sprawie do Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRR w Moskwie. Mieliśmy zawierać umowę z wicekomisarzem Andrzejem Wyszyńskim. Zastaliśmy tam jednak także komisarza, Władysława Mołotowa, i z nim głównie rozmawialiśmy na ten temat. Mołotow oświadczył, że musimy najpierw podpisać umowę o granicach, abyśmy mogli zorientować się, gdzie mamy prawo administrować.

Na to mu oświadczyłem, że umowa o granicach to zbyt ważna sprawa, która wymaga namysłu i studiów, a tymczasem zachodzi potrzeba zajmowania się administracją na nowo wyzwolanych terenach...

Na to Mołotow: linia Curzona znana jest historycznie od dawna i nie wymaga studiowania, poza tym nie wymyślił jej Rosjanin, tylko lord angielski i dlatego dla Polski jest chyba obiektywna. Poza tym w Teheranie już zapadła decyzja trzech mocarstw, że właśnie ta linia ma być granicą polsko-radziecką, więc tu chodzi tylko o nasz stosunek do tej linii. Mołotow pokazał na mapie nie tylko naszą zaprojektowaną

granicę, ale także i północną, bo chodziło też o jednoczesne ustalenie granicy polsko-radzieckiej w Prusach Wschodnich.

Na wschodzie poza Wilnem i Lwowem nie było też nawet Puszczy Białowieskiej, która znajduje się poza linią Curzona, a na północy nie było Elbląga, Suwałk, Sejna, Augustowa...

Nie chcieliśmy z komisarzem tych projektów granicznych w ogóle dyskutować i oświadczyliśmy, że pragniemy omawiać tę sprawę z samym Stalinem!

Tu należy podnieść, że dotychczas wszystkie sprawy nas dotyczące, także o wiele mniejszej wagi niż granice, zawsze omawialiśmy ze Stalinem, oczywiście zawsze też w obecności i komisarza Mołotowa. Sądzę, że marszałek Stalin celowo tę sprawę przekazał Mołotowowi, pragnąc dla siebie zostawić ewentualną rolę „sądu apelacyjnego”, gdyby zaistniały tymczasem różnice zdań między nami a Mołotowem. Ale uznałem, że strategicznie nasza pozycja załatwiania sprawy za pośrednictwem byłaby gorsza aniżeli bezpośrednia. Z dotychczasowego doświadczenia orientowałem się, że ze Stalinem wszystkie sprawy załatwiane były łatwo i korzystnie, a Mołotow miał opinię niezbyt przyjaznego Polsce.

Rozumiałem, że Stalin w tym trudnym okresie prowadzenia wojny ma zbyt dużo spraw na głowie i że kwestia granic zabierze mu dużo czasu, ale nie widziałem dobrego rozwiązania przy załatwianiu sprawy granic z Mołotowem...

A tu jeszcze Michał Żymierski mi oświadczył, że w dalszych rozmowach nie będzie mógł wziąć udziału, gdyż musi pojechać „na front”. To zaczęło mnie doprowadzać do frustracji. Oświadczyłem więc Żymierskiemu, że nie zgadzam się na jego wyjazd na front, gdyż najważniejszym „frontem” jest obecnie front moskiewski i wszyscy musimy w tej bitwie wziąć udział i ponieść odpowiedzialność za najważniejszą sprawę, jaką są granice. Generał Żymierski wobec tego zrezygnował z wyjazdu na front i brał udział w rozmowach o granicach ze Stalinem.¹

U Stalina zaczęło się nie bardzo przyjaźnie. Zawsze był dla nas dotychczas miły i uśmiechnięty, a teraz ponury i od progu zapytał:

– O co im tam jeszcze chodzi? Czy o Chełmszczyznę?

Usiedliśmy do rozmowy w nieco innym składzie niż byliśmy u Mołotowa. Tam mieliśmy podpisywać umowę o administracji na terenach nowo wyzwolonych, więc był z nami też i kierownik Resortu Administracji Publicznej, Stanisław Kotek-Agroszewski. Na rozmowy ze Stalinem nie chodziliśmy wszyscy, więc tam już go nie było.²

Zacząłem referować marszałkowi Stalinowi polskie wnioski o granicach. Najpierw w sprawie granicy północnej:

– Naród Polski oczekuje, że całe Prusy Wschodnie będą należały do Polski...

– Związkowi Radzieckiemu potrzebny jest na Bałtyku port niezamarzający i w sprawie Królewca zapadła już w Teheranie decyzja trzech mocarstw, że ten port będzie należał po wojnie do Związku Radzieckiego. A za przelaną krew Armii Czerwonej należy się „kusek ziemi germanskiej”! – odparł Stalin.

Następnie, kiedy uważałem za niemożliwe, aby nasza delegacja mogła podważać teherańską decyzję Wielkich Mocarstw w sprawie Królewca, usiłowałem przekonywać Stalina, że jeśli chodzi o symboliczność „za przelaną krew”, to może być znacznie mniejsze to lądowe dojscie do portu w Królewcu.

Marszałek Stalin wyraził zgodę na inny, lepszy dla Polski podział Prus Wschodnich i zaznaczył nową linię na leżącej na stole mapie, ale wcale nie czerwonym ołówkiem, jak napisał w swoich wspomnieniach dr Bolesław Drobner. Ten czerwony ołówek funkcjonował dopiero, gdy Stalin zakreślał linię Nysy Łużyckiej. Linią nie będę precyzował, wszyscy ją znamy. Powiem tylko, że choć podpisywaliśmy umowę o granicach dopiero za rok, po Poczdamie, już jako RJN, to stała się ona rzeczywistością w takiej postaci, jaką ustaliliśmy 25 lipca 1944 r. Później były jeszcze drobne korekty przy delimitacji granic.

Zacząłem referować sprawę granicy wschodniej i zwracałem się najpierw o pozostawienie po polskiej stronie stacji kolejowej Chyrów, nb. miejsca urodzenia inżyniera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Chyrowa Stalin nie chciał jednak przyznać Polsce, nawet za nasze jakieś ustępstwo w innym miejscu, choć argumenty nasze były, zdawałoby się, niepodważalne! Brak stacji kolejowej Chyrów przeciął nam dwie linie

kolejowe i mieliśmy z tego tytułu przez dłuższy okres trudności komunikacyjne między Lubelszczyzną a Bieszczadami.

Można to chyba wytłumaczyć tylko w ten sposób, że brak stacji kolejowej Chyrów po stronie sąsiedniej skomplikowałby komunikację Związkowi Radzieckiemu. Przecież jeszcze trwała wojna i poważniejsze byłyby zakłócenia kolejowe w państwie, które dźwigało największy ciężar wojny.

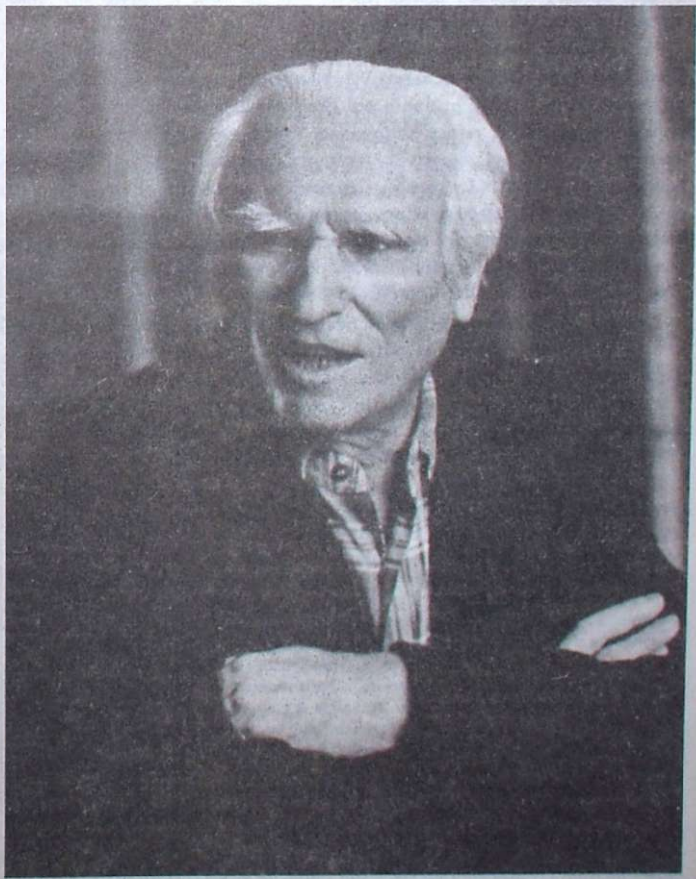
Ale przecież za rok jeszcze raz wróciliśmy do tej sprawy, kiedy wojna się już skończyła. Tym razem próbował przekonywać Stalina prezydent Bolesław Bierut. Długo opracowywał argumenty za przyłączeniem do Polski Chyrowa. Z tego powodu spóźniliśmy się całą godzinę na podpisanie umowy o granicach w sierpniu 1945 r. Stalin był za to opóźnienie bardzo zagniewany. Bierut musiał wysłuchać wymówek Stalina. Zwykle przy takich okazjach strony wygłaszają okolicznościowe przemówienia. Ja swoje wygłosiłem, Stalin nie powiedział ani słowa...

Z tematu granicy wschodniej Stalin przeszedł na temat granicy zachodniej i pokazał na mapie, co w Teheranie planowano dla Polski na zachodzie: linię Nysy Kłodzkiej na południu i Odrę bez Szczecina i Świnoujścia. A Odra bez Szczecina, to jakby Wisła bez Gdańska...

W sprawie rewindykacji na zachodzie mówiłem, że Polska pragnie odzyskać wszystkie ziemie kiedyś nam zabrane, że stawiamy warunki najskromniejsze, bo przecież i wyspa Rugia była też kiedyś polska. Co do niej Stalin oświadczył, że ją moglibyśmy zdobywać dopiero po trzeciej wojnie światowej, ale dla naszych strategicznych argumentów wykażać dużo zrozumienia. Linia na Nysie Kłodzkiej spowodowałaby ponad dwukrotne wydłużenie granicy polsko-niemieckiej. (Na Nysie Łużyckiej wynosi niecałe 500 km, na Nysie Kłodzkiej przekroczyłaby 1000 km)...

Marszałek Stalin kolorem czerwono-niebieskiego ołówka nakreślił wzdłuż Nysy Łużyckiej nową granicę polsko-niemiecką i przyjął zobowiązanie, że Związek Radziecki będzie jej bronił, aby należała do Polski i słowa dotrzymał.

Linia granicy wschodniej wydaje mi się linią uwzględniającą momenty strategiczne. Po stronie sąsiedniej pozostały takie twierdze, jak Lwów, Brześć nad Bugiem, Grodno, Królewiec. Na pewnym odcinku ściana Puszczy Białowieskiej miała być granicą polsko-radziecką, a myśmy



mieli otrzymać Hajnowkę, duży ośrodek przemysłu drzewnego bez zaplecza surowcowego...

Gdy już udało nam się uzyskać dobrą granicę na zachodzie, wróciłem jeszcze raz do granicy wschodniej. Powołałem się na znany komunikat, który na początku 1944 r. ogłosiła agencja TASS, o możliwości poprawienia linii Curzona na korzyść Polski. Oświadczyłem, że widzę trzy możliwe poprawki, które mogłyby zadowolić Polaków. Myślałem o dwóch korektach, których nie przedstawiłem, dotyczących Lwowa oraz zagłębi naftowych – borysławskiego i drohobyckiego. Wymieniłem natomiast trzecią, najskromniejszą, i zwróciłem się o przyznanie Polsce Puszczy Białowieskiej, która jest naszą puszcza narodową, a także drogą historyczną, bo w niej najdłużej zawsze polscy powstańcy walczyli o swą niepodległość z caratem. Mówiłem, że Polska ma przez okupanta bardzo wytrzebione lasy, zaś Puszcza to zaplecze surowcowe dla naszego przemysłu drzewnego, a my właśnie mamy otrzymać go w Hajnowce. Szczególnie jednak podkreślałem, że w tym rejonie nie ma ani Białorusinów, ani Ukraińców, a przecież tylko ze względów narodowościowych korygujemy granicę ryską. Mieszkańcy Puszczy nie będą protestować, gdy się znajdą w granicach Polski.

Stalin już zagniewany oświadczył, że nic z tego i powiedział: „Nada konczyt dielo”!

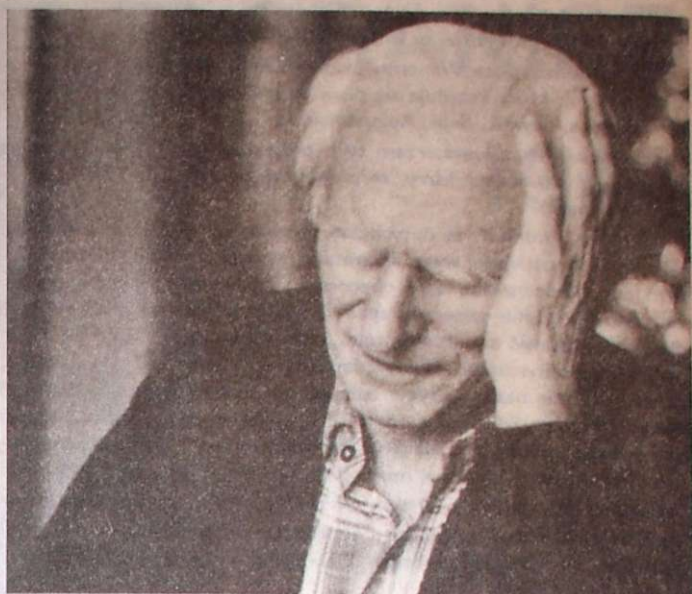
Wtedy poprosiłem o przerwę w rozmowach, żeby polska reprezentacja mogła się w tej sprawie naradzić. Na krótko przeszliśmy do pokoju obok (przy puszczałem, że pod słuchy mogą być tam zainstalowane) i oświadczyłem, że jeżeli nie otrzyma Polska Puszczy Białowieskiej, to ja będę czuć się zmuszonym do rezygnacji z funkcji przewodniczącego PKWN, gdyż bez Puszczy nie uważam granicy za sprawiedliwą i nie znalazłbym w sobie dość sił duchowych, aby ją usprawiedliwić przed narodem. Wszyscy najpierw mi dziękowali, że już nie wyrwałem się ze sprawą Lwowa, który był niemożliwy do uzyskania i mógł tylko popsuć atmosferę rozmów. Wypowiadali opinie, że pewnie znajdzie się jakieś wyjście, że nie dojdzie aż do mojej rezygnacji.

Ustaliliśmy, żeby zaakcentować jedność wśród polskiej delegacji, że po przerwie wystąpi w naszym imieniu ktoś inny, kto podziękuję Stalinowi za już poczynione ustępstwa i zwróci się do niego o rozpatrzenie sprawy Puszczy Białowieskiej jeszcze raz. I do tej roli teraz wyznaczaliśmy generała Żymierskiego.

Po wznowieniu rozmów siedziałem milczący i zachmurzony, a Stalin świdrował mnie swoimi oczami. Wydawało mi się, że jakby badał, czy zapowiedzianą groźbę podania się do dymisji mam rzeczywiście wykonać. Jak później z relacji Stanisława Szwalbego wynikało, to w pewnym sensie Stalin był „ojcem chrzestnym” przewodniczącego PKWN, a poradził to „Wandzie Lwownie” i właśnie w tym sedno, żeby argument skuteczny był wysunięty w odpowiedniej chwili. Tak się już układa nasza historia, że po raz drugi Polska powstawała do życia i po raz drugi na czele rządu ludowego stanął członek partii, która na swoim sztandarze wypisała dwa hasła: Niepodległość i Socjalizm.

Generał Żymierski podziękował Stalinowi za dotychczasowe poprawki w sprawie granicy północnej oraz zachodniej i poprosił o rozważenie jeszcze raz sprawy Puszczy Białowieskiej. Stalin, wydało mi się, westchnął i powiedział: – Cóż ja z Wami pocznę?! Chyba muszę się naradzić z moimi Białorusinami. – Tak pewnie nazwał członków Biura Politycznego, bo w takiej ważnej sprawie, jak strategiczna granica, to pewnie

¹ Tu muszę zaznaczyć, że ogarnęło mnie zdumienie, kiedy na XXX-lecie PRL wyczytałem w piśmie „Za wolność i lud” wspomnienie marszałka Michała Żymierskiego ze swojego pierwszego spotkania 16 lipca 1944 r. ze Stalinem, na którym to spotkaniu Stalin rzekomo przyrzekł Polsce granicę na Odrze i Nysie. Ten mit został także dwukrotnie powtórzony w monografii WIH „Marszałek Michał Żymierski”, a tymczasem On w najbardziej palącej chwili zataił tak ważną wiadomość nie tylko przede mną, ale i przed wszystkimi w Moskwie, w dodatku pragnął się uchylić od dalszych rozmów o granicy. A gdy 25 lipca 1944 r. w czasie rozmowy ze Stalinem siedział obok mnie, a Stalin nam pokazywał na mapie granicę zachodnią na Nysie Kłodzkiej, „zapominając” o „przyrzeczeniu” danym 16 lipca generałowi Żymierskiemu, to tenże też nie przypomniał o tym Stalinowi! Ileż to wymówek zostało uczynionych Stanisławowi Mikołajczykowi, że nas nie poinformował o liście Cadogana, a tu cisza jak makiem zasiał. Oto jak powstają mity i białe plamy! Do zbawidowskiego organu protestującego pisma nie posyłałem, bo nie wierzyłem w skuteczność jego zamieszczenia w sytuacji, gdy marszałek jest honorowym przewodniczącym Związku. Zwróciłem tylko uwagę historykom z WIH, na co otrzymałem odpowiedź: „Napisałismo to na podstawie relacji... Marszałek się tego domagał, żebyśmy tak napisali, jak on podał... Ja jestem tylko pułkownikiem i muszę słuchać starszego rangą od siebie marszałka”!



i jemu samemu wypadło się kolektywnie naradzić...

Nastąpiła druga przerwa, która trwała niecałą godzinę, po upływie której zadzwonił Mołotow do mnie i złożył mi gratulacje, oświadczając, że Stalin wyraził zgodę, aby połowa Puszczy z Białowieżą należała do Polski. Wszyscy uznali to za sukces, a ja tylko za połowiczny. Ale już zdałem sobie sprawę z tego, że nie można przeciągać struny i pogodziłem się z losem w tej sprawie.

W nocy nastąpiło podpisanie trzech umów: wytyczne o granicach, o administracji na terenach nowo wyzwolonych i finansowej o relacji rubla do złotego. Przy tej ostatniej Mołotow zaproponował relację jak 1:10, ja zaś jak 1:1. Przyjęta została moja propozycja.

Następnie zaproszono nas na lampkę wina. Marszałek Stalin był już w dobrym humorze i trącał się ze mną kieliszkiem, pomimo że „wyrwałem Związkowi Radzieckiemu pół Puszczy Białowieskiej”. Ja zaś powiedziałem: „W tej Puszczy Goering z Beckiem spiskowali przeciwko Związkowi Radzieckiemu, a my w niej powinniśmy podpisać pakt przyjaźni polsko-radzieckiej”. Marszałek temu przytaknął. I choć nie w Białowieży, tylko w Moskwie, po niecałym roku, taki pakt polsko-radziecki podpisaliśmy (21 kwietnia 1945 r.).

I tylko się dziwię, że czasem w akademii jubileuszowej, na którą mnie, żyjącego świadka i współsprawcę tego paktu, nikt nie zaprasza, słyszę, jak jakiś debil lub kłamca w postaci dziennikarza komentuje, że właśnie obchodzimy rocznicę tego wiekopomnego dzieła, które podpisali ze strony radzieckiej Stalin, a ze strony polskiej... Bolesław Bierut, choć nie on go podpisywał.

EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI

² I znowu mała dygresja. Lata sześćdziesiąte: odwiedza mnie b. kierownik Re-sortu Administracji Publicznej, piszący swoje wspomnienia z czasów PKWN dla „Ossolineum”. Prosi o konsultację. Pokazuję Mu protokoły z mojego archiwum o naszych debatach w sprawie granic w 1944 r. Jest rozczarowany, że w sprawozdaniu z rozmów ze Stalinem o granicach są wymienione nazwiska ludowców. Andrzej Witosa i inż. Jana Grubeckiego, a pominięto zostało jego nazwisko. Jest dopiero wymienione później, kiedy delegacja prowadząca rozmowy o granicach ze Stalinem składała sprawozdanie całemu PKWN. Usłuj mi „przypominać”, że ja rzekomo walczyłem o Lwów, a On o Puszczy Białowieską, a w protokole o tym nic nie napisano. Mijają znowu lata i czytam w „Zielonym Sztandarze” wspomnienia ob. Stanisława Kotka-Agroszewskiego, jak to On walczył o Puszczy Białowieską, a ja mu nawet w tym nie dopomogłem. Do „Zielonego Sztandaru” napisałem sprostowanie, które zamieszczono. Tylko że otrzymałem telefoniczne żądanie od ob. Kotka-Agroszewskiego, ażebym sprostował swoje sprostowanie, bo inaczej spotkamy się w sądzie! Odpowiedziałem, że pisałem zgodnie z prawdą i nie mogę nic odwoływać. A niebawem On sam znalazł się na Sądzie Ostatecznym, a ja tylko uczestniczyłem w ceremonii Jego pożegnania. I było mi bardzo przykro, gdy byłem świadkiem, jak jakiś cerber, kierujący ceremonią pogrzebową, wyrwał przyjacielowi zmarłego mikrofon z ręki, bo nic więcej – nic oficjalnego – nie wolno już było powiedzieć o zmarłym, zastużonym, skrzywdzonym działaczowi ruchu ludowego. Było mi obowizkiem i zamierzałem to uczynić, aby pożegnać zmarłego jako b. przewodniczącego PKWN. Ale po tej scenie, jaką na własne oczy oglądałem, nie próbowałem już sam się na to narażać.

Reprodukowany obraz olejny Tymona Niesiołowskiego *Po kąpeli* (1933) prezentowany był na wystawie „Wileńskie środowisko artystyczne 1919–1945”, zorganizowanej z rozmachem przez olsztyńskie BWA w oparciu o zbiory i kolekcje krajowe. Wedle informacji Krystyny Rutkowskiej, dyrektorki tej dynamicznej placówki, impreza stanowiła pierwszą w powojennej Polsce prezentację wileńskiego środowiska plastycznego. *Środowisko to zostało niestusznie zapomniane w czasach, gdy o polskim Wilnie nie sposób było pisać, a preferencje krytyków i historyków sztuki skłaniały się raczej ku o-*

wianiu i badaniu przedwojennych środowisk awangardowych. Tymczasem prężnie działający Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego i kilka konkurujących ze sobą związków plastycznych pozostawiły po sobie niebagatelny dorobek.

Przygotowana merytorycznie przez Kazimierza Brakonieckiego wystawa olsztyńska odbywała się pod patronatem Stanisława Lorentza, obejmując malarstwo, grafikę, rzeźbę, rysunek oraz fotografię i wydawnictwa dokumentujące życie sztuki w Wilnie. Znajdowały się na niej prace autoryzowane m.in.

przez Ferdynanda Ruszczyca, Ludomira Siendzińskiego, Zbigniewa Pronaszkę, Tymona Niesiołowskiego, Henryka Kunę i Jana Butnaka...

Na uwagę zasługuje też katalog wystawy: przygotowany z wielką troską o walory poznawcze i estetyczne, mieszczący artykuły kilku historyków i krytyków sztuki, noty biograficzne artystów, bibliografię i kilkadziesiąt reprodukcji, w większości barwnych. Rzecz wydrukowana na dobrym papierze, w nakładzie 2000 egzemplarzy. Kto interesuje się sztuką międzywojennej Wileńszczyzny, ten z pewnością umiesci to wydawnictwo w swojej bibliotece. Pewne wyobrażenie o treści katalogowych tekstów dają takie oto fragmenty:

Wilno, zamknięte w worku między 3 granicami, nie miało szans na rozwój przemysłowy. Było miastem uniwersyteckim, miastem sztuki i kultury, życia umysłowego. Wzruszające było powszechne przywiązanie do tradycji i troska o rozwój życia umysłowego. [...] I bardzo życzliwie, z dużym zainteresowaniem obserwowano rozpoczęcie przeze mnie konserwacji ruin zamku w Trokach, którą pod nadzorem Juliusza Kłosa prowadził Jan Borowski. A szybko uznano mnie za wilnianina, gdy w ciągu pierwszych miesięcy mej działalności w Wilnie udało się przy bardzo życzliwej pomocy wojewody Władysława Raczkiewicza uwolnić w gmachu pobazyliańskim piętro jednego ze skrzydeł gmachu, w którym mieściło się więzienie filomatów i filaretów z „Cielą Konrada” i przekazać to pomieszczenie Związкови Literatów już w październiku 1929 r. – Stanisław Lorentz.

Pełnym szacunkiem darzę braci Litwinów i nigdy nie będę pragnął odebrać im litewskiego Wilna, ale niech nie mają do mnie żalu, że zachowam w sercu także to moje, polskie, to wspaniałe miasto nie z tego świata. Miasto myśli, uczuć, natchnień, gwiazda pośród lesistych i polnych łagodnych obszarów, wśród których prześwitują jasne oczy jezior – Tadeusz Chrzanowski.

Obfitością faktów i syntetycznym ujęciem wyróżnia się w katalogu artykuł Jerzego Malinowskiego *Kultura artystyczna Wilna 1893–1945*, który rozpoczyna taka konstatacja: *Okres 1919–1945, któremu poświęcona jest wystawa, to końcowe ogniwo długiego procesu historycznego, sięgającego swymi początkami 1797 roku. Utworzono wówczas w Uniwersytecie Wileńskim katedrę malarstwa, powołując na stanowiska profesora i adiunkta dwóch malarzy z Warszawy – Franciszka Smuglewicza i Jana Rustema.*

Wystawa w olsztyńskim BWA czynna była od 3 czerwca do 10 września br.

K.

TYMON NIESIOŁOWSKI:
Po kąpeli, 1933; olej, płótno
– własność Muzeum Warmii
i Mazur w Olsztynie



jakbym Chełma

W tej scenerii uwiecznia poeta gesty rozmodlonej matki i ojca przywiązanego do realiów egzystencji:

*Po majówce może o północy
Ojciec wkładał wytartą kurtkę
I biorąc do ręki laskę coś jak przyszyły kostur
Szedł po matkę która od nadmiaru ave
Nie mogła unieść się z klęczek.*

(„W ogrodzie mego ojca”
z tomu „Nocne rozmowy”)

Mając dwadzieścia lat Iwaniuk publikował już swoje wiersze w „Kamieniu”, „Okolicy Poetów”, „Kuźni Młodych” i wielu innych, licznych wówczas pismach literackich. Należał do przedwojennej grupy poetyckiej „Pryzmaty”. Pierwszy jego tomik z poematem „Pełnia czerwca” ukazał się w Chełmie nakładem Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń” w 1936 roku. We wspomnianym liście do mnie Wacław Iwaniuk tak pisze o tamtych latach:

„Pryzmaty” to była nasza szkolna grupa poetycka, w której najbardziej działał Popowski, mieszkający po wojnie w Warszawie, zaś „Wołyń” założył Czesław Janczarski – poeta i powojenny redaktor „Misja”. Należeli do niej Wołyniacy, a mnie dołączono z powodu podchorążówki, którą ukończyłem w Równem. [...] Nie pamiętam wszystkich nazwisk, więc nie chcę zgadywać, kto należał do grupy.

Później przyszła kolej na studia na wydziale prawno-ekonomicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. W 1939 roku poeta otrzymał stypendium Funduszu Kultury Narodowej i z ramienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych odbył praktykę konsularną w Buenos Aires, gdzie zastał go wybuch wojny.

Jako ochotnik przydzielony został do Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich i brał udział w walkach pod Narvikiem. Po kapitulacji Francji, przedzierając się przez Hiszpanię do Wielkiej Brytanii, został schwytany przez policję hiszpańską i osadzony w więzieniu w Figueras, a potem w obozie koncentracyjnym w Mirandzie. W Hiszpanii spotkał również Józefa Łobodowskiego, który zdecydował się osiedlić tam na zawsze. Iwaniuk dotarł w końcu przez Gibraltar do Anglii i wstąpił w szeregi Pierwszej Dywizji Panczernej gen. Maczka. Brał udział w działaniach wojennych we Francji, Belgii, Holandii i Niemczech, gdzie przebywał z brytyjską armią okupacyjną do 1946 roku.

Po powrocie do Wielkiej Brytanii przez dwa lata studiował w Cambridge, potem wyemigrował do Kanady. Najpierw pracował fizycznie w rzeźni, a następnie w Ministerstwie Sprawiedliwości rządu prowincji Ontario jako referent wypadków drogowych w sądzie. Poza tym pisał wiersze i był czynnym organizatorem polskiego życia emigracyjnego w Toronto. Między innymi założył tam klub literacko-artystyczny „Smocza Jama”.

Kiedy czyta się wiersze Wacława Iwaniuka, odnosi się wrażenie, że jako poetę ukształtowały go przeżycia wojenne i że dotąd nie wyzwolił się on z przemocy koszmarnego wojennego:

*Czas okrutnie nas niszczy. Poezja
zamknęła swoje usta. Jest niema
po paraliżu wojny.*

Nie uprawia jednorodnej poetyki. Kolejne tomy jego wierszy, wydawane w Londynie lub Paryżu, cechuje eklektyzm upodobań poetyckich i wierność w zapisie samemu sobie – swoim doświadczeniom i mądrości życiowej. Twórczość Wacława Iwaniuka „tłumaczy się” sama, przemawiając do nas wprost. Nie ma w niej wyszukanych metafor czy form wierszowania. Każdy tekst ujmuje swoją naturalną szczerością wypowiedzi. Stąd też jego wiersze tłumaczone były na włoski, francuski, hebrajski, ukraiński; są znane w świecie. Ten najbardziej wybitniejszy obok Miłosa polski poeta emigracyjny przynajmniej twórczością stał się obecny w swoim rodzinnym kraju. Na ten powrót czekaliśmy zbyt długo.

Kiedy w grudniu 1988 roku opublikowałem w „Tygodniku Chełmskim” krótki szkic o Wacławie Iwaniuku, zakończyłem go słowami: *Chełm czyni dziś pierwszy braterski gest w stronę poety. Czy zostanie on odwzajemniony?* Dziś mogę już dopisać ciąg dalszy. Publikowane obok wiersze i zdjęcie pochodzą z nadesłanej przez poetę korespondencji, który tym samym nawiązał współpracę z naszym kwartalnikiem.

HENRYK RADEJ



Trudno jest pisać o autorze, którego nie ma w kraju od pół wieku – dosłownie i w przenośni. Jego wiersze różnymi drogami docierały do polskiego czytelnika. Jego nazwisko sporadycznie trafiło do literackich publikacji, najczęściej dzięki niewiedzy lub nieuwadze cenzorów. Autorem tym jest WACŁAW IWANIUK – polski poeta emigracyjny. Dziś obserwujemy jego powrót z mroków oddalenia i tłumionej pamięci. W ciągu ostatnich dwóch lat doliczyłem się w polskiej prasie kilku artykułów, wspominających jego życie i twórczość. A jest ona godna uwagi, bo ponad dwadzieścia tomików wierszy Wacława Iwaniuka znalazło już swoje miejsce we współczesnej literaturze światowej. Także w Polsce jego utwory ukażą się niebawem w normalnym obiegu czytelnicznym. Ich druk zapowiedziały już takie oficyny, jak: krakowskie Wydawnictwo Literackie, Biblioteka „Więzi” i Wydawnictwo Lubelskie.

Jedynie poloniści badający życie i twórczość Wacława Iwaniuka wiedzą, że Chełm to miasto jego młodości, szkolnych lat i debiutu literackiego. Śmiem twierdzić, że Chełm zapomniał o swoim rodaku, chociaż ten często przyznaje się do niego w swojej twórczości i listach.

*Tak Chełm był zawsze pępkiem mego świata
choć były ważniejsze od niego miasta
ale tam sakramenty rozdawano z ambon
gdy nam nasze przynosiła bogata Natura.*

*Nasza Górka Katedralna była bliżej nieba
i my jej mieszkańcy wiedzieliśmy o tym
patrząc z wyrozumiałością na niziną Litwę
piaszczyste Mazowsze z Warszawą na klęczkach.
W Chełmie słońce świeciło tylko dla nas.*

(„Nocne rozmowy”)

Wacław Iwaniuk urodził się 4 grudnia we wsi Chojno Stare koło Chełma. W latach trzydziestych uczęszczał do Seminarium Nauczycielskiego Męskiego przy ulicy Reformackiej (obecnie Dzierżyńskiego). Maja Elżbieta Cybulska – autorka książki o poecie, wydanej w Oficynie Poetów i Malarzy (Londyn 1984) – cytując fragmenty jego listów do niej, tak pisze:

Sięgając pamięcią do Chełma Iwaniuk przywołuje atmosferę rodzinną sielską i pogodną, a za sprawą matki, Józefiny z Dyszewskich, szczerze religijną. Toteż jak wspomina, „wyniósł z domu głębokie przywiązanie do ziemi otoczonej granicznym płotem, zwaną ojczyzną, metafizyczną omalże do niej miłość i romantyczne zapaty, choć realizm tamtych lat był namacalny i bolesny.

Z kolei w liście do mnie z 6 marca 1989 roku, poeta pisze: *Odnoszę wrażenie, tak jakbym Chełma nigdy nie opuścił. Był i jest mi bliski, mimo tylu lat, wojennych frontów i krajów zamieszkania. Naturalnie, miałem podczas wojny i po wojnie sporadyczne kontakty z kolegami z Chełma i pisarzami, z którymi zaprzyjaźniłem się podczas studiów. Nie wszystkie kontakty przetrwały, bo tak odległość, jak i praca zawodowa nie pozwalały na to.*

W jego wierszach serdecznych, nostalgicznych i umitycznionych pojawia się „miasteczko Ch.” jako „Nazaret rozstrzelane nocą”, albo „pępek świata”. Kwiaty w przydomowym ogródku uginają się od „nadmiaru rosy”, a słowiki są tak „wielkie jak gołębie”.

nigdy nie opuścił”

Wacław Iwaniuk

Pozostał mi tabędzi śpiew

Śmierć ma swoje smakowite kąski
jak ja mój ciemny lęk;

kwiaty

o smutnych twarzach opuszczają ogród
ciche łzy deszczu żegnają ich odejście –
czymże jest przeto wieczność
królewska

z poduszkami wawelskich kamieni pod głową
czym nasze bezimienne czyścce.

Żyłem krakowskim targiem
choć Lajkonika widziałem raz w życiu;
odziedziczona po przodkach rycerska tandeta
rozpierała mi piersi;

Moja kosmologia

Ciągle wpadam w te same koleiny słów
w rozgwiadzy klonowych drzew.

To tutejsze Genezaret tak mi zaszło pod skórę.
Wczoraj gdy się pode mną rozstąpiła ziemia
nie mogłem unieść ręki.

A jednak bosą stopą przeszedłem ją wskroś;
była ze mną wśród skał Norwegii
nad biblijnym Genezaret którego już nie ma.
Melioracja współczesna wypila wszystkie wody.

Możemy się jeszcze spotkać
wśród czterech ścian w obcym kraju
nad tutejszym Jeziorem. Nie wiem
dlaczego kartografom odpowiada błękitny kolor
dlaczego woda jest niebieska
gdy wewnątrz jej jest z kryształu. Ostatnio
coraz częściej mówi się o oszczędzaniu wody
zwłaszcza gdy stare kanały na Marsie
okazały się fikcją.

Teleskopy penetrują dziś odległe gniazda gwiazd
pył mlecznych dróg nabiera kształtów
niebo też traci powoli na swojej świętości
jego tajemnice zastrzeżone soborem trydenckim
są dziś własnością wszystkich.

Pan Bóg wciąż jeszcze żyje
ale świętych jest już coraz mniej
znikają zdegradowani przez rzymskich teologów.

W piekle posucha
jego mieszkańcy są wśród nas
na ziemskich usługach
te zaś na oczach się kończą;
i tak wkrótce ogień wszystko spopiel
bryźnie w oczy ciemnością.

we mnie
wciąż płyną Wisły wezbrane krwią
moje kości są miękkie jak otów
rozgrzany w wojennych piecach.
Moje potyczki zmyła piana czasu
nie zostawiłem śladu
łędźwie i kręgosłup zmęczone milczą
i nie Hejnał mi w głowie
ale wróbli śpiew
ale kukanie kukulki

W otwarte okno bluzga ogień słońca
jak z otwartej rany bluzga krew
na oczach bezradnych rąk –

w moich włosach kły wiatru –

Pozostał mi tabędzi śpiew
strzały słów wymierzone we mnie
pływający w obłokach trup Ziemi.

Pieśń Owidiusza

Panny mają ogony, a w ogonach promień.
Ciężkie włosy, gwiazdziste snopy głów.
Jeżeli panna się odwróci,
odejdzie bez słów,
niebo zaleją starożytne konie.

Wtedy dzwonki uderzą w klawisze.
Struny włochate jękną – rozśpiewają struny.
Panny, odchodząc, omijają ciszę,
fortepian dzwoni – dźwięk u palców wisi.
Ruszają wtedy starożytne konie.
Na czole kołpak, ogień w sercach płonie.

A ponad głową.
A ponad głową
śpiewa syrena: Mitość leży w dłoni.

Nie przytulaj się do mnie czule.
Nie zakrywaj skrzydłami twarzy.
Bo mam oczy zakryte bólem.
Szarym prochem – pieśnią grabarzy.
Nie przytulaj się do mnie jękiem.

Świat bez ciebie jest zawsze pusty.
Nagle anioł u stóp jej kłęka
i całuje w bezbożne usta.

Panny mają ogony. Zagniewany głos.
Promień nie świeci w oczy ale pada cieniem.
Płaczesz. Wtedy Korynna rozplata swe włosy.
(Oto nadchodzi chwila metamorfoz).

W ósmym roku już cię nikt nie wspomni
Owidiuszu, gdy masz oczy zwrócone ku Toni.



Zespołowi Redakcyjnemu
i Czytelnikom miesięcznej
"Kamery"
Chętniamin
W. Iwaniuk

EUGENIUSZ JANAS

Szlachta polska wyodrębniła się dla rządu oraz obrony reszty ludności i kraju – pisał w XVI wieku ceniony dziejopis Marcin Kromer, sam zresztą mieszczański syn, później nobilitowany. Wtórował mu w następnym stuleciu popularny pisarz i publicysta, ksiądz Szymon Starowolski: Naród polski najpierw dzieli się na stan rycerski, czyli szlachtę, oraz pospółstwo, dalej na stan duchowny i świecki. Szlachcie rządy oraz obrona ojczyzny w udziale przypadają, pospółstwu rolnictwo, handel i rzemiosła... W hierarchicznym układzie wzajemnych zależności społeczny podział ról był więc uważany za podstawowy element niejako naturalnego, słusznego i sprawiedliwego porządku rzeczy. Rządzącym oraz broniącym kraju należało się oczywiście miejsce specjalne. W zgodzie z własnym interesem zbudowała szlachta państwo, nie przypadkiem nazywane Rzeczpospolitą, wspólnym dziełem i dobrem, w którym przez ponad cztery wieki potrafiła utrzymać prymat. Jego uzasadnieniem miała być nie tylko uprzywilejowana pozycja prawna, potęga materialna wobec kraju, ale również wartości składające się na szlachecki klejnot.

Stanową przynależność określało w pierwszym rzędzie urodzenie. Szlachcicem mógł być w zasadzie tylko ktoś zrodzony z ojca i matki szlacheckiego pochodzenia. W nie tak rzadkich wypadkach podważania szlachectwa, należało udowodnić „prawidłowe” pochodzenie od trzech pokoleń. „Urodzeni” wyróżniali się ponadto licznymi innymi atrybutami, których nie miały pozostałe stany. Dysponowali pokaźnym zestawem różnorodnych przywilejów, herbami i zawołaniami, a od 1496 r. wyłącznym prawem posiadania ziemi, które uważano za szczególnie związane z istotą statusu społecznego. Szlachectwo było też powszechnie pojmowane jako zespół pozytywnych cech nabywanych rzekomo przez dziedziczenie – składały się na nie zalety umysłu i charakteru, a nawet, jak czasem twierdzono, odmienne, rzecz jasna „lepsze”, cechy fizyczne. Szlachcica od plebeja miał też różnić wygląd zewnętrzny, mowa i obyczaje.

Wyrastała szlachta ze średniowiecznego rycerstwa. Nie była to wszakże warstwa jednolita. Dzielona się na kilka grup o odmiennych prawach, stanie posiadania, roli politycznej. Różnice wynikały także z podziałów regionalnych. Słabość władzy książęcej w XII i XIII wieku sprzyjała umocnieniu pozycji prawnych rycerstwa. Później zaś, w XIV wieku, polityka pierwszych władców zjednoczonego państwa ułatwiała zacieranie się różnic dzielących pierwotnie poszczególne grupy. Od XIII wieku trwał powolny proces powstawania jednolitego stanu. Tworzyły go przede wszystkim rody możnowładcze posiadające znaczne majątki i dzierżące urzędy oraz rycerstwo zobowiązane do służby wojskowej z tytułu otrzymanych uprzednio nadań ziemskich, z czasem jednak wyzwalające swe posiadłości spod zależności sądowej i ekonomicznej od książąt. Do nowego stanu wchodziła także część uboższych grup rycerstwa drobnego, służebnego i włódków. Pozostała część ulegała degradacji.

Uprzywilejowany status osiągnęli również ludzie „nowi”, czasem obcego pochodzenia, wynoszeni mocą monarszych postanowień. Nawijaniu ściślejszych więzi stanowych sprzyjało powstawanie rodów rycerskich opartych na związkach krwi oraz rodów heraldycznych posiadających wspólne godło. Podobną rolę pełnił

upowszechniający się obyczaj rycerski – pasowania, turnieje, kadeks honorowy. W połowie XIV wieku szlachta była już stanem dość jednolitym. Wyraźne wydzielenie wynikało ze statutów Kazimierza Wielkiego, które ustalały zasadę, iż szlachcicem jest ten, kto pochodzi z rodziny szlacheckiej. Nie oznaczało to jednak definitywnego zamknięcia stanu.

Świadomość rycerskiego rodowodu pozostawała trwałą częścią szlacheckiej ideologii i mentalności. W stałym obiegu znajdowała się nazwa „stan rycerski”, traktowana zamiennie wobec określenia „szlachta”. Rozpowszechnione było mniemanie, iż kraj nie potrzebuje stałej armii zawodowej, która w rękach króla-tyrana może stać się narzędziem absolutyzmu, nie najważniejsze są twierdze strzegące granic. Najpewniejszą obronę zapewnić miało szlacheckie pospolite ruszenie, w każdej chwili gotowe do działania. W ten właśnie sposób zamierzali „urodzeni” wypełniać rycerski tytuł uzasadniający hegemonię stanu.

Rzeczywistość jednak coraz częściej przeczyła utartemu przeświadczeniu. Od XV wieku szlachta stopniowo stawiała się stanem ziemiańskim, zainteresowanym przede wszystkim gospodarowaniem i bogaceniem się. W codziennej postawie zwyciężał pacyfizm, cnoty rycerskie pielęgnowano głównie w wychowaniu potomków. Na polach bitewnych, jak w początkach wojny 13-letniej z Krzyżakami, pod Piławcami w 1648 r. czy pod Gołębim i Lublinem w 1672 r., pospolite ruszenie stawało się przeżytkiem, było niesforne i słabo wyszkolone, okazywało większą skłonność do manifestacji politycznych niż do działań wojskowych. Lepsze było stałe wojsko zawodowe, składające się zresztą w znacznej części ze szlacheckich synów.

Ale frazes rycerski pozostał – choćby w rozbudowanej retoryce szlacheckich mów, traktatów i panegiryków, czy też w symbolicznym *decorum* marsowych portretów i nagrobków. Utarta konwencja, ale i głębsze przeświadczenie ideowe nakazywały portretować magnata i szlachcica w pełnym rynsztunku wojennym. W XVII wieku miało to jakieś uzasadnienie, ale w następnym stuleciu, gdy okazje do walki nie zdarzały się zbyt często, był to już znamieny anachronizm. Wtedy właśnie powstawało bardzo wiele takich żołnierskich wizerunków. Rzecz ciekawa – popularnością cieszył się nie, jak można by sądzić, barwny mundur XVIII-wiecznego generała, lecz archaiczny, właśnie rycerski pancerz. Wiara w rycerski etos szlachty prowadziła czasem do wniosków zgola nieoczekiwanych. Benedykt Chmielowski, autor kuriozalnej encyklopedii *Nowe Ateny* wydanej w czasach saskich, pisał np., że Polacy nawykli do oręża *szable na karkach nieprzyjaciół, nie język polerując, dla tego mieli język słowieński prosty, nie polerowany; więc dlatego niekształtu tudzież w braku słów dobrych [...] terminów łacińskich i innych dla okraszy zażywać musieli...*

Od końca XIV wieku pozycja polityczna szlachty stale rosła. O jej sile decydowała już sama liczebność stanu – 10 procent mieszkańców kraju, rzecz niespotykana w Europie, szczyliło się posiadaniem pełni praw szlacheckich. Przesądziły jednak okoliczności polityczne. Koniec rządów dynastii piastowskiej, pełne konfliktów panowanie Ludwika Węgierskiego, powołanie na tron Władysława Jagiełły i jego późniejsze zabiegi o zapewnienie władzy następcom – oto okoliczności, które dobrze zorganizowany i świadomy swych interesów stan potrafił wykorzystać.

Utrwalił się zwyczaj zwoływania zjazdów ogólnokrajowych i prowincjonalnych. Do rangi zasady urastała praktyka podejmowania kluczowych decyzji przy udziale możnowładztwa i szlachty. Elekcyjni władcy musieli liczyć się z opinią publiczną. Chcąc uzyskać poparcie lub ulegając naciskowi, zmuszani byli do nadawania przywilejów. Pierwszy, wydany w 1374 r. w Koszycach dla całego stanu, stał się precedensem. Następne, ogłaszane w XV i XVI wieku, tworzyły nowy porządek społeczny i polityczny. Ostateczna organizacja państwa ustalona w drugiej połowie XVI wieku (zwłaszcza akt Unii Lubelskiej z 1569 r., zasady wolnej elekcji i artykuły henrykowskie z 1573 r.) kończyła proces budowy ustroju demokracji szlacheckiej. Do końca istnienia Rzeczypospolitej nie uległ on już poważniejszym zmianom.

„Złota wolność” stawała się podstawową cechą państwa i głównym hasłem ideologii stanowej. Wiele racji miał popularny publicysta z XVI wieku, Stanisław Orzechowski, pisząc, że szlachcic *śpiewa, tańczy swobodnie, nie mając sobie niewolnego obowiązku żadnego, nie będąc nic królowi, panu swemu zwierchniemu, innego winien, jedno to tytuł na pozwie, dwa grosza z łanu a pospolitą wojnę; czwartego nie ma Polak nic, co by jemu w Królestwie myśl dobrą kaziło*. Wierzono, iż mieszkańcy innych krajów żyją w tyranii. Nawet żywe kontakty z Europą nie były w stanie osłabić owego przekonania. Rodziło się z czasem megalomańskie poczucie doskonałości i wyższości polskiego ustroju.

Swobody szlachty były rzeczywiście olbrzymie. Praktycznie nie obciążały jej świadczenia na rzecz państwa, podatek 2 groszy z łanu płacili bowiem chłopci z dóbr szlacheckich. Zdobyła nietykalność osobistą i majątkową – bez wyroku sądu nie wolno było szlachcica więzić i pozbawiać majątku. Tylko „urodzeni” mogli posiadać ziemię, sprawować urzędy i dostojęstwa, obejmować wyższe godności kościelne. Przywiązany do ziemi chłop był w pełni poddany władzy pana. Szlachcic uzyskał szereg przywilejów gospodarczych – mógł np. kupować sól po niższej cenie oraz sprowadzać i wywozić własne towary bez cła. System ekonomiczny oparty

na folwarku i pańszczyźnie przez wiele dziesiątków lat zapewniał wysokie dochody i zamożność.

Szczególnie ważne były jednak uprawnienia polityczne. Władza królewska została znacznie ograniczona. Wielką, stale rosnącą pozycję posiadał szlachecki sejm. Lokalną władzę samorządową w województwach i ziemiach sprawował sejmik, w którym mógł uczestniczyć każdy „urodzony”. Sądy stanowe, od 1578 r. także trybunał – sąd apelacyjny, znajdowały się w rękach szlachty. Cała brać herbowa miała czynne i bierne prawo wyborcze do sejmu, wybierała króla, któremu mogła wypowiedzieć posłuszeństwo, posiadała praktycznie nieograniczoną wolność słowa i wyznania.

Podkreśla się nieraz, że tak znaczny zasięg praw obywatelskich inne kraje europejskie osiągnęły dopiero w XIX wieku. Wskazuje się też, że to szlachta polska, w XVI wieku rozróżniona w wierze, stworzyła wprawdzie faktyczną, a potem formalną zasadę tolerancji religijnej, również wyprzedzając Europę. System polityczny, chociaż z pewnością nie był dziełem doskonałym, zapewniał przecież państwu i jego wszystkim, nie tylko „urodzonym” mieszkańcom, spokój wewnętrzny, czynił z Rzeczypospolitej mocarstwo europejskiej miary, przynosił niewątpliwie awans cywilizacyjny i kulturalny, zapewniał zamożność warstwy rządzącej. Położenie materialne mieszczan i chłopów także nie było najgorsze. W postawach szlachty, obok stanowego egoizmu i poczucia wyższości wobec gorzej urodzonych, występowała też odpowiedzialność za państwo, legalizm, niechęć do rozwiązań skrajnych i wola kompromisu. Wielu dowodów wysokiej kultury politycznej dostarcza zwłaszcza działalność szlacheckiego ruchu egzekucyjnego.

To jedna strona medalu. Druga jest mniej świetna. Mówi się czasami, chyba z przesadą, że system stworzony przez szlachtę krył w sobie zalążki przyszłej słabości i zapowiadał katastrofę. Wyraźne objawy kryzysu wystąpiły jednak w połowie XVII wieku. Jego najbardziej może symbolicznym wyrazem stało się fatalne w skutkach *liberum veto*. Wystąpienie Radziwiłłowskiego klienta, Władysława Sicińskiego, zrywającego sejm 1652 r., było triumfem wolności szlacheckiej najgorzej pojętej. Działalność Stanisława Stadnickiego, osławionego „diabła łańcuckiego”, warchoła i awanturnika, „bohatera” licznych wojen prywatnych, lub też poczynania wielkich panów, takich jak Janusz Radziwiłł, który oddał Litwę Szwedom, czy Jerzy Lubomirski, który wywołał rokosz i wojnę domową, mogą być uznane za objawy choroby systemu.

Ustrój państwa trwał w dawnym kształcie, nie zmieniły się formy, od XVII wieku wypełniały się jednak odmienną treścią. Głębokie przekształcenia wewnątrz stanu szlacheckiego i wzrost roli magnatów, dużo gorsza sytuacja międzynarodowa i przegrane wojny, paraliż sejmu, niepomysłne warunki rozwoju gospodarki i zniszczenia kraju, odejście od zasad tolerancji i upadek kultury, stale powracający konflikt polityczny wyrażający się w sporze między „złotą wolnością” i „absolutum dominium”, anarchia i rosnący partykularyzm, decentralizacja władzy – oto krąg wzajemnie powiązanych przyczyn i skutków słabości Rzeczypospolitej.

Patrząc dzisiaj na kryzys państwa szukamy jego przyczyn w różnych, często złożonych procesach politycznych, społecznych i gospodarczych. Widzimy błędne rozwiązania tkwiące w prawach i instytucjach, w systemie. Ludzie XVII i XVIII wieku częściej dostrzegali dowody w poglądach i zachowaniach swych współczesnych. Ubolewali na przykład nad upadkiem dawnych cnót i zwyczajów. Warto zwrócić uwagę na jedną, chyba dominującą cechę postaw szlachty – konserwatyzm. Samopoczucie stanu było na ogół dobre. Świadomość różnych słabości była jednak w niektórych okresach dość powszechna, mimo to, aż po schyłek XVIII wieku, brakowało poparcia dla programów naprawy. Zmiany były uważane za szkodliwe nowinkarstwo. Obce idee były wręcz zagrożeniem. Z poparciem natomiast spotykała się frazeolo-



Herb Jastrzębiec

gia wzywająca do umocnienia dawnych praw i odbudowy domniemanych cnót przodków. Wszystko co stare było dobre, wszystko co nowe przynajmniej podejrzane. Takie właśnie poglądy wyrażał ziemianin, obrońca dawnego porządku z traktatu magnackiego pisarza z XVII wieku, Łukasza Opalińskiego: *To baczna, to rozsądna rada kontentować się takim postanowieniem ojczyzny, jakieś stała, a o to się starać wszystkimi siłami, abyś takżeś podał potomości. I toć jest umysł mój, żadnymi niewzruszony racyjami, ta woła stateczna i nigdy nieodmienna i konkluzja: ...odmianna Rzeczypospolitej naszej w inakże postanowienie nad to, które się teraz znajduje, ani jest podobna, ani jest też potrzebna...*

Jedną z głównych zasad szlacheckich był dogmat równości stanu. Przywileje i swobody otrzymywała cała szlachta, stąd też w świetle prawa wszyscy członkowie społeczności byli równi. *Tej wolności naszej pierwszej jest fundament i matka aequalitas* (równość) – pisał Benedykt Chmielowski – *to sprawująca, aby szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie i dodawał dalej ...u Polaków dość, że szlachcic polski, a ten si fata volent* (jeżeli los zechce) *do berła, buławy, krzesła kandydat i seminarysta*. Zakładano więc, że istnieją równe szanse i każdy ma potencjalną możliwość właściwie nieograniczonego awansu. Nie było w Rzeczypospolitej żadnych formalnych stopni szlachectwa znanych w innych krajach, nie uznawano tytułów rodowych otrzymanych przez niektóre rodziny od obcych monarchów. Wyjątek uczyniono dla kilku rodzin posiadających tytuły książęce, wpisanych do aktu Unii Lubelskiej. Podejmowane niekiedy próby podważenia zasady równości były niezwykle ostro zwalczane. Tak było z projektem Władysława IV powołania Bractwa Orderu Niepokalanego Poczęcia, które miało kupiać wokół tronu elitę społeczną, tak też było z odwołaną później konstytucją sejmiku 1690 r., w której użyto niefortunnego określenia „mniejsza szlachta”.

W istocie społeczeństwo szlacheckie było głęboko podzielone, równość była mitem. Podziały wynikały przede wszystkim z wielkich różnic majątkowych. Odległości między dwoma biegunami, magnaterią i szlacheckim drobiazgiem, były olbrzymie i miały tendencję do powiększania się. Czy można mówić o równości księcia Janusza Ostrogskiego, który miał ponad 1000 wsi, i mazowieckiego „szaraka”, o którym mówiono złośliwie, ale bez wielkiej przesady, że ma pole długie jak bicz, szerokie jak nóż, głębokie do środka Ziemi?

Elitę stanu tworzyła warstwa magnacka. Podstawę jej pozycji stanowiły rozległe majątki, składające się z dóbr dziedzicznych oraz dzierżaw królewskich. Bogactwo stwarzało wpływy w lokalnych środowiskach „panów braci” i zapewniało udział w aparacie władzy. Magnaci sprawowali zwykle najważniejsze urzędy centralne, obsadzali również większość urzędów senatorskich. Istniała ścisła zależność obu czynników – majątku i władzy. Posiadanie urzędu często otwierało drogę do zdobycia lub powiększenia majątku. Niemal przez cały okres istnienia państwa szlacheckiego magnateria odgrywała wiodącą rolę polityczną. Sterowała sejmami, sejmikami, trybunałami. Uzależniała od siebie, zwłaszcza w XVII i XVIII wieku, masy średniej i ubogiej szlachty. Niewielu było gotowych otwarcie wystąpić przeciw dominacji wielkich rodów, chyba że w anonimowych traktatach lub wierszykach, jak ten zapisany przez XVII-wiecznego szlachcika, a rysujący dość złośliwy wizerunek niektórych rodzin:

*Tęczyńscy Zacheusza wzrostem naśladowią,
Maciejowscy hojnością z dawnych lat przodują,
Żli jak diabeł Gostomscy, skąpi Firlejowie,
Tępi w rozum jak osieł wszyscy Ligęzowie.*

Magnateria nie była grupą zwartą – dzieliła się na najprzeróżniejsze koterie, orientacje, związki połączone interesem rodzowym

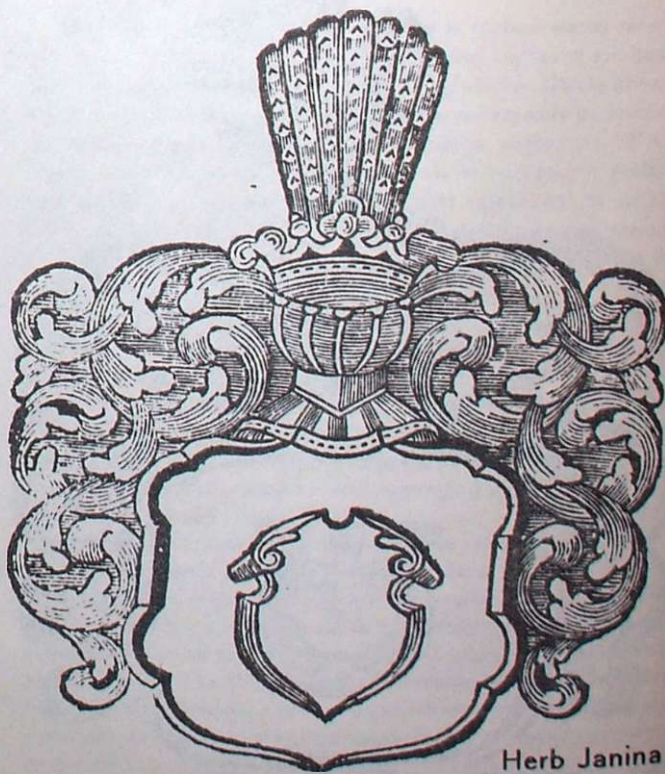
bądź regionalnym. Skład warstwy podlegał zmianom, większą trwałość dostrzec można od końca XVI wieku, kiedy straciły znaczenie lub wymarły stare rody, a ich miejsce zajęła „nowa”, dynamiczna grupa. Wyrosły wówczas rody Zamojskich, Lubomirskich, Potockich, które aż po XX wiek zachowały przynależność do elity społecznej.

Na drugim biegunie znajdował się szlachecki drobiazgi, tworzący mozaikę grup gęsto zasiedlających zwłaszcza Mazowsze i Podlasie. Gołota i brukowcy w zasadzie nie posiadali ziemi, szlachta zagrodowa zwana też szaraczkową lub chodaczkową posiadała pewien niewielki majątek. Tworzyła warstwę anarchiczną, łatwą do manipulowania, niezwykle wrażliwą wobec wszelkich prób kwestionowania jej pozycji i podważania rycerskiego klejnotu.

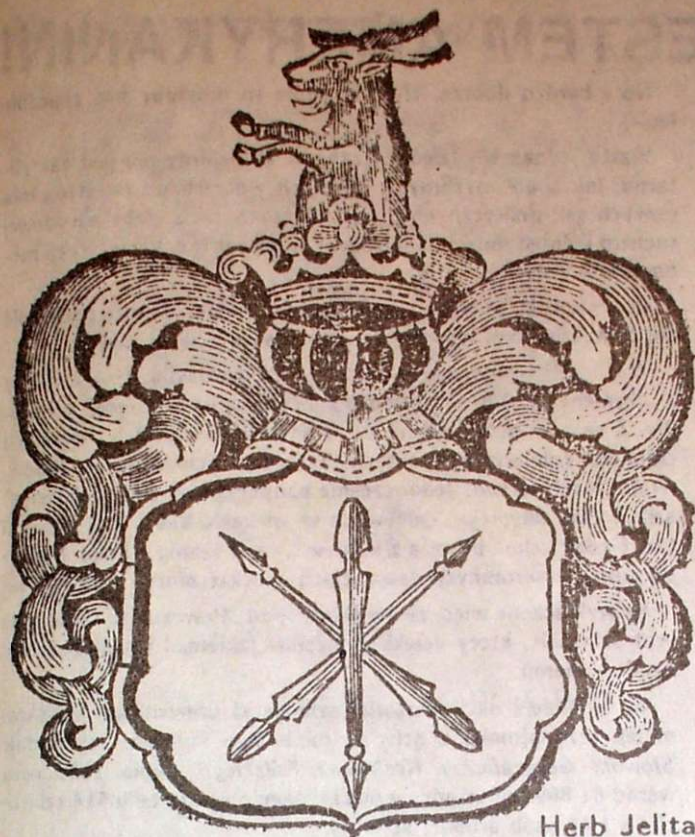
Między biegunami mieszcili się liczne grupy średniej szlachty, zwykle dość majątne i wykształconych posesjonatów. Najlepszy okres szlachta ta przeżywała w XVI wieku. Potrafiła stworzyć niezwykle aktywne stronnictwo polityczne i w znacznym stopniu preferować swój program. W XVII i XVIII wieku była już znacznie mniej samodzielna, wpadając w rosnącą zależność od oligarchicznej magnaterii.

W XV i XVI wieku polski system społeczno-polityczny posiadał jeszcze znaczną siłę atrakcyjną. Sąsiedzi z zazdrością patrzyli na szlacheckie wolności. Rozwój i trwałość terytorialna Rzeczypospolitej z pewnością wynikały również z owej atrakcyjności. Szlachta stała się społecznością zróżnicowaną etnicznie i religijnie, potężnym łącznikiem była jednak wspólnota przywilejów i interesów. Jedność umacniać miał rozwinięty w XVI wieku mit genealogiczny, wywodzący szlachtę od starożytnych Sarmatów.

Atrakcyjność przywilejów była też magnesem przyciągającym ludzi z warstw plebejskich. Stan rycerski, mimo praw strzegących czystości klejnotu, nigdy nie był zamknięty do końca. Oficjalne, urzędowe spisy szlachty pojawiły się dopiero pod rządami zaborców, w XIX wieku. Legalną drogą uzyskania szlachectwa była nobilitacja – nadanie statusu mocą postanowienia króla, zaś od



Herb Janina



Herb Jelita

1578 r. sejmu. Tę drogę starano się ograniczać. Uważano, iż tylko służba i zasługi wojenne mogą czynić plebeja godnym uzyskania herbu. Pozostawały jednak różnorodne drogi nielegalne – usługi oddane możnemu protektorowi, ożenek, pozyskanie kilku świadków, którzy potwierdziliby „urodzenie”, uzurpacja wreszcie, którą trudno było zdemaskować. Skala zjawiska była chyba dość znaczna. Przekonuje o tym niezwykle dzieło krakowskiego szlachcica z XVII wieku, Waleriana Nekandy Trepki, autora tzw. *Liber chamorum*. Za swą misję uznał on tropienie i piętnowanie wypadków nieprawnego wchodzenia do stanu rycerskiego. Oto przykład zaczerpnięty z pierwszych stron opasłego tomu z charakterystycznym, inkwizytorskim komentarzem: *Aniołek. Ten podany był księżęciu Ostrogskiemu, pana kasztelana krakowskiego [...] Wziął go ze wsi od poddanego za chłopca [...] miał go potem za urzędnika we wsi. [...] Ten za żywota pańskiego leda jako chodziel, aż skoro pan ten umarł, przy księżnie wdowie nadślugaował w Tarnowie i syn jego także. [...] Aniołowicz zwali się oba, w aksami-tach, bławatno chodzili. Trzeba byjem skrzydła kijami dębowymi opalić, by góry nie wylatowali, bo się ślachtą chcą zwać. Po-tem mamy ponad dwa i pół tysiąca podobnych historii. Dzieło małopolskiego szlachcica musi budzić wątpliwości, zapewne wiele w nim plotek i zasłyszanych wiadomości, lecz z pewnością oddaje ono charakter zjawiska masowego awansu społecznego.*

Awans bądź degradacja były też zjawiskiem dość powszechnym wewnątrz stanu szlacheckiego. Bariery rozdzielające poszczególne warstwy były jednak coraz trudniejsze do przebycia. Kariera Jana Zamoyskiego w końcu XVI wieku, choć błyskotliwa, nie była czymś nadzwyczajnym. Wyrastały wtedy całe rodziny „nowej” magnaterii. O pół wieku późniejsza kariera Stefana Czarnieckiego, czy awans rodu Poniatowskich w XVIII stuleciu należały już do zjawisk rzadkich. Chęć pięcia się w górę była częsta. Dążenie do wyróżnienia się za wszelką cenę z przeciętności to sprawa ambicji i aspiracji, także konieczności. Stanie w miejscu mogło równać się degradacji. Już przecież podziały majątku między synów i

córki mogły radykalnie zmienić sytuację rodziny. Radzono sobie w różny sposób – synów starano się lokować na dworach magnackich, w palestrze i w wojsku, zabiegano o kariery duchowne, córki dość często umieszczano w klasztorach. Żywoć szlachecki wypełniały starania o powiększenie majątku, uzyskanie nadania królewskiego czy dzierżawy w dobrach magnata, korzystne koligacje. Szczególnie ważną rzeczą było zdobycie godności czy urzędu, jego realna wartość nie była ważna, liczył się sam tytuł, który wyróżniał człowieka i ród, podnosił prestiż. Zabiegi i rywalizacja obejmowały doły szlacheckie, toczyły się też na wyższych, magnackich piętach – tylko aspiracje i stawki były odpowiednio większe.

W ciągu wieków stworzyła szlachta bogatą kulturę, która niekiedy silnie oddziaływała na kraje sąsiednie, wywierała również znaczący wpływ na życie warstw plebejskich. Szereg elementów sarmackiego stylu bycia, obyczajów, ideologii wywołuje dzisiaj krytykę, często po prostu rozsmiesza, ale równocześnie zacięka-wia i ekscytuje. Zwraca uwagę zawarta w tej kulturze ceremonialność, teatralność i pompatyczność, prowincjonalizm i konserwatyzm, niezgodność głoszonych ideałów osobowych z rzeczywistością, bardzo często religijna powierzchowność, niezwykle bogata i barwna kultura materialna. Niezależnie jednak od oceny było to zjawisko bardzo swojskie i oryginalne. Zdaniem wielu badaczy, relikty owej kultury do czasów współczesnych wpływają na mentalność Polaków, określają polski charakter narodowy.

Upadek szlacheckiego państwa w końcu XVIII wieku, chociaż nie był zupełnym końcem staropolskiego świata, miał przecież decydujące znaczenie dla dalszych dziejów stanu. Szlachta przetrwała, straciła polityczną suwerenność, ale na dłużej zachowała „rząd dusz”. Stopniowa likwidacja feudalizmu i rozwój stosunków kapitalistycznych zmieniły radykalnie stanowe struktury społeczne, zastępując je strukturami klasowymi. Niecała szlachta umiała się dostosować do nowych warunków społecznych i ekonomicznych. Część przeszła na kapitalistyczny sposób gospodarowania i stała się podstawową siłą nowej grupy obszarników. Część utrzymywała, jak długo było można, anachroniczny styl życia i tradycyjną gospodarkę – ale ten system nie miał przyszłości. Część stopniowo ulegała degradacji, zasilając przede wszystkim inne warstwy – mieszczaństwo i zwłaszcza inteligencję.

Szlachectwo, chociaż straciło wiele ze swego blasku, nadal imponowało. Długo jeszcze utrzymywało się przodownictwo kulturalne szlachty. Znaczenie polityczne również było duże. Spore grupy szlachty stały na gruncie lojalizmu i ugody z rządami zaborców, nieliczni ulegali nawet całkowitemu wynarodowieniu. Większość jednak pozostała niezwykle patriotyczna. Szlachta była podstawową bazą kolejnych powstań narodowych, sieć dworów pokrywała się często z siecią konspiracji, polska emigracja polityczna w większości miała szlachecki charakter. Znaczne grupy szlachty, zwłaszcza na kresach wschodnich, musiały stawić czoło polityce represji. Kilkaście tysięcy ludzi straciło prawa szlacheckie.

Przeważnie w kręgach szlacheckich rodziły się różnorodne inicjatywy społeczne i gospodarcze, często o konserwatywnej wymowie. Bardzo dużą rolę miała działalność kulturalna w obronie polskości. Wystarczy wspomnieć świetny mecenat Czartoryskich, Edwarda Raczyńskiego, Tytusa Działyńskiego czy Józefa Maksymiliana Ossolińskiego – twórców istniejących i działających znakomitych instytucji.

EUGENIUSZ JANAS

Wszystkie reprodukowane herby pochodzą z dwutomowego dzieła Kaspra Niesieckiego *Korona Polska przy złotey wolności starożytnymi wszystkich katedr, prowincyj i rycerstwa Kleynotami [...] ozdobiona* (Lwów 1728, 1738).

Przechodząc koło „Pewexu” natknąłem się na jegomościa słusznego wzrostu, wyposażonego w szlachetne oblicze.

Był w czapce uszatce, granatowej kurtce i spodniach od pizamy.

Mijając mnie oznajmił nienaganną polszczyzną: – Jestem Dżon!

Ciekawe, Dżon w uszatce, kompletnie trzeźwy, pewnie z braku dolarów, które w naszych czasach są odpowiednikiem dawnych przywilejów szlacheckich, a na pewno ułatwiają życie ich posiadaczom.

W połowie XVIII wieku żył w Lublinie pewien szlachcic, Michał Granowski, na dodatek sekretarz wielki koronny, który zgodnie z namiętnością tamtych czasów okrutnie prześladował gorzałkę; gdzie dopadł, tam wchłonał.

A jak wchłonał odpowiednią porcję, rozbiierał się do pasa i obwieszcał światu:

– Jestem Amerykanin!

Kiedyś, po wygraniu jakiejś sprawy w trybunale, Granowski zaprosił deputatów na obiad, spił ich mocno i obnażywszy się zwyczajowo wyszedł z kielichem na ulicę, zachęcając towarzystwo do pójścia swoim śladem.

Bogatsi skwapliwie odpowiedzieli na zew gospodarza, ale uboższą szlachtę, kryjącą pod wierzchnim odzieniem smród i lachmany, słudzy gospodarza musieli rozebrać siłą. Barwy i dynamiki owego obrazka rodzajowego nie jesteśmy chyba w stanie odbudować w naszej pospolitej wyobraźni – może zrobi to za nas pan reżyser planowanej panoramy filmowej pt. *Ogniem i mieczem...*

Tak uformowana procesja ruszyła ku Bramie Krakowskiej, poprzedzana konną bryką z dwoma beczkami wina, które niejaki Badowski, też częściowo goly, nalewał braci srebrną chochlą do zupy. Oddajmy jednak głos świadkowi wydarzenia, Kajetanowi Koźmianowi, który tak opisał pochód w swoich pamiętnikach:

Co za widok osobliwszy i gorszący: do osiemdziesiąt osób na pół nagich, wielu potrząsających brudnymi lachmanami, które wprzód suknia osłaniała, tańczących, skaczących, taczających się, śmiejących się, śpiewających lub ze zbytku trunku upadających i oddających ustami to, co gardłem pochłonięty było. Prawdziwy obraz orgii Bachusa, tyrsów jej tylko nie dostawało, najśmieszniejsza, najdziwniejsza i oburzająca.

– Idźmy do prezydenta! – zawołał pan. I wtoczyli się w Bramę Krakowską.

– Jestem Amerykanin! – wołał pijany polski szlachcic w XVIII wieku, a echa tego okrzyku odzywają się w naszych bardzo ciekawych czasach.

Lubimy Amerykę, zwłaszcza północną.

No i bardzo dobrze, albowiem powinniśmy miłować bliźniego swego i wszystkie narody świata, szczególnie te bogate, jako że miłość bez wzajemności ćwiczy charakter człowieka i czyni go odpornym nawet na *Życie seksualne Papagejów*.

Z coraz też większym sentymentem zwracamy się w stronę tradycji szlacheckiej.

Już na początku lat siedemdziesiątych wzrosło w Polsce zapotrzebowanie na sygnety, herbarze, drzewa genealogiczne. Micha była pełna (na kredyt), ideologię zastąpiono rachunkiem ekonomicznym (błędnym), więc cóż – należało się jeszcze do wartościować czymś ekstra, na przykład szlacheckim rodowodem.

Obecnie sprawa pęcznieje: błękitem lyska w Sejmie i Senacie, mnożą się publikacje o szlachcie, magnaterii i tytułach hrabiowskich – nie bez udziału „Kameny”, która rozpoczyna własny serial szlachecki.

No i bardzo dobrze, choć w ogóle to mogłoby być znacznie lepiej.

Warto jednak wiedzieć, że zabawa w klejnoty nie jest tak elitarna, jak sobie myślimy w chwilach wolnych od rejestrowania nowych „sil politycznych”, wylaniających się z gleby narodowej ruchem jednostajnie przyspieszonym, nawet w celu restytucji monarchii w Polsce.

Rzecz w tym, że wielu współczesnych Polaków może pochwalić się pełnokrwistym lub choćby częściowym szlacheństwem.

W dawnej Rzeczypospolitej szlachta stanowiła, co już wiemy z „Kameny”, 10 proc. narodu, zdecydowanie najwięcej w Europie. Z czasem nobilitowano za różne zasługi włościan i zwykłych chłopów, żołnierzy pospolitych, Tatarów i ochrzczonych Żydów, wreszcie mieszczan. Jednocześnie pauperyzował się „proletariat” szlachecki, chłopięjąc całkowicie w wiekach XIX i XX. Ale oral taki biedak „choć boso, a z kordem”, czyli szabłą u boku. Relikty tej dumy w skromnych dekoracjach spotkać można na Podlasiu.

Niewykluczone więc, że ów Dżon spod „Pewexu” to także nasz brat szlachcic, który uciekł w pizamie jakiemuś współczesnemu Gradowskiemu.

W Chelmie i okolicy żywił szlachecki prezentował się skromniej, przynajmniej u schyłku minionego stulecia. Jak podaje *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego*, około 1880 roku wśród 81 869 mieszkańców ówczesnego powiatu było 514 szlachciców i 78 osób drobnej szlachty.

Nie należy się tym przecież przejmować. Na cytowanej oto liście herbownych herbu Gryf (orzeł z lwem skrzyżowany na polu czerwonym itd.) wielu z nas znajdzie bowiem powód do osobistej a głębokiej satysfakcji. Zapamiętajmy sobie te nazwiska:

Bakowski, Bielicki, Bobowski, Branicki, Brzeziński, Butowd, Bykowski, Cedro, Chamiec, Chronowski, Chycki, Ciepiewski, Dębicki, Dobek, Domaradzki, Giedrzycki, Gładysz, Gołambek, Grodzicki, Gumieniecki, Jaxa, Kawecki, Kępski, Kijeński, Kiski, Kleszczyński, Komornicki, Konarski, Krobanowski, Krukowski, Krzeszowski, Kwiatkowski, Latoszyński, Leśniowski, Lowczowski, Malachowski, Maleszawski, Marcinkowski, Michowski, Mielecki, Molenda, Nasiechowski, Noskowski, Ossowski, Ostrowski, Otwinowski, Papięski, Pobiedziński, Pomorskie Xiążęta, Prochański, Radliński, Rożen, Skrzyszowski, Stanisławski, Strzeszkowski, Studzieński, Szczepanowski, Trojecki, Turski, Uiejski, Wiktorowski, Wilkowski, Zakrzewski, Zamiechowski, Zaporski, Żeromski, Żukowski.

Z wielką ochotą przypomniałobyśmy też herbownych herbu Jastrzębiec, który składa się z tytułowego ptaka na helmie nad koroną i z podkowy złotawej na tarczy w polu błękitnym. Szkopuł w tym, że ten bodaj najstarszy w Polsce znak dziedziczny szlachty, pochodzący jeszcze z czasów pogańskich, kiedy występował tylko pod postacią jastrzębia, obejmuje prawie 300 nazwisk! Na przykład takie, jak Brzozowski, Hermanowski, Jastrzemski, Jurkowski, Iwański, Kaczyński, Kamiński, Paprocki, Tański, Wierzbicki, Zborowski...

Kto nie znalazł swojej familii w podanym wyżej rejestrze, ten może przecież sięgnąć do herbarza Kaspra Niesieckiego (tomy z 1728 i z 1738 r.), z którego zaczerpnęliśmy tylko to, zachowując oryginalną pisownię nazwisk, co jest w stanie poruszyć serca w latach kryzysu.

„Bądź co bądź!”, jak zwolowali się Czartoryscy, jest nas musiła.



Felieton obrazkowy



“S I M.,

KAWIARNIA
RESTAURACJA - BAR

Chełm, ul. Lubelska 50.

Telefon Nr 83.

KAFLARNIA

W. BARAŃSKI
W CHEŁMIE

UL. REJOWIECKA 2, TELEFON 44.

WSZELKIE WYROBY
FIRMY

E. Wedel

SĄ DO NABYCIA
TYLKO W

Cukierni
Szwajcarskiej

LUBELSKA 73.

NAJTANSZE ŹRÓDŁO

FUTER

PO CENACH
HURTOWYCH

Józef Szajn

CHELM LUB.

UL. LWOWSKA Nr. 4.

ZAKŁAD KRAWIECKI

Ignacego Czuchczyńskiego

CHELM, UL. REFORMACKA Nr. 33.

Istniejąca od przeszło 40-tu lat na terenie Chełma fabryka
MASZYN ROLNICZYCH i ODLEWNIĄ ŻELAZA
pod firmą:

R. Dratt i S-ka w Chełmie Sp. Akc.

została założona w roku 1894 przez ś.p. Krystjana
Dratta. W czasie wojny światowej fabryka
była kompletnie zdemolowana przez
wojska okupacyjne. Odbudowana w
roku 1920, przeszła na Spółkę Ak-
cyjną i dziś jest najpoważniejszą fa-
bryką metalurgiczną na terenie
powiatu Chełmskiego. Po zwycię-
skim przetrwaniu lat kryzysu eko-
nomicznego; zatrudnia obecnie po-
nad 70-ciu pracowników. Fabryka
produkuje maszyny rolnicze, przy-
stosowane do potrzeb drobnego
rolnictwa terenu miejscowego i
Kresów Wschodnich. Wyrabiane
masowo maneże, sieczkarnie, mło-
carnie i przystawki do maneży, cie-
szą się zasłużoną doskonałą opinią
poza to produkcja obejmuje szeroki
dział odlewów żeliwnych, wysy-
lanych do najdalszych zakątków
kresowych. Jako pomocniczy, pro-
wadzony jest również dział remontów,
który obejmuje reperacje silników spalino-
wych i innych, budowę transmisji, części maszyn
oraz roboty wchodzące w zakres obróbki metali.
Zdrowe podstawy finansowe pozwolą rokować nadzieję
na dalszy pomyślny rozwój przedsiębiorstwa, na którego czele
stoją obecnie Rudolf Dratt, Gustaw Dekert i Teodor Zipsar

CHEŁMSKA REKTYFIKACJA I FABRYKA WÓDEK

ADOLF DAUMAN

CHELM LUB.

GORZELNIA,

REKTYFIKACJA,

FABRYKA WÓDEK,

WYTWÓRNIA WIN

FABRYKA SOLI POTASOWEJ

Adr. telegraf: REKTYFIKACJA
TELEFON Nr. 58.

FIRMA ZAŁOŻONA W 1910 R.

Inicjatywę wydania niniejszej pracy – podjął Dyrektor Wojewódzkiego Komunalnego Szpitala Psychiatrycznego w Chełmie Dr. Ignacy Fuhrman, a to z okazji mającego się odbyć w Lublinie i Chełmie XVI Zjazdu Psychiatrów Polskich – informował Kazimierz Czernicki we wstępie do swojego przewodnika *Chełm, przeszłość i pamiątki* (1936), z którego zaczerpnęliśmy reprodukowane reklamy oraz zachętę do wprowadzenia na łamy „Kamień” stałej rubryki pt. „Felieton obrazkowy”.

Jan Szczawiej

(1906–1983)

Tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty

Krzyk w krwi tonął, w przepaści głęboko,
Noc złowieszczą iść nie była skora,
Aż tu naraz zagrzało nad Oką,
Aż tu naraz maszerować pora...

Świt za wzgórzem słowikami klaszcze,
Drzy na zbożu krwi żołnierskiej rosa...
– Matko, młodych lat nie zaprzepaszczę...
Oto się tętent przybliża do wiosek...

Wyszli z chlebem, solą i kwiatami,
Wyszli z sercem wiernym na spotkanie...
Chłopskie dzieci... Czapki z orzełkami...
I tzy w oczach, i wśród kobiet łkanie...

Teraz trza nam twardo stanąć:
Budzić zgodę, a wyplenić waśnie...
Gospodarze! Kres epoce panów!
Wasze dłonie to jest Polska właśnie!

1944

Czesław Twardzik

(1914–1979)

Jesień

W zwiędłych chaszcach nad rzeką
wiatr zawodzi jak z nut
smutne swe flageletto.
Ktoś odszedł znów...

Błądę z mistrzem van Gogh'em
ścieżynami wśród pól,
zbieram żółcień i ogień.
Ogień, mistrzu, to ból?

A żółcień gorycz znaczy,
mówi pan?
To szkoda, że inaczej
nie mógł mistrz – bez tych płam...

A słyszał pan o Szopenie?
A może – jak grał?
Podobny do pana szalenie
z tych barw.

Niech się pan raczy kłaniać
jemu ode mnie i
niech coś też zagra dla pana,
na przykład impromptu.

Po krętych płowych drogach
wiatr listowie gdzieś gna.
Na palecie van Gogha
deszcz preludium gra.

Kazimierz Andrzej Jaworski

(1897–1973)

Wrzesień

Jesionów jasnych jesień,
słoneczny słodki plaster,
zapach konania w lesie,
martwy na klombie aster.

Liści rumieniec chory
przypomina suchoty.
Cóż, że z modrej amfory
leje się wino złote?

Wspomnienia żują drzewa –
wczorajszy laza przepych.
Cóż, że dziś słońce śpiewa,
jutro będziemy ślepe.

I tylko serce poety
wciąż jednakowo tętni:
pijemy życia sekrety
i w śmierci będziemy piękni.

Leszek Eliaszczuk

(1922–1980)

nuty z gwiazd
układał w takty wzruszeń
arterie strun
pieścił smyczkiem
grał
szum wiatru
powiew pszenic
serca zranione ciemniem
miał tzy
co w brzdach lic
stężyły

XXIV

nie klaszczcie
kiedy jeszcze śpiew
kiedy dźwięczy struna
oklaski brzmią fałszywie
stuchajcie
jak śpiewa serce

Józef Fert,
(1945)

Poetyka

Kto
dziś ma czas by
być poetą
nie ja ci
mówię chcesz czy nie
luxeusem chwila
jest
na oddech

odeszli i – jest sadza plew
jest kierz – głęboki pono
ostu

poeci drzemią
snem wieczystym
wśród antologii żółtych stron

i panem mówi et circenses
dziś z witryn stu cierpiącym norwid

i dużo odpowiednich słów
rzeczy deficyt odpowiednich

Krzysztof Koltun
(1958)

Monastyr

Za skrajem wioski – mogilnik
zmurszałych krzyży grzebieniem
czesze łaszące się drzewa
pod zachód słońca
w niedzielę

A w kruchych gniazdach jak u chrztu
kwilenie ciszę rozdziera
Niebo w złocistych omatach
Jableczna – biblijnie piękna

Za Onufrego wrotami
gdzie modlitewny tchnie zaduch
Diak młody jak Michał Archanioł
stoi z kropidłem i wodą
Przed progiem

gdzie w monastyrze
Cudowna Matka Jableczna
patrzy spod rzyzy ikony
i stare matki pociesza.

Zbigniew Waldemar O
(1945)

Życie

zyjemy od matki do matki
od drzwi do drzwi
od ptaka do ptaka
od ciszy do ciszy

błogostawię dziękuję matce
chwałę ptaka

przemilczam drzwi

ciszę zostawiam
sobie

i
wam

Anna Kicińska
(1941)

byłam z deszczu
byłam z ciepła
byłam z wiary...

niestraszne mi

dni bez wyjścia
drzazgi na wskroś dłoni
objęcia pustookiej

znam gorszy ból

kikuty kwiatów spopielate
serca skurczone niepamięcią
strzępy dotyku na kamieniach

mówisz
bariera

której przekroczyć nie mogę

za nią

nie moja ziemia w czekaniu
na deszcz
ablucję z szarości
kołysze rozbudzone wewnątrz

nie moje drzewo z piąstkami
liści
na piersiach nieba
z którego strumieniem słońce

Waldemar Jan Morell
(1945)

Pytanie retoryczne

Młodość jeszcze we śnie kołatce
jeszcze serce wypełnia
jeszcze
chwilą

ech jak w oczy szczypie ten czas
przebudzeń skowronków
traw wstających
wianków
jak szczypie

ścieżek zakurzonych
niczym dziewczęcy sztambuch
z rozsypanymi pod stopy kartkami
jak szczypie

i cóż ci zostało
pod kloszem dymiącego nieba
przyspilony do ziemi
w czas
gasnących gwiazd

cóż ci

Henryk Radej
(1955)

jej zapach codziennie dopada mnie
jak tryk samotną owcę na uboczu
każe mi obwąchiwać gładkie kamienie
smakować wiatry niesione od skał
przekrwionym okiem ślizgać się
wzdłuż ud kuszących zimnych od stuleci
w każdej krągłości lizać
odłupaną pierś

wybacz mi Panie
ale to ona pędzi mnie
spoczonego na brzег
otwiera stopę na krawędzi morza
i bezgłośnie wyje
kiedy sól wyzera moje mięso

rdzawy kurz osiada
lepi się do sierści

Panie
wciąż huczy we mnie
głos twojej fletni
napina mój łuk
pewnie cieszysz się
że jest szybszy
od spóźnionych myśli

moja zwierzęcość tak niedoskonała

4 stycznia br. redaktor naczelny „Kamery” odwiedził w Warszawie Zbigniewa Rewskiego – historyka sztuki, znawcę architektury barokowej, który był ostatnim polskim konserwatorem zabytków na Wołyniu (1936–1939). Rezultatem tego spotkania jest publikowany wywiad, przeprowadzony w obecności dr Romany Zdziarskiej-Rewskiej, małżonki autora rozpraw naukowych, poświęconych m.in. *Działalności architektonicznej warszawskich Fontanów* i *Konieczności poznania dawnej sztuki Szwajcarii*, ogłoszonych w „Biuletynie Historii Sztuki i Kultury” (1934, 1948). Na uwagę zasługują ponadto książki Rewskiego: *Z działalności Kołtāja na polu budownictwa* (1953) i *Majstersztyki krakowskiego cechu muratorów i kamieniarzy XVI–XIX w.* (1954), wydane przez Ossolineum. Zbigniew Rewski nie zdążył już jednak autoryzować wywiadu, albowiem kilka tygodni po wspomnianym spotkaniu zmarł nagle (12 lutego) w wieku 83 lat. Do końca przejmował się losem zabytków architektury za Bugiem, o czym świadczy jego komunikat *Co się dzieje z barokiem na Wołyniu?* (tytuł redakcyjny), który publikujemy w tymże numerze „Kamery”.

Fot. obok Z. Rewski w latach 50.



klasy, które dowiozły m.in. i moją rodzinę do granicy, gdzie Niemcy upchnęli nas w wagonach bydłocych?! Od tego czasu datuje się sympatia ojca do bolszewików. Nie widział on politycznego sensu w prowokacjach Piłsudskiego, które doprowadziły do wojny 1920 roku. Nie był w tym zresztą odosobniony, skoro niektórzy posłowie błagali w Sejmie marszałka, by nie wpędzał kraju w tę awanturę.

– W tamtych czasach młodzież garnała się do polskich organizacji czy oddziałów wojskowych...

– Ja też chciałem założyć mundur armii generała Hallera, ale tak dotkliwie, acz przypadkowo, zraniłem się w nogę, że ostatecznie nie pozostało mi nic innego, jak wstąpić do warszawskiego gimnazjum Kazimierza Kulwiecza, przeniesionego z Moskwy i skupiającego reemigrantów ze Wschodu. Krótko jednak uczyłem się w tej szkole; ostatecznie trzy klasy ukończyłem w znakomitym gimnazjum Wojciecha Górskiego i tam też zdałem egzamin maturalny. Może zaciekawia pana, że jeszcze przed maturą debiutowałem jako historyk, publikując broszurę o monografii Piaseczna, która – o ile wiem – do dziś nie uległa przedawnieniu.

– Domyślałem się, że monografia ukazała się na koszt szkoły.

– Nie, skądże znowu. Prywatnie wydał ją mój ojciec. Widzi pan, nam się zupełnie dobrze powodziło. Ojca stać było na założenie letniskowej kolonii „Rejtany” i wzniesienie dwóch własnych willi pod Piasecznem. Kolonię i pierwszą willę projektował Zenon Chrzanowski, drugą – Oskar Sosnowski.

– Świetne nazwiska!

KRESOWE MANEWRY KONSERWATORA

Ostatni wywiad

ze Zbigniewem Rewskim

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: – Jakimi drogami trafił pan na Wołyn?

ZBIGNIEW REWSKI: – Okrężnymi. To zresztą dłuższa historia, w której po kolei występują takie miasta, jak Biała Podlaska, Warszawa, Lubnie, Odessa, znów Warszawa, Chełm, wreszcie Łuck. Zaczniemy od tego, że urodziłem się w Białej Podlaskiej, 4 lipca 1905 roku, w rodzinie inteligentnej, w której wymieszana się krew szlachty mazowieckiej i białoruskiej.

– Wymieszana się w Białej Podlaskiej?

– Nie, na Mazowszu. Po powstaniu styczniowym rodzina uległa rozproszeniu, przy czym babka trafiła do Białej za mężem, skąd jej syn a mój ojciec, Włodzimierz Rewski, rychło powrócił do Warszawy. W Białej Podlaskiej przebywałem zaledwie rok.

– Kim był, co robił pański ojciec?

– Był wnukiem powstańca styczniowego, prawnikiem w sądownictwie warszawskim, gdzie osiągnął stanowisko wiceprezesa Sądu Okręgowego – wie pan, przy ulicy Miodowej, w pałacu Paca. Działał też w spółdzielczości, współpracując ze Stanisławem Wojciechowskim, późniejszym prezydentem Rzeczypospolitej. Po przejściu na emeryturę, około 1930 roku związał się z Chełmem, pracując tam jako rejent. Zmarł w roku 1948, spoczywa na chełmskim cmentarzu.

– Tyle w skrócie nader błyskawicznym, z którego siłą rzeczy wypadły Lubnie, Odessa i tak dalej...

– Do Lubni na Ukrainie rzuciła naszą rodzinę ewakuacja podczas I wojny światowej. Jak wiadomo, miejscowość tę utrwalił w polskiej pamięci Sienkiewicz, ale podczas nauki w tamtejszym gimnazjum humanistycznym szybko zorientowałem się, że Kozacy zaporoscy znają lepiej twórczość pisarza niż Polacy! Bardzo dobrze wspominam zresztą młodzież ukraińską, z którą pozostawałem we wzajemnie serdecznych kon-

taktach. Inteligencję ukraińską w ogóle cechowała wysoka kultura.

– A jak wyglądały ówczesne Lubnie?

– Było to miasto powiatowe, liczące jakieś 30 tys. mieszkańców, posiadające cerkiew fundacji Wiśniowieckich i zamczysko po tym magnackim rodzie. W murach tej drugiej budowli znajdowano jeszcze często czaszki ludzkie z otworami po uderzeniach. Cóż, znany z naszej historii Wiśniowiecki był tyle kiepskim politykiem, co bezwzględny człowiekiem – typem brutalnego rzeźnika. Sam natomiast „odkryłem” coś innego, i to siłą, po wyważeniu drzwi do gimnazjalnej sali muzealnej, zamkniętej z powodu wojny. Zobaczyłem tam arkebuzę, kuszę, misiurki i inne rodzaje uzbrojenia z XVII wieku – cały arsenał polskiej, kozackiej i tureckiej broni.

– Jak długo przebywał pan w Lubniach?

– W latach 1915–1916. W roku 1917 przenieśliśmy się do Odessy, która liczyła wtedy ponad pół miliona mieszkańców. Zaraz podjąłem naukę w I gimnazjum, noszącym imię księcia Richelieu, pierwszego burmistrza miasta i gubernatora Noworosji, a zarazem urbanisty, który wygnany przez wielką rewolucję z Francji rozbudował Odesę.

– A Rewscy doświadczyli kolejnej wielkiej rewolucji – jak?

– Nie uwierzy pan: bezboleśnie! Ojciec brał udział w życiu publicznym polskiej wspólnoty, liczącej w Odessie około 30 tys. osób, publikował w polskiej gazecie, pracował jako radca w naszych organizacjach społecznych i charytatywnych, będąc wszak również w tworzących się właśnie formacjach wojska polskiego. Kto dzisiaj zechce dać wiarę, że bolszewicy sprawiedliwie dzielili się z naszymi żołnierzami żywnością z wielkich magazynów portowych Odessy, a Polakom wracającym w maju 1918 roku do ojczyzny podstawili wygodne wagony I i II

– Z Chrzanoskim, wybitnym architektem i społecznikiem, ojciec pozostawał w przyjaźni, więc przypomnę, że Zenon był synem generała armii carskiej, lecz polskiego patrioty, który założył słynne gimnazjum warszawskie przy ul. Smolnej, noszące dziś imię Jana Zamoyskiego.

– Rzec o Piasecznie miała charakter pracy historycznej...

– Bo ja właśnie zamierzałem i podjąłem studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim, w roku 1925, ale przerwałem je w połowie, by przenieść się na historię sztuki. W sumie studiowałem przez lat dziesięć!

– ?

– Bo ojciec nie był biedny... Magisterium uzyskałem pod kierunkiem profesora Zygmunta Batowskiego...

– Kolejne NAZWISKO!

– A tak! Uzyskałem dyplom za monografię pałacu Bielińskich w Otwocku Starym, w kontekście polskiej architektury pałacowej XVII–XVIII wieku. Kilka lat temu powróciłem zresztą do sprawy, publikując na łamach „Stolicy” artykuł o pałacu otwockim, tym razem jednak na tle baroku włoskiego i francuskiego, a w intencji sprzeciwienia się proniemieckim i mylnym interpretacjom problemu. W Polsce nigdy nie brakowało i nadal nie brakuje germanofilów.

– Zbliżamy się zapewne do łuckiego traktatu...

– Studia wykształciły we mnie wielki sentyment do dawnej architektury i imperatyw jej ochrony. Pierwszą praktykę po dyplomie odbyłem pod okiem zastępczego konserwatora zabytków stolicy, architekta Tymoteusza Sawickiego. Równocześnie nawiązałem kontakt z Jerzym Remerem, wówczas Generalnym Konserwatorem Zabytków Rzeczypospolitej, który urzędował – jak sprawnie! – w gmachu przy ul. Szucha 25. No i w rezultacie otrzymałem nominację, 12 kwietnia 1936 roku, na konserwatora zabytków województwa wołyńskiego. Do Łucka pojechałem wraz z pierwszą żoną Hanną, z domu Sarzyńską, wywodzącą się z rodu Sępa-Sarzyńskiego, która jako nauczycielka geografii podjęła pracę w tamtejszym gimnazjum.

– Jak pan zapamiętał to miasto kresowe?

– Łuck miał wtedy kilkanaście tysięcy mieszkańców i był po prostu brzydki, zdominowany przez zabudowę czynszową, należąca w większości do bogatych kupców i rzemieślników żydowskich. Do Polaków należała administracja. Wśród budowli wyróżniały się: katedra w dawnym kościele Jezuitów oraz cerkiew w byłym kościele Bernardynów, wzniesionym przez architekta polskiego, Pawła Giżyckiego. Uwagę zwracał ponadto zamek z XIV–XVI wieku, wystawiony w pierwotnym kształcie za Kazi-

mierza Wielkiego, na wcześniejszej budowlu drewnianej. Rejestr interesujących obiektów wyczerpywały: drewniana kenesa Karaimów, jedyna na Wołyniu, i renesansowa synagoga, zniszczona później przez Niemców i niedawno odbudowana. Co jeszcze? Może, jako zatarty znak obecności Ormian na tym terenie, ruiny ich świątyni.

– Miniatura Rzeczypospolitej wielu narodów i religii... W międzywojniu dochodziło przecież na kresach do ostrych konfliktów między Polakami a Ukraińcami.

– Tak, ale to powikłana sprawa. Bo na przykład wojewoda wołyński, wszak wysoki urzędnik polskiej administracji państwowej, spotykał się z wrogością rodaków, ponieważ kierując się oczywistym faktem, że Ukraińcy stanowią 85 procent ludności tego obszaru, widział potrzebę szerszego wprowadzenia języka ukraińskiego do szkolnictwa. Henryk Jan Józefski, bo o nim mowa, peowiak i kawaler Virtuti Militari, a przy tym autentyczny demokrat – w ogóle budził niechęć tych licznych Polaków, którzy próbowali agresywnie polonizować Ukrainę, wspomagani przez kler katolicki. Emocjonalne i bardziej konkretne skutki tej błędnej polityki perfidnie wykorzystali Niemcy w roku 1941, uzbrajając Ukraińców i napuszczając ich na Polaków.

Inna sprawa, że nie wszystkie reformy i inicjatywy Józefskiego, zresztą rodowitego kijowianina, znajdowały akceptację wśród Ukraińców. Z głęboką nieufnością przyjęto na przykład komasację i meliorację gruntów rolnych, rozpoczętą na polecenie wojewody. Uprzedzenia te zmalały jednak z biegiem czasu, kiedy wyjaśniły się racjonalne cele przedsięwzięcia. Nie łudźmy się przecież, że rozumne postępowanie jednostki wywala sympatię całego otoczenia. Józefskiego popierali ukraińscy demokraci, czego nie można powiedzieć o ich nacjonalistycznych pobratymcach.

– Dwa wrogie sobie nacjonalizmy występowały jakby wspólnie przeciwko demokracji.

– Tak właśnie było.

– Narodowe i kulturowe zróżnicowanie Wołynia decydowało przecież o bogactwie tamtejszej tradycji architektonicznej.

– Ten teren obfitował w zabytki! Doliczyłem się kilkaset drewnianych cerkwi pounickich, związanych z naszą kulturą, oraz kilkudziesięciu wspaniałych kościołów i pałaców z XVII i XVIII wieku, które wystawili Polacy. Odnoteowałem ponadto obiekty renesansowe i oryginalną, bo gotycko-bizantyńską cerkiew w Ostrogu, ufundowaną przez Konstantego Ostrońskiego, hetmana wielkiego litewskiego. Była też wspomniana wcześniej kenesa, czyli świątynia Karaimów, żydowskich dysydentów pochodzenia turec-

kiego, którzy odrzucili Talmud na rzecz Starego Testamentu, opuścili wspólnotę żydowską. Mieli niebieskie oczy i jasne włosy; chętnie zatrudniano ich w bankach jako kasjerów.

– Ze względu na te kolory?

– Ze względu na niebywałą uczciwość. Karaimowie uznawani byli za najuczciwszych obywateli polskich, a ich wioski stawiano za wzór tadu i mądrej gospodarki.

– Doliczył się pan wielu cennych obiektów architektury – czy to znaczy, że nie wpisano ich do ksiąg inwentarzowych?

– Takowych tutaj nie znano, choć moimi poprzednikami na urzędzie konserwatora byli Ksawery Piwocki i Józef Dutkiewicz.

– Obaj pracowali później w Lublinie.

– Ja serio, nawet z przejściem traktowałem swoją rolę, zajmując się wszystkim, co wiązało się z dokumentacją i kondycją zabytków: inwentaryzacją obiektów, opracowywaniem planów konserwatorskich, pozyskiwaniem i doborem materiałów, nadzorem konserwatorskim...

– Wspomagany zapewne przez liczny personel...

– Cały urząd stanowiły dwie osoby: ja i maszynistka. Trzy dni w tygodniu pisaliśmy i wysyłailiśmy po 50 krótkich instrukcji w sprawie konkretnych zabytków, przerywając tę czynność telefonowaniem do różnych pomocnych nam instytucji i osób, jak: polscy i ukraińscy przyjaciele, księża i policjanci – a potem sam jechałem w teren, gdzie przebywałem kolejne trzy dni.

– Dzisiaj mamy rozbudowany system ochrony zabytków.

– „System”, owszem, ale czy „ochrony”?

– No, wie pan, nie wszystko się wali... Ale, ale: co pan takiego robił w terenie?!

– Najpierw należało tam dotrzeć, co nie było łatwe ze względu na bardzo rzadką sieć kolejową. Zwykle jeździłem więc autobusami, które tylko na zasadzie urzędowej nominacji występowały w roli środków transportu masowej komunikacji. Były to strasznie trzęsące wehikuły, które przed odpowiednią przeróbką prychały jak pospolite ciężarówka. A z Łucka do Krzemieńca było 180 kilometrów, a do innych miejscowości prowadziła tylko polna droga o długości, powiedzmy, 30 kilometrów, którą pokonywałem z wazwym marszem, lekko – bo kochało się zabytki, bo wymagały one czułej opieki!

– A jak ktoś sponiewierał taki obiekt, to co? Nasi współcześni prokuratorzy zwykle oddają wnioski konserwatorów o ukaranie takiego czynu. Społeczne skutki tej niefrasobliwości organów ścigania nie wymagają chyba ilustracji pod tytułem „zabytkowe detale architektoniczne w nowych willach”.

– Jeśli ktoś naruszył obiekt zabytkowy

na moim terenie, ten niechybnie trafił do sądu, który karał go z reguły wysoką grzywną, sięgającą nawet 200 złotych. Przed sądem nie było podziału na „równych i równiejszych”. Pop w powiecie krzemienieckim samowolnie przebudował zabytkową cerkiew, to i musiał wyłożyć – z własnej kieszeni! – 200 złotych. Procesowałem się nawet i wygrałem sprawę ze starostą krzemienieckim. A wyrok szedł w lud, wzmacniając autorytet konserwatora i respekt dla zabytków.

– Jeden historyk sztuki i jedna maszynistka na urządzenie, a z drugiej strony setki cerkwi, kościołów, pałaców...

– Przemierzając Wołyń miałem wrażenie, że biorę udział w karkołomnych manewrach wojskowych. Ale opłaciło się, bo zbudowałem wokół zabytków pas psychologicznego, prawnego i materialnego bezpieczeństwa. Oczywiście nie sam, lecz dzięki pomocy takich światłych i życzliwych ludzi, jak na przykład Władysław Stachoń, architekt wojewódzki, syn budowniczego-górala z Zakopanego, czy Stanisław Kramarczyk, architekt miejski Krzemieńca.

– A kto wykonywał prace konserwatorsko-budowlane, skoro nie istniały jeszcze PKZ czy jakieś ich odpowiedniki?

– I bardzo dobrze, że nie istniały! Takimi robotami zajmowały się prywatne firmy lub brygady budowlane, pod okiem architektów powiatowych. Osobom zamożnym to jednak nie wystarczało, one angażowały wybranych architektów na koszt własny. Widzi pan, dwory i pałace na kresach stanowiły trwałe znaki tradycji rodowej, zanurzone były w gęstwinie wydarzeń historycznych, których tej ziemi los nie skąpił.

– Ciekawe, jakim budżetem dysponował konserwator wojewódzki w Łucku?

– Skromnym, sięgającym ledwie 5000 złotych rocznie. Większość tej kwoty pochłaniały subwencje na remonty konserwatorskie. Proszę jednak zwrócić uwagę, że 500 złotych pozwalało na rozpoczęcie robót i zakup materiałów. A jak już się coś działo wokół obiektu, to właściciele nabierali ochoty na doprowadzenie sprawy do efektywnego końca. Może warto tu przypomnieć, że jajko kosztowało wówczas 2 grosze.

– Pamięta pan pierwszą budowlę, którą poddano konserwacji pod pańskim okiem?

– Naturalnie. Była to synagoga w Łucku, budowla wzniesiona w XVII wieku z przywileju Zygmunta III, posadowiona na tak zwanym „szlaku czarnym”, tatarskim, zatem posiadająca obronną basztę ze strzelnicami dla dział. Tak, to wtedy zamówiłem specjalną cegłę o formacie „z epoki”, którą uzupełniono ubytki w murach świątyni. Nie zapomniałem też pomocy, jakiej w tym pre-

mierowym dziele użył mi, występując w roli doradcy, kolega z czasów uniwersyteckich, Szymon Zajczyk, który właściwie wiedział wszystko o architekturze synagog. Latami studiował historię sztuki i architekturę, zyskał kolosalną wiedzę, ale żadnej uczelni nie zdołał ukończyć. Po prostu bał się egzaminów, paraliżowała go psychoza przedegzaminacyjna. W 1943 roku stracił życie z rąk hitlerowców.

– Na co było stać, tak prywatnie, konserwatora zabytków?

– Choćby na stuzłotowy czynsz miesięczny za trzypokojowe, piękne mieszkanie w nowym budynku przy ulicy Kraszewskiego 12, który należał do Żyda. Było to mieszkanie ciepłe, skanalizowane, świetnie wykończone. Po opłaceniu czynszu pozostawało mi około 300 złotych. W sumie tej mieściło się również to, co zaoszczędziłem na dietach delegacyjnych, nieporównywalnie wyższych od obecnych.

– Nie kuszono pana, jakby to powiedzieć – bakszyszem?!

– A jakże, raz! Miał postać pięknej brunetki kresowej, co to nóżka w kostce spięta, chód wspaniały, sylwetka dumna, szlachetka. Stała ta uroda przede mną i mówi, że przyniosła ją sprawa pałacu w Międzyrzeczu Koreckim, niby załatwiona już pozytywnie przez poprzedniego konserwatora, Józefa Dutkiewicza, ale... Konkretnie chodzi o zgodę na urządzenie suszarni na strychu pałacu... Co robić, pojechałem na miejsce – i zgody nie dałem, bo suszarnia to groźba zawilgocenia całego obiektu. W ramach „represji” uraczony zostałem nędznym obiadem.

– Gdzie dowiedział się pan o wybuchu wojny?

– W autobusiku podczas delegacji. Na przystanku zauważyłem, że chłopci ukraińscy wykupują sól, co zawsze oznaczało tam zbliżanie się jakiegoś kataklizmu, ale zlekceważyłem ten sygnał. Wkrótce założyłem mundur.

– Pański dobytek przepadł w Łucku?

– Część rzeczy oddałem pod opiekę zaufanej służącej, która dowiozła je do Chelma, gdzie mieszkali moi rodzice, zajmujący I piętro śródmiejskiej willi, należącej do niemieckiego fabrykanta. Ojciec kolekcjonował dzieła sztuki *con amore*, w ogóle cała rodzina miała skłonności artystyczne: babka ze strony ojca i jej siostra były malarkami, podobnie moja siostra, Wanda Rewska-Colacino, osiadła w Wenecji. W zbiorach ojca znajdował się między innymi cenny stoliczkowy zegar renesansowy z puncą, kupiony od handlarza za kilka tysięcy złotych, stanowiących równowartość niejednego samochodu. W ręce owego handlarza dzieło trafiło

legalnie, na oficjalnej wyprzedaży radzieckiej w Leningradzie. Po latach, zgodnie z wolą ojca, przekazałem zegar muzeum miasta Poznania, albowiem tam właśnie, w sali posiedzeń rady miejskiej, czas niegdyś odliczał.

– Walczył pan w kampanii wrześniowej?

– Tak. Do niewoli trafiłem w Borach Tucholskich. Później był Oflag 10 A w okręgu Hamburg... Tymczasem moja żona Hanna działała w konspiracji, w Kedywie AK, brała udział we wszystkich zamachach na dostojników hitlerowskich w Warszawie i to ona właśnie, wykazując niezwykłą odwagę i zimną krew, dotarła do samego Kutschery, by zanotować w pamięci wizerunek oprawcy. W tej akcji uczestniczyła do końca, sygnalizując chłopcom moment otwarcia ognia do Niemca. Hanna była bohaterką powstania warszawskiego; otrzymała *Virtuti Militari*.

Moja druga żona, Romana Zdziarska, również okazała się dzielny człowiekiem. Jako kilkunastoletnia dziewczyna brała udział w powstaniu warszawskim – tak ofiarnie, że odznaczono ją także krzyżem *Virtuti Militari*.

– Kiedy powrócił pan do kraju?

– Po wyzwoleniu obozu znalazłem się w 2 Korpusie Polskim, konkretnie w Neapolu, gdzie jako historyk sztuki pracowałem w muzeum i archiwum formacji, skupując między innymi polonica w antykwariacie. Na marginesie chciałbym wspomnieć, że nigdy nie cenilem i nie miałem zaufania do Andersa, cechy genialnego wodza znajdującego natomiast u Sikorskiego, który moim zdaniem przewyższał w tym względzie i Żukowa, i Pattona. Jestem przekonany, że Sikorski zginął w zamachu politycznym, mającym na celu poróżnienie nas z Sowietami. A komu mogło na tym zależeć, wiadomo!

Wróćmy przecież do pańskiego pytania... W Neapolu przebywałem w latach 1945–1946, następnie, przez Londyn, powróciłem do Polski. W roku 1948 zostałem wojewódzkim konserwatorem zabytków w Olsztynie, sprawując ten urząd do 1950. Później pracowałem naukowo w Instytucie Sztuki PAN, z kolei w Pracowniach Konserwacji Zabytków, gdzie zlikwidowano cały dział, by mnie stamtąd wyrzucić. Pracowałem w innych instytucjach, byłem ekspertem Głównej Komisji Konserwatorskiej Ministerstwa Kultury i Sztuki. Na emeryturę przeszedłem w 1970 roku, z połowy etatu.

– Jaka była wysokość tej emerytury?

– 1062 złote. Później dostawałem 1706. Od niedawna mam 38 tysięcy.

– Ale otrzymał pan zapewne jakieś odznaczenia państwowe...

– Żadnego.

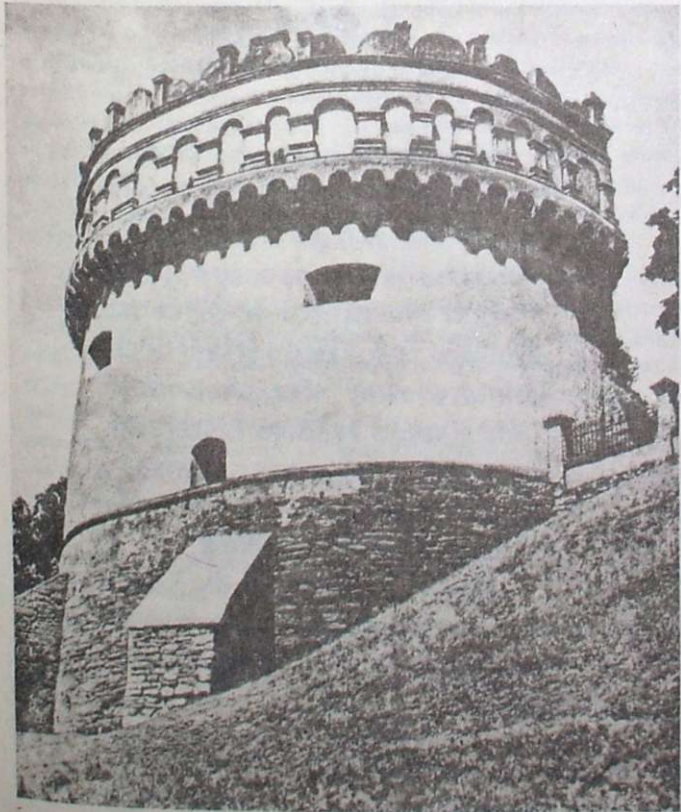
Co się dzieje z barokiem na Wołyniu

ZBIGNIEW REWSKI



Zamek w Łucku (XIV–XVI w.). Wieża bramna

„Baszta okrągła” zamku Ostrogskich (XV–XVI w.)



Przez kilka lat prowadziłem prywatną korespondencję z generalnym konserwatorem zabytków Ukrainy, inż. arch. Bogdanem Kołoskiem, a od ubiegłego roku również z archeologiem z kierownictwa Łuckiego Rezerwatu Historyczno-Kulturalnego, Borysem Sajczukiem. Korespondencja koncentrowała się na wymianie wiadomości historycznych, ikonograficznych i konserwatorskich. Otrzymałem także literaturę naukową od B. Kołoska, odnoszącą się do urbanistyczno-socjologicznych zagadnień miast Wołynia i prawobrzeżnej Ukrainy, m.in. Kamieńca Podolskiego.

Stopniowo dążyłem do ustalenia, które zabytki, w pierwszej kolejności architektury barokowej, zachowały się.

I otóż dopiero niedawno starania te uwieńczyły pewnym sukcesem. Borys Sajczuk opracował i nadesłał mi *Spis barokowych zabytków Wołynia podlegających ochronie*.

Wykaz ten obejmuje 23 miejscowości oraz 38 obiektów architektury barokowej XVII i XVIII w. na zachodnim Wołyniu.

B. Sajczuk wyraził przy tym przypuszczenie, że takich zabytków (barokowych), dotąd nie wziętych pod państwową ochronę, jest więcej, na co wskazywałyby dane z przedwojennego stanu rzeczy, znane mi jako wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków Wołynia w latach 1936–1939. Wówczas tego rodzaju zabytków architektury było tam ogółem blisko 60.

Z wielką radością dowiedziałem się z tego *Spisu*, że większość najwybitniejszych obiektów architektury baroku nie tylko zachowała się, lecz w znacznej mierze została uznana za zabytki i wzięta pod ochronę państwa.

Tak więc istnieją w Łucku: kościół pojezuicki, późniejsza katedra, jak i przebudowany kościół Brygidek oraz kościół i klasztor pobernardyński. W Dubnie zachowały się kościoły: Bernardynów i Karmelitanek, natomiast w Krzemieńcu – znakomity zespół pojezuicki, najwybitniejsze dzieło architekta jezuita, Pawła Giżyckiego, który projektował też kościół w Starym Czartorysku, o czym dowiedzieliśmy się dopiero ze *Spisu*. Z kolei w Poczajowie zachował się wspaniały, europejskiej skali kościół i klasztor pobazyliński, projektowany najpewniej – moim zdaniem – przez nieznanego dotąd, bardzo wybitnego architekta, lecz nie Gotfryda Hofmana, któremu przypisuje się to arcydzieło. W źródłowej pracy Józefa Dutkiewicza, opublikowanej niegdyś w *Dawnej sztuce*, Hofman wygląda tylko na budowniczego i wykonawcę cudzego projektu. ►

Co się dzieje z barokiem na Wołyniu

Dalej: szczęśliwie ocalał, choć ucierpiał podczas wojny, pałac w Wiśniowcu, jedno z arcydzieł architektury pałacowej późnego baroku, być może związane z którymś ze znakomitych architektów warszawskich.

Nieliczne z tych zabytków były zabezpieczane, remontowane lub odbudowywane. Istnieje zamiar przywrócenia architektury wnętrza w przebudowanym kościele Brygidek w Łucku.

Dla większości zabytków nie mamy jednak danych o stopniu ich zachowania. O wielu zabytkach baroku brak jest w *Spisie* wszelkich wiadomości. I tak pominięty został znakomity zamek (XVI–XVIII w.) w Ołyce, jak również ongiś wspaniały pałac Lubomirskich w Równem, o którym chodziły pogłoski, że został rozebrany. Według monografii Zbigniewa Hornunga o znakomitym architekcie Janie de Witte, pałac ten był przezeń przebudowany. Na marginesie, stało się z wielką szkodą dla nauki, że praca Hornunga od 10 lat czeka w maszynopisie na publikację. Nic również nie wiemy o barokowym kościele w Wiśniowcu oraz o prześlicznym kościele Dominikanów w Kozinie koło Dubna (z jedyną na zachodnim Wołyniu monumentalną Borrominiowską dwuwieżową fasadą falistą), jak też o klasztorze w Międzyrzeczu Ostrogskim, z którego została tylko dzwonnica (w *Spisie* są dwie wzmianki o rozebraniu zabytku).

Nie dowiedzieliśmy się niczego o losie kilkuset drewnianych kościołów pounickich, przeważnie z XVIII w., które posiadały bardzo bogaty i wysoce artystyczny, głównie późnobarokowy, wystrój malarsko-rzeźbiarsko-snycerski. Był to temat tyle ważny, co zupełnie nie opracowany – może takim pozostał?

Zabytki późnobarokowej architektury XVIII w. na zachodnim Wołyniu – Poczajów, Krzemieniec, Wiśniowiec, Dubno (karmelitanki), Zagorów, Wiszenki i inne – reprezentują bardzo wysoki poziom artystyczny w skali europejskiej i jako takie wymagają szczególnie fachowej konserwacji, nie bez pomocy ze strony polskich specjalistów.

Panu Borysowi Sajczukowi należą się słowa podziękowania i uznania za opracowanie oraz udostępnienie nam omówionego tu *Spisu*. Pomyślny ten fakt uważać można za pierwszy krok na drodze wiodącej do systematycznej konserwacji zabytków architektury zachodniego Wołynia.

Z dalszej korespondencji, datowanej 21 grudnia 1988 roku, z B. Sajczukiem wynikało, że za moją poradą zostaną przeprowadzone w lecie bieżącego roku archeologiczne badania sondażowe nad odkopaniem w Łucku fundamentów najstarszej katolickiej katedry pod wezwaniem św. Trójcy.

ZBIGNIEW REWSKI



„Łewa” w sprawie Ołyki

Spoleczno-kulturalne Wołyńskie Towarzystwo „Łewa” zwraca się do tych obywateli PRL, których rodziny spoczywają na starym cmentarzu w Ołyce na Wołyniu, a także do wszystkich zainteresowanych zachowaniem tamtejszego zespołu historyczno-architektonicznego, związanego z imieniem starego polskiego rodu Radziwiłłów.

„Łewa” domaga się dla Ołyki statusu pomnika państwowego i prosi o wsparcie tej inicjatywy.

Wołyńskie Towarzystwo
„Łewa”

SZTUKA I MENTALNOŚĆ ROSJI

ALEKSANDER JAKIMOWICZ

W latach 80. nowa rosyjska sztuka dokonuje gwałtownej inwazji na Zachód wywołując tam ogromne zainteresowanie. „Zrozumieć Rosję” – stare i poniekąd egzotyczne zawołanie – nabiera nowych impulsów. „Wyjaśnić Rosję” – to hasło z kolei przegradza się w humanitarną dyscyplinę o skomplikowanej naturze, łączącej w sobie metody historii, socjologii, psychologii, krytyki sztuki.

Sprzedawane są obrazy, organizowane wystawy, a nawet pisane książki. Ale aspekty poznawcze nie dają się tak szybko wypełnić przez tę gorączkową aktywność. Jesienią 1988 roku cała plejada zachodnich teoretyków i krytyków sztuki przybywa do Moskwy; wśród nich: Pierre Restany z Francji, Tom Messer z USA i wielu innych. Angażują się w „wyjaśnianie Zachodu” i jego sztuki moskwiom. Serdecznie nastawieni gospodarze próbują ze swej strony wyjaśnić gościom, co dzieje się w ich domu. I każdy czuje wyraźnie, że to niemożliwe; że to zadziwiająca i stymulująca iluzja. Nasza zdolność do objaśniania siebie okazała się bardziej niż skromna. Czy oznacza to, że samoanaliza jest ułomna?

Słabo znamy siebie z powodu szeroko zakorzenionej praktyki „mitologizowania”. „Czarny mit” Rosji straszy świat, a „biały” – wywołuje euforię. Przenikanie się i relatywna supremacja obu tych mitów daje się prześledzić na przestrzeni wieków, obydwa terminy zakorzenione są najwyraźniej w typowej rosyjskiej samoocenie – „Absolutne dobro” i „Absolutne zło”.

Zachód przyzwyczajony jest do wyrażania obiektywności wobec „realizmu socjalistycznego” w Rosji i ograniczania swobody kreacji. Artyści i intelektualiści w tym kraju mają na ten temat o wiele bardziej gorzkie uczucia. Nasza gorzkość i irytacja były przez długi czas zatrzymywane na progu publikowalności za pomocą specjalnych środków ideologicznej kontroli. Jednak pewne publikacje ukazały się już dawno. Należy wciąż pamiętać, że liczba twórców idzie w naszym kraju w tysiące. Wraz z amatorami, przyjaciółmi, adherentami tworzą określoną społeczną rzeczywistość, choć tak nieliczną w odniesieniu do globalnej populacji.

Ludzie, którzy przeszli inicjację w świecie literatury, teatru, filmu i „sztuk pięknych” wypowiadają się odważnie i szczerze nie tylko w prywatnych rozmowach, ale także na wystawach, w związkach twórczych, w centrach naukowych. Dyskusje o sztuce w instytutach matematycznych i fizycznych, uniwersytetach, redakcjach wielkich czasopism krok po kroku nadrabiają stracony czas trzech dziesięcioleci po śmierci Stalina. Rezultatem jest coś na kształt efektu masowego, nawet jeszcze przed dzisiejszą otwartością i szczerością w gazetach, książkach, w telewizyjnych przekazach. Przynajmniej nie ma teraz wielu entuzjastów sztuki kierowanej czy „robionej na zamówienie” wśród średniej i młodej generacji twórców.

A jednak nie jesteśmy całkiem szczęśliwi, kiedy nasi zachodni koledzy głoszą dokładnie podobne do naszych poglądy. To naturalne, rzecz jasna, że każdy ma prawo krytykować własną rodzinę, ale zawsze burzy się słysząc napomnienia z zewnątrz. A przy tym awersja do krytyki z zewnątrz ma jeszcze inny wymiar.

Podobnie jak jego kolega za granicą, radziecki intelektualista, o ile nie jest uwikłany w biurokrację otaczającą kulturę, czuje

naturalną niechęć wobec produkcji propagandowej i oficjalnego kompleksu. Być może używa nawet tych samych słów negacji, co jego zachodni odpowiednik, a jednak implikacje tego faktu są odmienne. To bowiem, co się naprawdę liczy, to mentalność ukryta za fasadą słów i sloganów.

Nie istnieje problem perfekcji, jest on bowiem najprawdopodobniej obcy w ogóle naturze ludzkiej, nie ma także problemu wyższości jednej świadomości nad drugą. Pytanie kto jest lepszy – Wschód czy Zachód – nie może być stawiane teoretycznie. Choć osobista opcja nie poddaje się surowej teorii. Rosyjski pisarz i społecznik S. Zatygin powiedział w 1989 roku:

Jeśli porównujemy te dwa pojęcia, widzimy z jednej strony społeczeństwo o nie wykorzystanym potencjale, a z drugiej społeczeństwo, gdzie potencjał wykorzystany jest ponad wszelką miarę. Wolę to pierwsze. Więcej w nim różnorodności, więcej nadziei i – czy się to komuś podoba, czy nie – mniej wyrachowania.

Gorąca, niestabilna, dramatycznie się zmieniająca i często „irracjonalna” społeczność posiada pewne specjalne zalety. Podobne poglądy mają szansę potwierdzić się w Rosji, gdyż dla wielu ludzi na Zachodzie wszystko chaotyczne ma znaczenie negatywne.

Mentalność Rosji jest nie zrównoważona, reagująca nieoczekiwanie na poszczególne czynniki i okoliczności. Pełna jest napięć i wstrząsana eksplozjami. Ta specyficzna niestabilność czyni ją nieobliczalną. I tak, po narodzinach rosyjskiej awangardy na początku XX wieku i po jej rozkwicie nastąpił kataklizm kultury stalinowskiej, a potem pierwsza odwilż (1956–1965), następnie, po dwudziestu latach, Druga Odwilż lub Pierestrojka – wszystko to równie niespodziane wybuchy. Z całą pewnością nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie, kiedy Gorbaczow obejmie władzę. Jeden z moich znajomych twierdzi, że przypadkowość nie zdarza się w Rosji w ogóle. Taka ironiczna przesada ma także z pewnością coś z prawdy.

Kiedy zewnętrzny obserwator współczesnych zmian w ZSRR zauważa potwierdzenie pluralizmu w sztuce, zaraz bliski jest dojścia do popularnej i błędnej konkluzji: identyfikacji nowego rosyjskiego pluralizmu ze znaną sytuacją artystyczną w Europie Zachodniej i Ameryce. Powierzchnowa ocena usiłuje założyć, że różne trendy, ruchy, grupy i jednostki tutaj zbliżają się do jakiegoś wyważonego systemu – czegoś zbliżonego do rzecznej delty skupiającej w sobie wiele zatok, wysepek, słonecznych plaż, ciemnych głębin, wodospadów, słodkich pejzaży i w ogóle cały zestaw akcesoriów zdolnych zaspokoić wszelakie gusta.

Tymczasem zjawiska pluralizmu i różnorodności w Rosji przypominają raczej tragiczne powodzie, wybuchy geologiczne i inne katastrofy (choćby etap totalitarnej kultury w latach 1930–1956 okazał się o wiele bardziej zabójczy). Różnica między procesem a kataklizmem, między grą według jasno określonych reguł a fantastycznym meczem, gdzie zasady zmieniają się w miarę rozwoju sytuacji na boisku, to najogólniej rzecz biorąc różnica między sztuką i mentalnością Zachodu, a sztuką i mentalnością Wschodu.

Spoglądając z pewnego oddalenia na każdy chaos, uporządkowany Zachód zaczyna odczuwać pogardę lub łaskawość, którym towarzyszy poczucie wyższości, bezpieczeństwa i absolutnej wiary

we własną supremację. Te oznaki „zachodniości” mają zapewne zrehabilitować lub pokryć poważne defekty w zdolności interpretacyjnej skierowanej na innych. To dlatego zewnętrzny obserwator często bierze naszą katastroficzną panoramę za pełną spokoju, potoki rozpalonej lawy za ciche wody, spektakl tragiczny za spokojną scenę rodzajową. Oni po prostu nie odczuwają śmiertelnie wysokich temperatur, zaciekłych konfliktów i eschatologicznej atmosfery tak strasznie oczywistej i psychologicznie niebezpiecznej dla mieszkańców Rosji – „Ognistej Ziemi”.

Uporządkowani dżentelmeni studiują nas. Doznają uczucia poszerzenia horyzontów myślowych. Nawet nie podejrzewają, że taki intelektualny ogląd może być określony jako niemoralny. Czy wolno być tak umysłowo zrównoważonym, racjonalnym, odpornym, bezbłędnym intelektualnie w obliczu tak wielkiej ilości ognia, krwi, nienawiści, szaleństwa i bólu? Należałoby raczej wypracować metody podejścia do mentalności i kultury, które nie są uporządkowane, a wręcz przeciwnie – całkowicie „rozwichrzzone”.

Dwuskładnikowa rzeczywistość Rosji nie jest mechanicznym połączeniem „pozytywnego” i „negatywnego” aspektu. Takie proste rozróżnienie musiałoby zawieść. Zrodziła się wielka wiara, entuzjazm, bezinteresowność, heroizm i „nowa świętość”. Ale to wszystko zbyt często i z pewnością nieprzypadkowo przeradza się jeszcze w fanatyzm bądź odrażające szaleństwo irracjonalnego chaosu. Wydaje się czasami, jakby rozsądek i porządek odpłynęły gdzieś i na zawsze. Święci i demony zaś jakby połączyli się genetycznie. „Życie i przeznaczenie”, wielka epicka powieść W. Grosmana, demonstruje podobny związek między wyzwolicielami i gwałcicielami. Niektóre skojarzenia wykluczane są prostą logiką. Nie sposób wyobrazić sobie „ciemnego światła” czy „zimnego ognia”, ale być może „ekscentryczna” logika Łobaczewskiego czy Einsteina bardziej nadają się do opisanego i wyjaśnienia „niemożliwej” mentalności, sztuki i kultury, niż racjonalność „arystotelesowska”.

Od takiego szkicu pewnych podstawowych faktów (nakreślonego w sposób możliwie najkrótszy) można przejść do interpretacji zjawisk, procesów i tendencji artystycznych.

Radykalna awangarda lat 60. i 70. istniała nielegalnie. Największe zdziwienie w tej konstatacji musi budzić czasownik „istniała”. Dlaczego istniała ona w czasach gwałtownych prześladowań dysydentów? Siły represyjne nie miałyby żadnej trudności w zniszczeniu artystycznego „podziemia” całkowicie i w każdej chwili. Zdolności destrukcyjne zademonstrowano przykonywając w 1974 roku, kiedy to w przeciągu kilku zaledwie minut rozbito nonkonformistyczną wystawę na otwartym powietrzu w Moskwie, rozpraszając bądź aresztując artystów i publiczność.

Ale jakoś narodził się kompromis w 1975 roku. Artysty nonkonformistyczni otrzymali pozwolenie na sformowanie legalnego stowarzyszenia – Moskiewskiego Komitetu Sztuk Plastycznych. Od tej pory posiada on swoje własne pomieszczenia, odwiedzane przez wielu amatorów, gości zagranicznych i moskiewskich intelektualistów. Oczywiście, całe przedsięwzięcie było kontrolowane, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Zadziwiające pozostaje jednak, iż nie napotykało ono poważniejszych przeszkód. Dla każdego świadka tamtych czasów taki liberalizm jawi się jako ledwie możliwy. Nierealistyczna i politycznie niepewna twórczość artystyczna otrzymywała surowe oceny od oficjalnej ideologii w latach 70., a w tym samym czasie sztuka niekonformistyczna zapewniła sobie nie tylko salę wystawową w stolicy (bez względu na to, jak ciasną), ale również zdołała dość szeroko wywędrować za granicę. Znane są wszakże również przykłady restrykcji. Ale rozmiary zaaprobowanego przez państwo „artystycznego ładunku”, kierowanego na Zachód, wzrosły ogromnie w okresie triumfującej stagnacji – od lat 70. do roku 1985.

Prawdopodobnie najlepsza część dorobku awangardy wyjechała za granicę i tam pozostała. Lista galerii i muzeów w Europie Zachodniej i Ameryce, które poświęciły rosyjskim wystawom wiele wysiłku, jest nader szeroka. Biennale w Wenecji otworzyło specjalną ekspozycję rosyjskiej nieoficjalnej sztuki. W kilku krajach otwarto centra specjalistyczne i muzea, jak na przykład – Musée de l'art russe en exil, otworzone w 1976 roku w Montgeron pod Paryżem.

Enigma pokojowej współegzystencji wolno myślącej sztuki i nietolerancyjnej oficjalności (pamiętajmy o losie Sacharowa, Brodskiego, Tarkowskiego, Kopelewa i wielu innych) jest tym bardziej zadziwiająca, im głębiej zrozumiemy artystyczne przesłanie sztuki podziemnej lat 70.

Nasza awangarda porzuciła w tym czasie uprawną głębię estetycznych utopii i metafizycznych wizji Schwarzmanna, Krasnopiewcewa, Jankilewskiego i innych ojców „liberalnej sztuki” (którzy poszli śladami rosyjskiej awangardy lat 20. oraz „szkoły paryskiej”) i wkroczyła w fazę konceptualizmu, akcjonizmu i tak zwanej sztuki sots Kabakowa, Bułatowa, Komar-Melamida i innych. Rozpoczęła się dowcipna, lecz niebezpieczna gra z politycznymi i masowymi stereotypami totalitaryzmu. Ironiczny absurd tego smutnego modelu „Sowieckiej myśli” nie mógł pozostać dla nikogo tajemnicą. Opóźniona, skorumpowana i cyniczna dyktatura połykała ten gryzący produkt. Konceptualizm społeczny nie był trudny do rozszyfrowania, ale władze o to nie dbały. Dlaczego?

To, co można nazwać Wielkim Bałaganem Czasów Stagnacji (1975–1985), podobnie jak chaotyczny fenomen stalinizmu bądź socjo-kulturalnej sytuacji Odwilży czy Pierestrojki, stanowią nie tylko dowód na brak uporządkowania, czy normalnych warunków życia, ale oznaczają również brak rosyjskiej „normalności”. Przyczyna i skutek są oddzielone zarówno w życiu, jak i świadomości. Mocny związek między „zbrodnią” i „karą” nie stanowi powszechnej zasady. Wiele kreatywnych jednostek zostało ukaranych bez wyraźnego dowodu opozycyjnych intencji czy uczuć. Pytania o to, dlaczego lub po co musieli ponieść swój krzyż, nie są właściwe, jak pytania o inny świat – dajmy na to o „problem marsjański”.

Obecnie możemy tylko domyślać się „dlaczego” ta lub tamta książka, film czy obraz zostały zakazane – wszystkie supozycje pozostaną równie niepewne. Bardzo popularną frazą wyjaśniającą, używaną przez rosyjskie dzieci, jest powiedzenie: „Jest tak, bo jest”. Bardziej odkrywcze sformułowanie problemu nie jest możliwe.

Podobnie nikt nie mógłby racjonalnie wyjaśnić, dlaczego masyzna państwowa otworzyła drogę dla „nielojalnych” wystaw w Paryżu, Bochum czy Wenecji. Nonszalancja na gigantyczną skalę, „czernobylizm”? Zyski i straty, nagrody i kary rozdzielane są w sposób mistyczny, przypominający czasami „roulette russe”. Oleg Telkow, Ernest Niezwiasty i wielu innych zostało zmuszonych do emigracji, ale czy powinniśmy pytać, dlaczego właśnie oni? Wielu innych, nie mniej negatywnie nastawionych do kręgów rządzących, nigdy nie przeżyło słynnego milczącego zaszczuwania.

Podług zachodnich standardów nasz socjo-kulturalny system i świadomość ludzka funkcjonują nieracjonalnie. Ten symptom jest zbyt stabilny w naszym narodzie i historii, by można uważać go za zwykłą wadę czy defekt, który może zostać zreperowany przez poprawę wykształcenia i organizacji. Dezorganizacja, rewizjonizm i rewolucyjność to dla nas nie tylko krytyczne momenty naszej historii, to raczej podstawowa zasada historycznej egzystencji.

Obserwowanych oddzielnie, wiele wydarzeń z naszego artystycznego życia wydaje się pozornie fantastycznymi lub sprzecznymi ze zdrowym rozsądkiem. Na przykład pismo „Chudożnik” (Artysta) gwałtownie atakuje „burżuazyjny modernizm”; niebezpieczna

metka sugeruje wrogość wobec sztuki abstrakcyjnej, surrealizmu, ekspresjonizmu sprzed pół wieku. Liberalnie zorientowani liderzy oficjalnie uznawanego Związku Artystów są atakowani w podobny sposób. Teoretycy tego ultrakonserwatywnego organu prasowego zamykają oczy na fakt, że prawdziwa i poważna opozycja wobec oficjalnego patriotyzmu znajduje się w społecznym konceptualizmie, od Kabakowa do Filipowa i Mironienki. Oni po prostu nie potrzebują racjonalnego wyobrażenia rzeczywistości. Przeważa „sakralność”. Formuła „realizm kontra modernizm” stanowi *credo* – w istocie rzeczy – w tej sakralnej jakości popycha wiernych do ofiary z własnego życia. Twarde odniesienie do namacalnych faktów nie jest wobec tego istotne. Wieczny realizm prowadzi wieczną bitwę z ciemnymi siłami modernizmu, jak Ahura Mazda przeciw Ahrimanowi w starożytnej irańskiej mitologii. Modernizm jest personifikacją całego zła – to odwieczna prawda. Weryfikacja czy jakikolwiek rodzaj racjonalnej analizy tego *credo* uważane są za herezję. Dociekania, czym jest konceptualizm, sots-art czy post-modernizm są szkodliwymi wynaturzeniami. Prawdziwy miłośnik nie da się wzięć na lep takich fanaberii...

Nazwiska i konkretne detale nie są ważne. Każde nazwisko może zostać użyte jako ilustracja odwiecznej tajemnicy Dobra i Zła. Kandinsky jest personifikacją Zła, Chagall także. A nawet któryś z tradycyjnych malarzy współczesnej Rosji, jeśli odwoła się do skromnych elementów autoekspresji. Małe zera są niczym w tym życiu.

Samo *credo* jest sakralne, ale nie jest sakralne jego wprowadzanie w życie. Życie praktyczne może być pełne majaków. Wczorajszy bohater przeradza się w dzisiejszego wroga czy kryminalistę (Trocki, Stalin, Breżniew). Ktoś musi uosabiać Zło. Wieczna obecność absolutnie boskiego Dobra i absolutnie demonicznego Zła jest faktem o wiele bardziej fundamentalnym niż przemijające imię, które nie reprezentuje tajemnicy realnego życia. Święci i grzesznicy są być może jednym wobec penetrującego oka Najwyższej Prawdy. Oto sposób, w jaki funkcjonuje nasza świadomość. Dostojewski i Tolstoj zaczęli analizować ten sposób myślenia. Literaccy *chef d'oeuvres* naszego XX wieku przedstawili dokładny obraz, jak funkcjonują nasze umysły.

„Encefalogram” Rosji proponowany tutaj nie ma na celu obwiniać kogokolwiek. Być może moje obserwacje mogą stać się pomocne w zrozumieniu fenomenu chaotycznej, „gorącej” i „irracjonalnej” kultury i umysłowości, które są tak rzadkie we współczesnym świecie. Ponadto, dokonania sztuki w naszej części globu jawią się wówczas w nowym świetle.

Paradoksy i niespójności są wtedy mniej zdumiewające. Pamiętajcie Szostakowicza, Płatonowa, Mandelstama, Eisensteina, Majakowskiego. W przeciwieństwie do zwykłych ludzi z ulicy nie mieli oni zwykłych iluzji co do perfekcjonizmu Rosji i radzieckiego życia. Oni wiedzieli dużo o rzeczywistych osiągnięciach i o rzeczywistym braku humanitaryzmu tutaj. Majakowski, nie mogąc pogodzić sprzeczności, odebrał sobie życie. Szostakowicz komponował radosne pieśni absolutnego optymizmu i tragiczne, konwulsyjne muzyczne groteski. Eisenstein robił oficjalnie patriotyczne „filmy o historii”, ale wmontował do swojego „Iwana Groźnego” sławny epizod tańczących żołnierzy dyktatora – sataniczne święto, które stało się szokiem dla Stalina oczekującego absolutnego wsparcia każdej patriotycznej dyktatury w Rosji.

Czy artysta był krytycznie wobec tego nastawiony, czy też działał jak zbyt gorliwy herold? Zachodnie pytanie nie poddaje się wschodniej prawdzie. Świętość impregnuje grzech i *vice versa*. Nikt na ziemi nie może podejmować ostatecznych decyzji, co jest czym.

Ta rekonstrukcja mentalności jest relewantna nie tylko w odniesieniu do przeszłych etapów rozwoju kulturalnego, ale odnosi

się również nie tylko do współczesnego konserwatyizmu i tradycjonalizmu w sztuce. Awangardyzm nie jest wyjątkiem, oscyluje bowiem wokół tych samych fundamentów. Jego „strasliwy sekret” polega na genetycznym związku między nieoficjalną sztuką, a sztuką konserwatywną, błogosławioną przez państwo, czy masowym wyobrażeniem o patriotycznych konotacjach. Wydaje się to nieprawdopodobne. Wiele powiedziano o niespolegliwości naszych buntowników w sztuce z linią oficjalną. Ale antagonizm nie wyklucza w tym przypadku wewnętrznego pokrewieństwa. To Rosja i nic więcej.

Każdy może zaobserwować w naszym awangardyzmie niezrównoważoną myśl, ekstremizm, nietolerancję i głęboki ślad sakralnego myślenia. Racjonalne związki przyczynowo-skutkowe czy badanie rzeczywistych faktów z rzeczywistego życia z samego szacunku dla faktów i życia nie są mile widziane. Może sekciarski status „podziemnego artysty” i dziedzictwo uprzednio represjonowanej egzystencji grają tu jakąś rolę, ale są to tylko fakty uboczne.

Nasi buntownicy, z kilkoma wyjątkami, nie znają metod myślenia czy działania, które byłyby w sposób fundamentalny odmienne od tych stosowanych przez naszych ideologicznych i estetycznych dyktatorów. Nie znają oni dobrze prawdziwej historii sztuki nowoczesnej i zadowolają się mitami i legendami. Wykazują tendencje do „negowania bez zbadania”, dokładnie tak, jak ich adwersarze. Dokonują oni wyboru upraszczania skomplikowanych problemów i preferują formułowanie „absolutnych” prawd o tym, co jest dobre a co złe. Wiemy zbyt dobrze, że formuły wszelkiego typu są strukturalnie jednakowe – dlatego pozorne przemiany dokonują się tak łatwo. Absolutna boskość staje się wątpliwa i nie do zaakceptowania. Chwała przychodzi i odchodzi jak wstyd i jak wszystko inne na naszym globie. Profetyczny umysł okazuje się niezbyt uważny w zderzeniu z – powiedzmy – prawdziwym dramatem van Gogha czy prawdziwym znaczeniem prac pozostawionych przez Malewicza, Chagalla czy innych mistrzów. Zakodowana głęboko, wewnętrznie spójna idea opozycji Boskości i Satanizmu jest jedyną tajemnicą wartą uwagi.

Awangardowy „Weltanschauung” wydaje się być jedynie symetrią wobec oficjalnego, akademickiego i masowo-patriotycznego ekstremizmu.

Z angielskiego przełożył: Wiesław Horabik



Wiesław Horabik
29.08.1981

ALEKSANDER DŹIKIJA: *Imiona wrogów*, 1988.

Autor należy do najmłodszego pokolenia artystów moskiewskich

Okolice sztuki MOSKIEWSKI OCZOPLĄS

Aleksander Jakimowicz, autor publikowanego po sąsiedzku eseju *Sztuka i mentalność Rosji*¹, jest przewodniczącym sekcji krytyków i historyków sztuki, istniejącej w ramach Związku Artystów ZSRR, a skupiającej około 400 osób.

Jego refleksyjny tekst rozwija się w tak szerokiej i intrygującej perspektywie poznawczej, że aż dech zapiera podczas lektury.

Osobiście proponuję państwu bardziej przyziemne spojrzenie na współczesną sztukę radziecką, a właściwie moskiewską, z którą zetknąłem się kilka miesięcy temu.

Jest to niestety spojrzenie dotknięte oczopląsem, bo gdzie rzuciłem okiem, tam co innego widziałem.

Najpierw zauważyłem pierestrojkę artystyczną, czemu trudno się dziwić, ponieważ jest okazją. Doszedłem nawet do wniosku, że Moskwa nurza się w przebudowie i broni od się wstępu przeróżnym konserwatywom, którzy udali się albo na wewnętrzną emigrację, albo do Albanii, gdzie powitano ich chlebem, solą i „czerwoną księżeczką”.

Jako pierwszy znak pierestrojki odnotowałem wystawę malarstwa, grafiki i rzeźby Michaiła SZEMIAKINA.

Szemiakin w Moskwie, w wielkich salach Centralnego Domu Artysty przy Krymskim Wale – no nie, tego się nie spodziewałem!

Artysta ten urodził się w Moskwie (1943). Jego matką była znana aktorka, ojcem – wysoki oficer, którego obowiązki służbowe zatrzymały wraz z rodziną w NRD. Do ojczyzny młody Michaił powrócił w 1957 roku, zatem po XX Zjeździe KPZR, by w odpowiednim czasie podjąć studia w leningradzkiej Akademii im. Riepina. Malował jednak niezgodnie z obowiązującym kanonem, zatem wyrzucono go z uczelni, następnie umieszczono w szpitalu psychiatrycznym, wreszcie wydano go z kraju (1971). Długo mieszkał w Paryżu, od 1981 roku przebywa w Nowym Jorku.

Wystawę Szemiakina i jego osobiście Moskwa przyjęła gorąco. Sam widziałem te tysiące obywateli, które przewijały się codziennie przez najwyższe położone sale CDA, gdzie mistrz prezentował swój wysmakowany, może ciut manieryczny ekspresjonizm, wyciągając w pastelach(!), kredkach i technice mieszanych różne fantasmagorie z motywem śmierci, dewiacji i degradacji, inspirowane nierzadko literaturą rosyjską, religią i dramatycznym fragmentem tamtejszej historii politycznej.

Zdziumiło mnie zatem, że długa kolejka „na Szemiakina” zaczęła kurczyć się w dniach poprzedzających zamknięcie wystawy. Dlaczego, nie wiem, ale faktem pozostaje, że w tym czasie w ogromnej hali Maneżu, niedaleko Kremla, otwarto inną ekspozycję malarstwa Aleksandra SZŁOWA.

Kolejka na tę wielką wystawę także okazała się wielka, ale ominąłem ją szczęśliwie dzięki zaradności mojej serdecznej koleżanki, pani Barbary Sawickiej, która mieszka w Moskwie, a jako historyk sztuki zajmuje się m.in. sztuką polską, wydaje książki i ma zdrowy pogląd na świat.

Szłow jest niewątpliwie mistrzem realistycznego warsztatu, a przy tym człowiekiem mocno uciążliwym na wszystko, co rosyjskie. Maluje dobrotliwe starszki, okaleczonych w Afganistanie żołnierzy radzieckich, wytworne damy w potyskujących etolach, trochę nagości w uznawanych tutaj granicach przyzwoitości, portrety kosmonautów, znanych uczonych i popularnych artystów. Jest w tych wizerunkach siła, duma i dobro.

W Maneżu, poddanym zresztą specjalnej obróbce scenograficznej, Szłow pokazał nam coś takiego, czego podobno nie widziano dotąd w Moskwie: kilkanaście okazałych portretów duchownych prawosławnych wysokiego czy nawet najwyższego szczebla, odzianych w bogate szaty liturgiczne. Niektóre postaci występowały na płótnach w naturalnych wymiarach, inne do pasa, ale ze wszystkich emanowało dostojenie.

Później, w Zagorsku, widziałem wielu żywych popów, ciągnących za sobą tłum rozdygotanych kobiet. W większości byli młodzi, weseli, a dzwony cerkiewne pięknie grały.

Podobno wśród szerokich kręgów społeczeństwa radzieckiego Szłow cieszy się opinią jednego z najwybitniejszych artystów tego kraju.

Jedno nie ulega wątpliwości: warsztat to on opanował perfekcyjnie, żadnego błędu technicznego nie popełnił nawet w portrecie Wysockiego, który na wystawie sprawiał wrażenie zjawy z innego świata.

W jakim nurcie radzieckich przeobrażeń należałoby ulokować twórczość Szłowa? P a m i e c i narodowej?

Łatwiej odpowiedzieć na pytania, jak manifestuje się rosyjskość w obrazach Tatiany NAZARIENKO, co wynikało niegdyś i co wynika teraz z tej manifestacji, której okazały fragment widziałem w CDA?

Ładna kobieta, ta pani Nazarienko, urodzona w Moskwie 1944 roku. Ładna, sympatyczna i dobrze ubrana, wystawiająca m.in. w RFN, gdzie chętnie kupują jej wyraziste w modelunku, figuratywne i sugestywne, a przy tym bardzo rosyjskie w tematyce i klimacie obrazy. Niektóre z nich również chętnie zdejmowali kiedyś z ekspozycji strażnicy tądu powszechnego za każdą cenę, aczkolwiek prawdą pozostaje, że wielka kompozycja historyczna *Każń narodników*, ukończona w 1972 roku, przyniosła Nazarienko nagrodę Komsomotu. Inna sprawa, że przyznanie owej premii silnie zdegustowało kolegów artystki, kontestujących różne wcielenia oficjalności. Po prostu zaczęli ją bojkotować!

No i jak tu potapać się, co jest naprawdę białe, a co czarne?!

Poucządzając jest także przypowieść związana z innym obrazem historycznym Nazarienko, *Pugaczow* (1980), przedstawiającym pojmanego przywódcę antycarskiego powstania chłopskiego, jak w klatce wdzion jest do Moskwy przez oddział żołnierzy z generałem Suworowem na czele. Ten dyptyk stanowi wybitne dzieło sztuki, co nieco stylizowane na XVIII-wieczne malarstwo batali-

styczne, ale nie o to tutaj chodzi. Rzecz w tym, że na ironiczne pytanie, czy autorka nie zamierza aby namalować jeszcze jednego Suworowa, na przykład wchodzącego do Warszawy (rzeź Pragi), Nazarienko odparła, że i owszem, choć wcale nie miała takiego zamiaru. No i poszła po Moskwie pogłoska, że obraz już powstał, ale jak wygląda, tylko szatan wie, jako że tego nowego Suworowa autorka gdzieś tam komuś w tajemnicy sprzedała.

Dzisiaj Nazarienko jest górą, dostownie w przenośni malarskiej, akuratnie wpisanej w płótno *Cyrkówka* (1984), gdzie odziana w kostium plażowy, dwuczłowy, stąpa – niczym po linie – po głowach swoich niedysiejszych prześladowców ze sfer urzędowych, których twarze sportretowała z właściwą jej biegłością, zmuszając jeszcze pokonanych do oklasków.

Szanujmy kobiety w ogóle, a zwłaszcza te, które potrafią malować.

Górą (choć pośmiertnie) jest także awangarda rosyjska i radziecka, której instruktywne wystawy permanentnie urządzone są w tzw. nowej Galerii Tretiakowskiej – po latach anatomii, jaką obłożono ten fenomen o światowym znaczeniu.

Byłem obecny przy montażu wystawy W. KANDINSKY'EGO (1866–1944), co wzdzięczam życzliwości takich pań, jak Lidia I. Iowlewa i Tatiana Gubanowa. W ogóle w „Tretiakowie” przyjąto mnie wyjątkowo serdecznie, dość powiedzieć, że tylko dla mnie, nieznanego tam faceta z za Buga (dla nich my jesteśmy z za Buga), urządzono prelekcję z przezroczami (skopiowanymi z albumów zachodnich) o radzieckiej sztuce alternatywnej, kryjącej się długo w podziemi artystycznym. Ten wykład wygłosiła Dżogon Jekatierina Jurlewna, osoba kwitnąca, choć nosząca tytuł starszego pracownika naukowego.

Urządzenie wystawy kosztowało dużo wysiłku i pieniędzy, jako że prace (ponad 180) sprowadzono nie tylko z licznych muzeów radzieckich, lecz również z Monachium, Paryża i Nowego Jorku, a okazały, naukowy katalog wydano w nakładzie bodaj 10 tys. egzemplarzy!

Transport i ubezpieczenie dzieł z granicy sfinansowała „Lufthansa”, dbała o własny interes reklamowy i dobre stosunki między RFN i ZSRR.

Na otwarciu wystawy zaproszono dyrektorów kilku wielkich muzeów i galerii zachodnich, razem z małżonkami oczywiście...

A w tym czasie wpadł mi w ręce numer pisma „Ogoniok”, w którym znalazłem synny już w Moskwie wywiad z Dmitrijem NALBANDJANEM, laureatem nagród: stalnowskiej i leninowskiej, członkiem Akademii Sztuki ZSRR, który swego czasu portretował Stalina, Mao, Chruszczowa i Breżniewa. Mistrz wyznał, że tymczasem nie zabiega o wykonanie portretu Gorbaczowa, bo tenże bardziej lubi fotografię, ale „na wszelki wypadek” szkicuje sobie wizerunki i sekretarza.

Dziennikarz pytał ironicznie, Nalbandjan odpowiadał ze śmiertelną powagą.

Czy nie można dostać oczopląsu?

¹ Autorski tytuł tekstu skierowanego do „Kamenny” brzmiat: *Art and Mentality of Russia. The Late XX Century.*



TATIANA NAZARIENKO: fragment dyptyku *Przedstawienie*, 1986

Wszyscy wiedzą, że Polska to kraj słowiański, że Polacy to Słowianie i że język polski należy do grupy języków słowiańskich. Co się jednak za tymi pojęciami kryje, jakie treści – kulturowe, etniczne, historyczne, językowe – z tego wynikają? Odpowiedź na to pytanie postarają się dać artykuły, zamieszczone m.in. w niniejszej rubryce „Kamień”.

Od dawna już dostrzegano istnienie podobieństw między niektórymi językami, zwłaszcza w słownictwie i gramatyce. Podobieństwa owe były tym większe, im głębiej cofano się w przeszłość, im starsze fazy danych języków porównywano, np. rosyjskiemu wyrazowi *otiec* i czeskiemu *otec* odpowiada polski *ojciec*, ale i staropolski i jeszcze gwarowy *ociec*. Z faktów tych językoznawcy wyciągnęli wniosek, że grupa języków, wykazujących zbieżności i podobieństwa między sobą, tworzy tzw. rodzinę językową; dawniej języki te stanowiły jedną całość i pochodziły od jednego wspólnego prajęzyka.

Dopóki jakieś plemię w starożytności było mniej liczne i mieszkano na względnie małym i jednolitym terytorium, dopóty posiadało jeden język i jedną kulturę materialną. W miarę przybywania ludności następowało zajmowanie nowych terenów i wędrówki oddzielnych grup plemiennych w różnych kierunkach. Odmienne warunki geograficzne powodowały różnicowanie w zakresie kulturowym, a kontakty z innymi ludami różnicowały też język (na zasadzie tzw. substratu językowego). W taki właśnie sposób dokonywał się rozpad prajęzyka na poszczególne języki pokrewne, co potwierdzają także badania archeologiczne, antropologiczne i historyczne.

Słowianie należeli do dużej grupy ludów indoeuropejskich (w archeologii łączonej z tzw. kulturą ceramiki sznurowej), wspólnie z plemionami indyjskimi, irańskimi, bałtyckimi, germańskimi, romańskimi, greckimi, ormiańskimi, celtyckimi itp. Wystarczy tu wskazać na niektóre wspólne cechy w słownictwie, np. staroindyjskie *matar*, greckie *mater*, łacińskie *mater*, niemieckie *Mutter*, litewskie *mote*, polskie *macierz*. Wspólnota indoeuropejska istniała do trzeciego tysiąclecia p.n.e. na obszarach, rozciągających się od Indii po Europę, rozpadając się potem na mniejsze grupy. Słowianie przez długi czas stanowili później wspólną grupę z ludami bałtyckimi: Litwinami, Łotyszami, Prusami i Jaćwiegami (znany powszechnie pod zniekształconą nazwą Jadźwingów). Rozpadła się ona dopiero w okresie 1500–1300 r. p.n.e., gdy Słowianie przesunęli się na zachód, zajmując tereny od dorzeczy Odry i Wisły po Dniepr i Desnę (zespół tzw. kultury Łużyckiej).

Zespół Słowian, używający jednego języka (zwanego w nauce językiem prasłowiańskim), utrzymał się jako jednolita całość do III wieku n.e.; po tym czasie zaczęły się w jego obrębie różne podziały i przesunięcia. Pierwszym z nich było odejście plemion południowych za Karpaty (III–IV wiek n.e.), później w ślad za nimi poszły też dwa plemiona zachodnie: Czechów i Słowaków. Stąd właśnie pochodzą wpływy południowosłowiańskie w języku naszych południowych sąsiadów, np. polskim wyrazom *złoto*, *krowa* odpowiadają czeskie *złato*, *krava* (takie same odpowiedniki są w języku serbsko-chorwackim, bułgarskim). Drugi podział plemion słowiańskich wynikał z ich tendencji do rozprzestrzeniania się na wschód i na zachód, dlatego np. rosyjskim wyrazom *cviet* i *zvezda*, serbsko-chorwackim *cvijet* i *zvizjeda* odpowiadają czeskie *květ* i *hvězda* oraz polskie *kwiat* i *gwiazda*. Fakt ten ostatecznie ugruntował rozpad grupy słowiańskiej na trzy wyraźnie różniące się między sobą odłamy: południowy, zachodni i wschodni.

Grupa południowosłowiańska wykazuje najwięcej cech odrębnych i zróżnicowań. Wynika to zarówno z ukształtowania zamieszkiwanego przez nią terenu (góry utrudniają częste kontakty), jak i z położenia geograficznego tego obszaru: na skrzyżowaniu szlaków stanowiących od stuleci miejsce wędrówek różnych ludów. Przybyli na Bałkany Słowianie spotkali tam już wiele odmiennych plemion (Traków, Daków, Ilirów, Greków itp.), a później i sami byli obiektem najazdów (np. Bułgarów i Turków). Wielkie wędrówki ludów, zwłaszcza założenie państwa Madziarów, odcięły tę grupę od Słowian wschodnich i zachodnich. Ostatecznie uformowały się tu cztery języki słowiańskie: w części zachodniej – serbsko-chorwacki i słoweński, w części wschodniej – bułgarski i macedoński (ten ostatni występuje jako język literacki dopiero po II wojnie światowej).

Istniał także język staro-cerkiewno-słowiański, używany w okolicach Salonik, znany powszechnie jako najstarszy literacki język słowiański, gdyż już w połowie IX wieku misjonarze Cyryl i Metody przełożyli na ten język z greckiego Biblię. Języka tego używano, jako literackiego, aż do XVIII wieku (na całej Rusi i w Rumunii), a jako język liturgiczny występuje on po dziś dzień w Kościele prawosławnym.

Słowianie zachodni przesunęli się aż do rzeki Łaby. Słowiańskiego pochodzenia są liczne nazwy miast niemieckich, np. *Berlin*, *Drezno*, *Lipsk* czy *Rostock*. Plemiona usytuowane między Łabą i Odrą, Drzewianie, Obodrzyce, Wiełeci i inni, zostali wytępieni bądź zgermanizowani przez Niemców w wyniku tzw. *Drang nach Osten*; relikty języka połabskiego zapisano w XVIII wieku. Na południe od nich ulokowali się Łużycanie, a na wschód – Czesi, Słowacy i plemiona polskie: Polanie (w dzisiejszej Wielkopolsce), Wiślanie (w dzisiejszej Małopolsce), Ślężanie, Mazowszanie i Pomorzanie.

Słowianie wschodni tworzyli wiele państewek i księstw, ale ich językowa i kulturowa wspólnota przetrwała aż do XIII wieku; używali oni w tym okresie języka zwanego staroruskim. Po XIII wieku wyodrębniły się tu trzy języki: rosyjski (dawniej określane też jako wielkoruski), ukraiński (dawniej nazywany też małoruskim) oraz białoruski. Do XVIII wieku funkcję języka literackiego na tych obszarach pełnił język staro-cerkiewno-słowiański. Języki literackie: rosyjski i ukraiński ukształtowały się w końcu XVIII stulecia, a białoruski dopiero po Rewolucji Październikowej (w Rosji carskiej uważano go za dialekt języka rosyjskiego).

Obecnie używa się na co dzień, a także w kulturze i literaturze, dwunastu języków słowiańskich. Interesujące sytuacje tworzą się na pograniczeniach, gdzie nakładają się na siebie (interferują) cechy dwóch języków. Zjawisko takie występuje na Lubelszczyźnie, której część wschodnia zamieszkiwana była od dawna przez ludność ukraińską. Wprawdzie po II wojnie światowej, na skutek przesiedleń i oddziaływania języka literackiego polskiego, żywioł ukraiński na tych terenach znacznie osłabł, ale nadal pozostały liczne ślady, zarówno w języku, jak i w kulturze.

Badanie ich stanowi przedmiot i zadanie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Tak np. w dniach 25–28 kwietnia br. Zakład Filologii Słowiańskiej UMCS zorganizował konferencję naukową nt. „Gwary mieszane i przejściowe na terenach słowiańskich”, z licznym udziałem naukowców zagranicznych (z Australii, Bułgarii, NRD, RFN i ZSRR). Ciekawe zwłaszcza były referaty uczonych radzieckich ukazujące stan i rozwój języka Polaków, mieszkających na obszarze ZSRR.

MIECZYSLAW BUCZYŃSKI

JĘZYK TO KREW NARODU

MICHAŁ SAJEWICZ

Kilka lat temu odwiedził mnie przed swoją podróżą do Związku Radzieckiego znany lekarz, zawzięty przeciwnik nauk humanistycznych, a językoznawstwa w szczególności. Żadne moje argumenty nie były w stanie przekonać go, że językoznawstwo jest równie poważną dziedziną nauki jak medycyna, a badania językoznawcze mają swój sens.

Tym razem zupełnie nieoczekiwanie osiągnięte zostało porozumienie. Przyszedł mi z pomocą dawno już niezjący znakomity pisarz białoruski Sz. Jadwihin. Siegnąłem po tom jego utworów i przeczytałem koledze po białorusku zawczasu już podkreślone zdanie: *Mowa – krou naroda...*

– Nigdy nie przypuszczałem, że językoznawstwo i medycyna są sobie tak bliskie – zauważył z uśmiechem lekarz.

Rozstaliśmy się tego dnia w zupełnej zgodzie.

Po kilku tygodniach otrzymałem od mojego znajomego list z Mińska. Utkwiło mi szczególnie w pamięci zdanie napisane drobnym maczkiem na dole kartki: *Jeśli język jest rzeczywiście krwią narodu, to naród białoruski jest poważnie chory, cierpi bowiem na przewlektą niedokrwistość.*

Tak, białoruska tożsamość kulturalna i językowa jest zagrożona. Jeśli nie zostaną odwrócone niekorzystne dla kultury i języka białoruskiego trendy, kwestia białoruska stać się może w niedalekiej przyszłości wyłącznie problemem etnograficznym. Czy tak się stanie? Czy tak się stać musi? Odpowiedzi na te pytania należy szukać tam – w Mińsku, Grodnie, Homlu, Witebsku, Mohylewie, na wsi białoruskiej. Trzeba tam być...

Teren ten jest nizinny, lesisty, do złudzenia przypominający Białostoczczyznę. Mijamy niezbyt zamożne, przycupnięte przy torach kolejowych wioski. Siąpi deszcz. Starszy pan drzemie wciśnięty w kącie przedziału, ja również walczę ze snem, ale bezskutecznie. Po chwili budzi nas raptowny zgrzyt kół. To już Bereza Kartuska: nieduża polska wieś, skromna stacyjka...

– Byłem tu kilkakrotnie przed wojną – odezwał się niezbyt rozmowny dotąd starszy pan.

– To musiał być koszmar – odpowiedziałem ze współczuciem.

– Dlaczego koszmar?! Miałem tu dziewczynę – wyjaśnił zdziwiony staruszek.

Poczułem się jakoś nieswojo i mimowolnie sięgnąłem po leżącą na stoliku odblisk

artykułu Cezarii Baudouin de Courtenay-Jędrzejewiczowej. Artykuł poświęcony był grupom etnicznym i narodom na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Pobudzał on do refleksji nad historią, kulturą i językami zamieszkujących te ziemie narodów. Czytamy w nim m.in., że:

[...] ziemie b. W.X. Litewskiego stanowiły od wielu tysięcy lat terytorium, na jakim osiadły, przez które wędrowały i na jakim walczyły, zwyciężały i ginęły różne grupy etniczne [...].

Przybываяc z różnych stron i mieszkając tam od czasów zamierzchłych, przekazywały one składniki swej kultury następnym pokoleniom i wtedy, gdy nawet same znikały z powierzchni życia, jako nie znani dla potomności lub mało znani przodkowie etniczni.

Na kenwie pozostawionej przez nich tradycji (zwanej „podłożem” lub „substratem”) – powstawały kultury nowych ludów. Z jednej strony przybysze-zaborcy, kolonizatorzy itp. wsiąkali w nowe środowisko i, przystosowując się do otoczenia, wchłaniali do swego kompleksu kultury i asymilowali miejscowe tradycje. Z drugiej strony, kultura autochtonów zmieniała się pod obcymi wpływami, sączącymi się drogą pokojowych kontaktów albo też pod naporem przemocy obcych inwazji i podbojów.

W wyniku tych skomplikowanych [...] procesów kulturo-twórczych, powstawały i wyodrębniły się poszczególne grupy etniczne, ludy i narody ziem W.X. Litewskiego [...].¹

Litwini, Białorusini, Ukraińcy... Nasi najbliżsi, a wciąż tak mało znani sąsiedzi ze Wschodu. Historia nigdy nie była dla nich zbyt łaskawa, nie rozpieszcza ich także współczesność. „Dla jednych narodów historia jest matką, dla innych macochą” – zauważył kiedyś poznany przeze mnie w Moskwie młody etnograf białoruski. „Historia kołem się toczy, naród w każdej chwili może odwrócić od siebie zły los” – próbowałem pocieszać rozżalonego etnografa. „Czasem może być już za późno” – odparł krótko mój znajomy.

W zdecydowanie najgorszej kondycji wkraczają w XXI wiek właśnie Białorusini. Jesteśmy świadkami stopniowego zanikania oryginalnej kultury białoruskiej oraz agonii białoruskiego języka literackiego. Czyżby W. Bykau, N. Hilewicz, U. Karatkiewicz i A. Adamowicz mieli przejść do historii jako ostatni Mohikanie literatury białoruskiej?

Stan kultury białoruskiej i białoruskiego języka literackiego budzi niepokój i zdziwienie także w Polsce. Jest to zrozumiałe, wnieśliśmy bowiem niepośledni wkład w rozwój tej kultury i języka. Z drugiej strony,

o ileż uboższa byłaby kultura polska, gdyby nie pojawili się ci wielcy poeci, pisarze, muzycy i malarze polscy, których twórczość tak nierozzerwalnie związana jest z tradycjami i kulturą naszych bezpośrednich wschodnich sąsiadów. Czy zawsze o tym się pamięta po obu stronach Bugu?

Baranowicze powitały nas ulewnym deszczem i dziesiątkami różnokolorowych parasoli na peronie. Starszy pan pożegnał się, włożył trochę przyciasny słomkowy kapelusz i ruszył do wyjścia. Po chwili miałem już nowych współtowarzyszy podróży: dwie miłe panie w średnim wieku i młodego, ale już tysiącletniego pana. Panie były nauczycielkami języka rosyjskiego i powracały z jakiejś interesującej narady metodycznej, pan zaś studiował na ostatnim roku politechniki.

Przez pewien czas panie zajęte były poprawianiem makijażu i fryzur, pan czytał „Prawdę”, ja zaś po raz któryś przeglądałem „Politykę”.

Powoli zapadał zmrok. W gęstniejącej mgle tonęły mijane wsie i miasteczka.

– Tu gdzieś abdykował w 1917 roku car Mikołaj II – przerwałem nagle panującą w przedziale ciszę.

– Tak, to chyba było pod Baranowiczami... – odrzekł wpatrzony wciąż w „Prawdę” student politechniki.

I znowu cisza. „Ale trafili mi się współtowarzysze podróży” – pomyślałem.

– Pan też jedzie do Mińska? – przemówiła w końcu pani z dużym kokiem.

– Tak. Będę w Mińsku na trzymiesięcznym stażu naukowym – wyjaśniłem.

– Pan jest z Polski? – włączyła się do rozmowy pani z mniejszym kokiem.

– Tak, z Polski. Pracuję na uniwersytecie w Lublinie. Od dłuższego czasu interesuję się językiem i gwarami białoruskimi. Chciałbym w przyszłości napisać na ten temat rozprawę naukową. Stąd mój wyjazd do Mińska – szczegółowo poinformowałem moich towarzyszy podróży.

– Jesteśmy Białorusinkami, mieszkamy w Mińsku – zgodnie, prawie jednocześnie powiedziały nauczycielki.

– Dlaczego więc rozmawiamy po rosyjsku, porozmawiajmy po białorusku – zaproponowałem.

– Nie znam białoruskiego – odparła krótko pani z dużym kokiem.

¹ Cytowany tekst został umieszczony w „Alma Mater Wilniensis”, t. II, Londyn 1953.

– W Mińsku prawie nikt już obecnie nie posługuje się tym wiejskim językiem – dodała pani z mniejszym kokiem.

– Mam znajomego w tym mieście, pisze do mnie listy wyłącznie w języku białoruskim – zauważyłem.

– To dziwne... Wszyscy moi znajomi mówią tylko po rosyjsku. Nie wypada przecież, żeby ludzie wykształceni mówili prostym językiem – wtrącił się do rozmowy milczący dotąd student.

– Czy pani dzieci chodziły do szkoły białoruskiej? – spytałem panią siedzącą przy oknie.

– Nie mogły chodzić do szkoły białoruskiej, bo takich szkół w Mińsku nie ma. Zresztą nigdy bym nie zapisała dziecka do szkoły białoruskiej. Miałoby potem kłopoty z dostaniem się do szkoły wyższej.

– Słyszałem, że mają powstać w Mińsku i innych miastach szkoły białoruskie – zauważyłem.

– Nie do końca jeszcze zwalczyliśmy nacjonalizm – odrzekła pani siedząca przy drzwiach.

Zdegustowany dotychczasową dyskusją, postanowiłem zmienić temat rozmowy.

– Czy ktoś z państwa był już w Polsce?

– W ubiegłym roku odwiedziłam moich kuzynów w Białymstoku – powiedziała pani z małym kokiem.

– Co pani najbardziej utkwiło w pamięci?

– Tłumy w kościołach i cerkwiach oraz brudne, zakopcone autobusy miejskie – odrzekła nauczycielka.

Rozmowa najwyraźniej się nie kleiła. Pani z dużym kokiem rozwiązywała krzyżówkę, pani z małym kokiem zajęła się pielęgnacją paznokci, młody, łysiejący pan uciął sobie drzemkę, ja chrupałem słone paluszki.

– Pan jest chyba głodny, zaraz zrobimy kolację. Proszę tylko zamówić u konduktora herbatę – powiedziała pani zajęta lakierowaniem paznokci.

Kiedy wróciłem do przedziału z czterema szklankami gorącej herbaty, na stoliku ułożone już były kanapki, obok stały dwie butelki piwa i leżała okazałych rozmiarów wędzona ryba.

Kolacja wyraźnie poprawiła nastroje moich współtowarzyszy podróży. Panie deklamowały wiersze Jesienina, pan opowiadał anegdoty, ja natomiast myślałem byłem już w stolicy Białorusi.

– Jesteśmy już w Mińsku – wyrwały mnie z zamyślenia słowa studenta.

Po chwili staliśmy na jasno oświetlonym peronie, tuż przy wejściu do tunelu dworcowego.

– Życzę panu udanego pobytu w naszym mieście. Niech pan szybko pisze tę swoją

pracę – powiedziała na pożegnanie pani z mniejszym kokiem.

– Miło mi było państwa poznać – odpowiedziałem.

Zostałem na peronie sam. W rękę ścisnąłem karteczkę z numerem telefonu znajomego docenta.

Mińsk jest miastem dużym, liczącym ponad półtora miliona mieszkańców. Co szósty bez mała obywatel dziesięciomilionowej Białorusi mieszka w stolicy. Miasto to prawie nie posiada cennych zabytków. Większość z nich uległa zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Stolica została odbudowana po wojnie w zupełnie innym stylu, nie zawsze dzisiaj wywołującym zachwyt. W pamięci przyjezdnych mogą pozostać wrażenia, jakie wywołują – monumentalny stadion sportowy, nowoczesne i funkcjonalne metro, dobrze zorganizowana komunikacja miejska, a nawet swoista architektura lat czterdziestych i pięćdziesiątych, ale nic nie jest w stanie przestonić najbardziej szokującego wrażenia: umiera język narodu, który liczebnością przewyższa Szwedów i Bułgarów, a zamieszkuje obszar pięciokrotnie większy od Holandii i dwukrotnie od Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Już drugiego dnia pobytu w Mińsku znalazłem się na Prospekcie Lenina, wielokilometrowej arterii – dumie mieszkańców stolicy. Wtapiam się w różnokolorowy tłum, wsłuchuję się w język przechodniów. Dookoła wszechwładny język rosyjski. Od czasu do czasu tylko dolatują mnie strzępy rozmów w języku francuskim i hiszpańskim. To studenci miejscowego uniwersytetu i innych szkół wyższych, którzy przybyli tu z różnych zakątków świata.

Odwiedzam także największy miński bazar. Gwaro tu i tłoczno. Przemieszanie ras i języków – istna wieża Babel. Chodzę pośród straganów i wsłuchuję się w wielojęzyczny gwar. Próbuje wyłowić z tego zgiełku chociażby jedno zdanie wypowiedziane po białorusku. W końcu osiągam cel: spotykam bezzębną staruszkę, która zachwala swoje owoce najczystszą gwarą białoruską. Z radości kupuję u babci kilogram jabłek.

– Gdzie się babcia nauczyła tak pięknie mówić po białorusku? – spytałem.

– Jak to gdzie?! W domu.

– Czy pani dzieci i wnukowie też mówią po białorusku? – nie dawałem spokoju babci.

– Skądże! Oni są wykształceni, wstydzą się mówić po prostemu. Mówią po rosyjsku, jak w mieście.

Zmęczony wielogodzinnym spacerem wsiałam do tramwaju i jadę na dworzec kolejowy, gdzie można kupić polską prasę.

W poczekalni dworcowej tłoczno. Zapach

kawy miesza się z zapachem sprzedawanej w bufecie smażonej ryby i pieczonych kurczaków. Zamawiam kawę i ze współczuciem obserwuję spoconych, taszczących ciężkie walizy ludzi. Przy sąsiednim stoliku starszy nie ogolony jegomość z sinym nosem przeklina po białorusku żywot alkoholika.

Kupuję „Trybunę Ludu” i wracam do akademika.

Pewnego sobotniego wieczoru oglądałem w teatrze współczesną sztukę białoruską. Była przeciętna, podobnie zresztą jak i gra młodych aktorów. W przerwie spektaklu podszedł do mnie niewysoki szpakowaty pan i z oburzeniem w głosie powiedział po białorusku:

– Czy pan zauważył, jak ci aktorzy kaleczą język białoruski?

– Właśnie o tym przed chwilą myślałem – odpowiedziałem również po białorusku.

W ten sposób poznałem Wadima, miłośnika współczesnej literatury białoruskiej, wspaniałego gawędziarza. Długie zimowe wieczory spędzaliśmy na rozmowach o historii i współczesnych problemach narodu białoruskiego.

Doskonale zapamiętałem naszą ostatnią rozmowę w malutkiej kafejce przy Prospekcie Lenina. Zapytałem wówczas Wadima, czy wierzy w lepsze dni dla kultury i języka białoruskiego. Zamiast krótkiej odpowiedzi usłyszałem nieco przydługą, ale interesującą monolog:

– Nie wszyscy zapewne wiedzą, że język starobiałoruski był przez dłuższy okres językiem urzędowym państwa litewskiego, że prowadzili w nim korespondencję królowie polscy i wielcy książęta litewscy.

Istotny wkład w rozwój cywilizacyjny ziem białoruskich wnieśli Polacy, ale i oni też poprzez swoją politykę polonizacyjną przyczynili się do upadku języka starobiałoruskiego. Funkcję języka urzędowego w Wielkim Księstwie Litewskim zaczynał pełnić język polski.

Próbom odrodzenia języka białoruskiego w wieku XIX zdecydowanie przeciwstawiali się Rosjanie. Dążyli oni do jak najszybszego przekształcenia ówczesnych „zachodnich Rusinów” w „prawdziwie rosyjskich” ludzi. Nabrzmiwiający problem białoruski był traktowany w Petersburgu jako kolejna „polska intryga”. W owych mrocznych czasach z pomocą odradzającemu się białoruskiemu językowi literackiemu przychodziła inteligencja polska. Pojawili się wówczas liczni poeci i pisarze polskiego pochodzenia, którzy zaczęli wydawać swoje utwory w języku białoruskim. Wkrótce o prawo „zwania się ludźmi” upomnieli się dwaj wielcy literatury białoruskiej: J. Kupała i J. Kołas.

Duże nadzieje wiąźali Białorusini z nową porewolucyjną rzeczywistością. Ustrój spr-

wiedliwości społecznej miał zapewnić im własną państwowość oraz podstawowe prawa społeczne i polityczne wraz z prawem do rozwoju oświaty w ojczystym języku. Niestety, odrodzona kultura białoruska została wkrótce brutalnie wciśnięta w sztywny gorset stalinowski i marzenia o jej wolnym, nieskrępowanym rozwoju przysły jak mydlana bańka. Wyniszczenie nielicznej jeszcze inteligencji białoruskiej w latach terroru stalinowskiego spowodowało zahamowanie rozwoju kultury białoruskiej, było też ciężkim ciosem zadany raczkującemu jeszcze językowi literackiemu.

Brak ciągłości inteligencji białoruskiej (duże straty w 1863 i 1917 roku, a także w latach 30. i 50.) jest wielkim nieszczęściem narodu białoruskiego. Rzutuje to także na stan współczesnej kultury i języka białoruskiego.

Niepowetowane straty wyrządziła na Białorusi wadliwa polityka narodowościowa państwa radzieckiego. Pod sztandarem internacjonalizacji i integracji narodów doprowadzono do duchowej kastracji narodu białoruskiego. Naród ten, szczególnie jego inteligencja, chory jest na „brak własnego języka” i „obojętność narodową”. Jedyne niewielka garstka inteligencji, a zwłaszcza twórczej, posługuje się w dalszym ciągu językiem swoich przodków. Pozostała część inteligencji okazuje wobec niego zupełną obojętność.

Niepokojące zjawiska zachodzą również na wsi białoruskiej, zwłaszcza we wschodniej części republiki. Ludność wiejska coraz częściej wyzywa się gwary białoruskiej i zaczyna na co dzień używać języka rosyjskiego. Po białorusku mówi jeszcze pokolenie najstarsze, młodsze natomiast często odnosi się do języka swoich rodziców i dziadków z lekceważeniem, a nawet pogardą.

Co się stanie, jeśli przestanie istnieć tradycyjna wieś białoruska, z jej gwarą, kulturą i tradycjami...

– Istnieje pilna konieczność organizacji sieci szkół białoruskich – wtrąciłem nieśmiało.

– Tak, ale musi nastąpić przełom w świadomości narodu. Musi się on odnieść z szacunkiem do własnej przeszłości, do kultury i języka swoich przodków. Takie postawy kształtować powinny właśnie szkoły białoruskie. Absolwenci tych szkół staliby się załącznikiem nowej, zupełnie innej jakościowo inteligencji białoruskiej. Ale czy nie jest już za późno na takie działanie? Czy zostaną stworzone odpowiednie ku temu warunki? Znaki zapytania można mnożyć...

– W innej rozmowie stwierdziłeś, że większą rolę w rozwoju kultury i języka białoruskiego powinny odegrać w przyszłości ośrodki pozastoleczne.

– Mińsk nigdy nie miał charakteru jednoznacznie białoruskiego, np. w 1900 roku mieszało w nim tylko 10% Białorusinów. W latach trzydziestych stanowili oni około 40% mieszkańców stolicy Białoruskiej SRR, dorównywali im liczebnością Żydzi, a Rosjan było około 10% – wyjaśnił Wadim.

– Jaką rolę odegrała cerkiew prawosławna w rozwoju kultury białoruskiej? – zapytałem pod koniec naszej rozmowy.

– Cerkiew sprzyjała procesom rusyfikacyjnym, podobnie zresztą jak alfabet cyrylicy. Należałoby inaczej w tym kontekście spojrzeć na rolę, jaką spełniał Kościół greckokatolicki na Białorusi i Ukrainie. Ale to zupełnie inny problem...

– Czy wierzysz w odrodzenie kultury białoruskiej i białoruskiego języka literackiego? – przypomniałem postawione już na początku rozmowy pytanie.

– Tak, ale pod warunkiem, że pozbędziemy się na zawsze wszystkiego tego, co do tej pory tak skutecznie krępowało rozwój naszej kultury i języka. Napawa mnie optymizmem pojawienie się kilku nieformalnych grup twórczych. Przydałoby się m.in. prężnie działające Towarzystwo Języka Białoruskiego. Domaga się radykalnych zmian polityka wydawnicza... Byłyby to jeszcze małe kroczki, ale we właściwym kierunku – zakończył rozmowę Wadim.

Przedemną stos kartek z uwagami o języku białoruskim, zanotowanymi w czasie mojego trzymiesięcznego pobytu w Mińsku. Wyciągam niektóre z nich:

Profesor uniwersytetu: – Los kultury białoruskiej uzależniam od losu pierestrojki. Nie sądzę jednak, żeby zaszyły jakieś poważniejsze zmiany jeszcze za mojego życia. Z przeszłością nie zrywa się z dnia na dzień.

Student: – Język białoruski utrudnia komunikację, jest więc nieprzydatny.

Student: – Nie mówię po białorusku, bo nie chcę uchodzić za prostaka.

Studentka: – Przykro mi, gdy we Lwowie słyszę język ukraiński, w Wilnie litewski, a w Mińsku tylko rosyjski.

Portierka w domu studenckim: – Nie rozumiem, dlaczego niedawno jeszcze mieszkańcy wsi z taką pogardą odnoszą się do języka białoruskiego.

Milicjant: – Jestem milicjantem, nie wypada mi mówić po białorusku.

Ekspedientka: – Ludzie pozamykali się w swoich pałacykach i nic ich nie obchodzi.

Bibliotekarka: – Czy literatura białoruska musi się kojarzyć tylko z problematyką wiejską?

Nauczycielka: – Cieszę mnie, gdy zauważę, że młodzież interesuje się historią swojego narodu, że pragnie rozmawiać po białorusku.

Emerytka: – Język jest kluczem do skarbcza kultury.

Robotnik: – Kto uważa, że język białoruski jest brzydki, ten jest nieukiem.

Nauczycielka: – Ci, co walczą o język białoruski, są naiwni i ślepi.

Konduktorka: – Mam dwa języki ojczyste, rosyjski i białoruski.

Docent: – Współczesny język białoruski coraz bardziej oddala się od swoich źródeł.

Inżynier: – Teraz wszystko zależy od naszej inteligencji.

Doktorant: – Nasz język zniszczyła szkoła.

Student: – Jestem Rosjaninem i dziwię się, z jaką łatwością Białorusini wyzywiają się ojczystego języka.

Student: – Jeśli Białorusin chce uchodzić za człowieka inteligentnego, powinien znać język białoruski.

Kelnerka: – Obraziłabym się, gdyby ktoś mi wyznał miłość po białorusku.

Nauczycielka: – Śmiesz mnie język białoruski.

Emeryt: – Należy już od dziecka wychowywać w duchu białoruskim.

Portier: – Nawet studenci filologii białoruskiej na co dzień posługują się językiem rosyjskim.

Docent: – Chciałbym jeszcze kiedyś wykladać w języku białoruskim.

Upalne popołudnie lipcowe 1989 roku. Dziennik telewizyjny podał właśnie informację, że zakończyły się w ... Wilnie obrady Białoruskiego Frontu Patriotycznego. W kilka dni potem dowiadujemy się, że M. Gorbaczow ostro opomniał władze partyjne i państwowe Białorusi za zbyt wolne w tej republice tempo pierestrojki.

MICHAŁ SAJEWICZ

Dr Michał Sajewicz jest adiunktem w Instytucie Filologii Rosyjskiej i Słowiańskiej UMCS w Lublinie. Autor prac m.in. z zakresu kontaktów językowych polsko-wschodniosłowiańskich oraz dialektologii białoruskiej i ukraińskiej. (Red.)

Gdy pociąg z Chelma dojeżdża do Rejowca Fabrycznego, najpierw po prawej stronie torów wylaniają się bloki i domki jednorodzinne osiedla „Wschód”, jakby porzucone w szczerym polu, bez łączności z resztą miasteczka. Dopiero dalej, za nowo budowanym kościołem o konstrukcji dachu przypominającej skoczną narciarską, wśród drzewek owocowych okalających przysadziste, parterowe domki o płaskich dachach, pociąg wtacza się na stację kolejową, aby wkrótce, w drodze do Lublina, przedefiniować obok najważniejszego obiektu – cementowni. Oglądając ten pejzaż trudno w pierwszym momencie uświadomić sobie, że jesteśmy na terenie zaliczonym do 27 obszarów zagrożenia ekologicznego kraju, w których koncentracja zanieczyszczeń spowodowała załamanie równowagi przyrodniczej. Nastąpiło ograniczenie odporności przyrody, przyhamowanie procesów samooczyszczania, a także zagrożenie dla zdrowia ludności.

FABRYKA

Dzisiaj trudno odtworzyć wygląd tego terenu w roku 1913, gdy 2 stycznia przed lubelskim notariuszem Karolem Kałużyńskim stanął się Mieczysław Morawski, właściciel tutejszych dóbr. Wiadomo, że wówczas już od ćwierć wieku przetrwała je Kolej Nadwiślańska. Tory, stacja, dom kolejarski. Nad 150 morgami ziemi w dobrach Stajne Stacja i Stajne Polesie, mającymi według oświadczenia Morawskiego już wkrótce przejść na własność Akcyjnego Towarzystwa Lubelskiej Fabryki Portland Cementu „Firley”, nie dominowały jeszcze kominy fabryki cementu. Ona miała dopiero powstać, dając początek dzisiejszemu Rejowcowi Fabrycznemu.

Wojna światowa opóźniła realizację zamierzeń, przesuwając je na lata dwudzieste. Dopiero w roku 1924 cementownia wyposażona, jak na ówczesne czasy, w nowoczesne maszyny i urządzenia duńskiej firmy F. L. Smidth, rozpoczęła produkcję. Około 250 ton klinkieru – półproduktu cementu – na dobę.

Wcześniej, bo w roku 1921 wydzielono kolonię *Morawinek*, na której powstała *osada fabryczna Morawin*. Właściciel nie miał prawa urządzania w niej *restauracji, hotelów, zajazdów, karczm, cukierni i w ogóle podobnych zakładów dochodowych, oprócz sklepu oraz innych budowli dla potrzeb robotników i oficjalistów fabrycznych*. W kwietniu 1924 roku „na Morawinku” oddano do użytku trzy baraki, w których zamieszkało 18 rodzin, a w dwa lata później – trzy bloki mieszkalne dla 57 rodzin i szkołę powszechną.

Załoga fabryki nie miała zagwarantowanej pracy przez cały rok, bowiem na okres jednego kwartału wyłączano fabrykę z produkcji. Wyjątek stanowili pracownicy umysłowi i służb remontowych. Na początek lat trzydziestych postoje – ze względu na kryzys gospodarczy – były znacznie dłuższe. Dopiero w roku 1934 przywrócono ciągłą pracę.

W dwa lata później w jej poszukiwaniu przyszedł do fabryki Jan Kociuba, dzisiaj emeryt. Drogę do mieszkania w fabrycznym budynku na Morawinku miał niełatwą.

– *O pracę było trudno. Przez tydzień wstawiałem o czwartej, aby przed szóstą stać pod bramą. Czekano nas dwudziestu, trzydziestu, wszystko chłopcy po wojsku. Każdy liczył, że usłyszy: – Chodź ty! Gdy mnie przyjęli, najpierw musiałem pracować tydzień na próbę. Kto się sprawdził, miał szansę na stałą pracę.*

Przez dwa lata zarabiał sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, później sto pięćdziesiąt złotych.

– *Dobrze płacili. Za pensję mogłem kupić rower albo półtora metra cukru. Był popyt na cement. Robiliśmy tak zwany WW, wysoko wartościowy, na fortyfikacje, mosty.*

Nie zawsze i nie wszyscy byli zadowoleni z zarobków. Już w 1926 roku, od 1 września do 16 października, trwał strajk kierowany przez Związek Zawodowy Robotników Przemysłu Chemicznego. Uzyskano podwyżkę płac z 2,40 do 3,20 złotego za osiem godzin pracy oraz dodatek mieszkaniowy w wysokości 10 zł miesięcznie dla pracowników nie mających własnego mieszkania. W trzydziestym ósmym kolejny strajk zatrzymał fabrykę na dobę. Jednak cementownia wielu dawała pracę, niektórym mieszkanie. Ci, którzy korzystali z mieszkań służbowych, nie płacili czynszu, mieli zapewnione bezpłatne oświetlenie.

Wojna dla Kociuby zmieniała niewiele. Pracował nadal, chociaż w sierpniu 1940 roku cementownia zaczęła się nazywać *Ostdentische Chemische Werke Gesellschaft mit beschränkter Haftung*. Jednak w latach 1942 – 1943 trzeba było szukać innej pracy, gdyż zakład zatrzymano.

24 lipca 1944 roku starszy lejtnant Białoszyn ze swoim oddziałem stał się żywym dowodem końca okupacji. Komitet fabryczny, w którym Kociuba znalazł się wraz z czternastoma innymi osobami, podjął próbę odzyskania zrabowanej części masy i skórzanych pasów transmisyjnych, jako że bez nich trudno byłoby uruchomić fabrykę. Ruszyła dopiero w roku 1945. Wyprodukowano wówczas ponad sześć tysięcy ton cementu, by w pięć lat później osiągnąć sto jedenaście. Upaństwowiona już wówczas i nazywana „Rejowiec I” cementownia, nie zaspokajała jednak potrzeb. Kraj się odbudowywał, potrzebował cementu. Zakład rozwijał się więc, obrastając w „Rejowiec II”, „Rejowiec III”, „Rejowiec IV” – co potem nazwano cementownią „Pokój”.

Już z „Pokoju” przeszedł Jan Kociuba, po 40 latach pracy, na emeryturę, podobnie jak Wacław Ciesielko, Stefania Doroszowa, Jan Dolka czy Maria Drawska. W Rejowcu Fabrycznym emerytów coraz więcej.

MIASTO

W sierpniu 1957 roku rozpoczęto starania, aby osiedlu robotniczemu *Morawinek*, w którym wówczas mieszkało 3286 osób, nadać prawa miejskie i nazwać go miastem *Rejowiec Fabryczny*. Stało się tak z początkiem 1962 roku.

Nastąpił szybki rozwój miejscowości – pisze w turystycznym przewodniku „Rejowiec i okolice” Konstanty Prożogo. – *W roku 1963 oddany został do użytku nowoczesny budynek szkoły podstawowej, a w 1968 budynek urzędu miejskiego. W roku 1971 uruchomiono przejście tunelowe pod torami, łączące dwie części miasta. Cementownia „Pokój” wytwarza ponad 1 mln ton cementu.*

– *Rejowiec rangę miasta ma* – mówi Józefa Marczuk, przewodnicząca miejscowego PRON i działaczka kilku innych organizacji – *ale czy to jest miasto? W Rejowcu często mówimy, że to jest duża wieś, chociaż w województwie jeszcze kilka lat temu mówilo się z dumą „czwarte miasto”...*

– *Powiadają* – zastanawia się naczelnik Stanisław Bodys – *że jeśli jest gospoda, kościół, szkoła, cmentarz, posterunek i bloki, to można to nazwać miastem. To wszystko mamy, a więc chyba jest Rejowiec Fabryczny miastem?!*

Zliczamy miejsca pracy. Cementownia około 800, zakłady z nią współpracujące coś z 500, przedsiębiorstwo komunalne 130, trochę miejsc pracy oferują małe zakłady na terenie gminy. Jak by nie liczyć, wszystko nadal kręci się wokół cementowni. Z niej żyje większość rodzin w pięcioletnim dziś Rejowcu i wielu mieszkańców okolicznych wsi. Ci drudzy może nie tyle z niej żyją, ile dorabiają do dochodów z karłowatych gospodarstw.

– *Przydałoby się więcej miejsc pracy dla kobiet – mówi Stanisław Bodys. – To jest jeden z problemów do rozwiązania.*

Jeśli ktoś mieszka w mieście, oczekuje miejskich warunków życia. Z tym jest w Rejowcu Fabrycznym gorzej. Sieć wodociągowa ciągle dla wielu niedostępna, cementownia rozbudowała z myślą o mieście ciepłownię, ale brak jest połączenia z miastem, oczyszczalnia ścieków buduje się, gaz – może będzie. Sieć sklepów – uboga. Domu kultury nie ma, chociaż z myślą o nim remontowany jest dworek.

Jednak od dwóch lat miasto znowu zaczęło się rozwijać. Wcześniej patrząc na statystykę ludności, dawała się zauważyć stagnacja, a nawet regres. Perspektywy rozwojowe Rejowca określano na 10 tysięcy mieszkańców. Warunkiem są mieszkania. Trochę ich wybudowano w osiedlu „Wschód”, następne mają powstać w ramach niedawno utworzonej spółdzielni mieszkaniowej.

– *Absolwenci wyższych uczelni chcą tu wracać – stwierdza nauczelnik. – To jest optymistyczne.*

SZARY KRAJOBRAZ

Podróżnych jadących pociągami na trasie Chełm–Lublin zawsze przytłaczał widok szarych zamiast zielonych liści drzew, oblepionych cementowym pyłem, który szczelnie przykrywa okolice zakładu. Dla mieszkańców Rejowca Fabrycznego pył ten od dawna stanowi stały element krajobrazu.

Wielkość zapylenia to dla uważnych mieszkańców wyznacznik jakości urządzeń w cementowni. A z tym do niedawna było z roku na rok coraz gorzej.

Przeglądam „Ocenę stanu środowiska za 1988 r.”, opracowaną przez Wydział Ochrony Środowiska Gospodarki Wodnej i Geologii Urzędu Wojewódzkiego w Chełmie. Według zawartych w niej danych emisja pyłów z terenu województwa chełmskiego stanowi 1,5 proc. emisji krajowej, gazów – 0,9 proc. „Potentatami” są cementownie chełmskie i rejowiecka – 84 proc. emisji pyłów.

„W stosunku do roku 1987 zmniejszyła się emisja pyłu z cementowni „Pokój”, zmalała w wyniku realizacji programu kompleksowego odpylania, w ramach którego zainstalowano w 1988 roku 3 elektrofiltry na młynach cementu, 5 filtrów tkaninowych na pakowaczkach i 2 na silosach cementu oraz 1 baterię cyklonów w kotłowni zakładowej. Emisja pyłu zmalała o około 2500 ton. Jednocześnie jednak wzrosła produkcja kilnkieru – wpłynęło to na wzrost emisji pyłów z pozostałych urządzeń oraz nieznaczny wzrost emisji siarki i tlenków azotu.”

Język urzędowego dokumentu odnotowującego pewną poprawę. Stan rzeczy lepiej przecież oddaje rozmowa z rejowieckimi gospodyniami, pracującymi w ogródku działkowym.

– *Kiedyś nie dało się warzyw zjeść, takie były oblepione cementem. Teraz jest lepiej, ale w domu i tak trzeba codziennie ścierać pył z mebli...*

Wokół rejowieckiej cementowni Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska w Chełmie prowadził w roku 1988 pomiary opadu pyłu. Przekroczenia dopuszczalnej wartości rocznego opadu wystąpiły na powierzchni około 6 kilometrów kwadratowych.

Najwyższa wartość wynosząca 359 ton na kilometr kwadratowy rocznie wystąpiła w odległości 1 km od cementowni. [...] Przekroczenia dopuszczalnego opadu objęły centralną część obszaru zabudowy mieszkalnej miasta.

Lekarz Ryszard Moniakowski, kierownik rejowieckiej przychodni, nie zauważa bezpośredniego związku pomiędzy chorobami dróg oddechowych, a zapyleniem.

– *Nie było takich badań, więc jednoznacznie stwierdzić tego nie mogę!*



Wydobywanie surowca do produkcji cementu w Rejowcu. Fotografia z lat międzywojennych

Jednak zdaniem autorów *Stanu zdrowotności mieszkańców makroregionu środkowo-wschodniego ze szczególnym uwzględnieniem obszarów zagrożenia ekologicznego*, w województwie chełmskim prawie 54 proc. mieszkańców żyje w chełmsko-rejowieckim obszarze zagrożenia ekologicznego.

Powodowane głównie przez przemysł cementowy – piszą – zanieczyszczenie atmosfery pyłami klinkieru i cementu oraz gazami ujemnie wpływa na stan zdrowotny załogi oraz okolicznej ludności. Pyły te działają drażniąco na błony śluzowe nosa i gardła oraz górnych dróg oddechowych.

[...] Obserwuje się szereg niekorzystnych objawów, jak wzrost zachorowań nowotworowych, powiększa się proces nadumieralności mężczyzn, a u niemowląt dość częste są schorzenia górnych dróg oddechowych i występowanie wad rozwojowych.

OSACZANIE

Stefan Malicki, dyrektor, nie jest pewien, czy cementownia nie zostanie zamknięta. Tak przynajmniej sugerował niedawno minister przemysłu, argumentując to brakiem węgla, którego rocznie spala się tu około 190 tysięcy ton.

– *Była w tej sprawie telewizja – mówi Józefa Marczuk. – Podniósł się straszny szum, ludzie chcieli się przeciwko temu organizować. Przecież to nasza żywicielka...*

W Rejowcu doszło do znamiennej sytuacji. Wobec zagrożenia utratą pracy rejoywczanie skonsolidowali się w celu obrony cementowni, jakby „zapominając” o jej trujących wyziewach. Nie akceptują oczywiście zatruwania, ale godzą się z nim.

Spółeczny protest podniósł się natomiast przeciwko przerabianiu w Rejowcu odpadów aluminiowych, zawierających w sobie – jak mówią – pół tablicy pierwiastków Mendelejewa, szczególnie tych szkodliwych dla zdrowia. Firma, która chciała je tu przerabiać, wycofała się, nie mogąc spełnić postawionych warunków sanitarnych. Trwa też protest przeciwko budowie niedaleko od miasta wysypiska śmieci dla Chełma, Rejowca i kilku okolicznych gmin. Ludzie poczuli się osaczeni przez różnego rodzaju substancje toksyczne.

– *Cementownia? No trudno. Ale nie chcemy wysypiska u bram miasta. Nikt w Rejowcu nie wierzy w zapewnienia administracji i prawidłową jego eksploatację – apelował do przedstawicieli administracji państwowej radny WRN, Marek Świderczuk.*

Apela nie zmieniły wojewódzkich decyzji.

Pomimo negatywnej opinii naczelnika miasta i gminy Rejowiec Fabryczny i protestów ludności administracja wojewódzka prowadzi prace studialne i projektowe stosując „taktkę faktów dokonanych” – pisał do ministra Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa przewodniczący rejoywieckiej Rady Narodowej, Tadeusz Lada. – Wysypisko o przewidywanym wraz ze strefą ochronną obszarze 200 ha znajdowałoby się w odległości tylko 500 metrów od granicy miasta. [...] Już obecnie zanieczyszczenia spowodowały, że Rejowiec Fabryczny i gmina znajdują się w jednej z 27 najbardziej zagrożonych ekologicznie stref w Polsce.

Ponieważ minister przemysłu utrzymał decyzję w mocy, na rozpatrzenie czeka odwołanie złożone przez Miejsko-Gminną Radę Narodową w Naczelny Sądzie Administracyjnym.

– *Czujemy się osaczeni – mówią rejoywczanie. – Wprawdzie wiemy, że cementownia nas podtruwa, ale daje i pracę. Czy mamy otrzymać pod bokiem miasta wysypisko tylko dlatego, że i tak tu nam gorzej niż innym?*

– *Chociaż cementownia to trucicielka, to jednak jest jak matka – refleksyjnie stwierdza Stanisław Bodys. – Tak jak dziecko kocha swoją matkę, nawet złą, tak i nasze społeczeństwo wie, że ona truje, to jednak nie wyobraża sobie, aby jej nie było...*



WAWRZYNIEC BEREZECKI (1896–1989)

Gdy kilka lat temu trafiłem do mieszkającego wówczas w Mołodytynie Wawrzyńca Berezckiego, poznałem człowieka w podeszłym wieku, lecz mimo to tryskającego humorem i pomysłami, polemizującego ze sposobami redagowania współczesnej prasy, świetnego gawędziarza.

Wawrzyniec Berezeki urodził się w Chełmie w roku 1896. Jego drogi życiowe prowadziły przez Mińsk, Moskwę, Batumi, Warszawę, Poznań, Kowel, Równe, by w końcu powrócić do Chełma. Zróżnicowana też była jego praca zawodowa. Był sanitariuszem, pracował w fabryce amunicji, zakładach szkła aptecznego, biurze reklam, uprawiał rolę. Jednak najżywiej powracał pamięcią do pracy redaktorskiej. Związany był z „Echem Rówieńskim”, „Zwierciadłem”, „Ziemią Chełmską”, „Kameną”, „Kroniką Nadbużańską”. Po wojnie, mimo propozycji nie wrócił do pracy dziennikarskiej. Drugą jego pasją stała literatura. Pisał po polsku i rosyjsku: wiersze, satyry, opowiadania, felietony. Niektóre utwory opublikował, wiele pozostało w rękopisach.

W roku 1983 Wojewódzki Dom Kultury wydał L. J. Okonia „Portret Wawrzyńca Berezckiego”.

Wawrzyniec Berezeki zmarł 30 marca 1989 roku w domu rencisty w Różance. Pochowany został na cmentarzu komunalnym w Chełmie.

(J.G.)

„Moda na Wilno” przeplata się z „modą na Lwów”. Cóż w tym dziwnego, kiedy przez długie lata zajmowanie się polskimi akcentami tych miast nie było możliwe, stanowiło publicystyczne tabu. Jeszcze dziś kilkanaście tysięcy mieszkańców Lwowa, będąc obywatelami innego państwa, oficjalnie ma wpisaną w swoje dokumenty narodowość polską. Ale znacznie większa grupa przyznaje się do swoich związków z polskością, nie mając ku temu formalnych powodów.

*Tylko we Lwowie – najpiękniejsze kobiety
i najlepsze śliwki na korpocie –*

powtarzali za Kademem-Bandrowskim autorzy radiowej „Wesołej Lwowskiej Fali”. Czy rzeczywiście tak było? – trudno jednoznacznie dziś orzec. Pamięć ludzka zawodzi, a przedwojenne pokolenia coraz szybciej odchodzą z tego świata. Natomiast wszyscy dawni lwowiaci zgodnie wspominają, że Lwów był miastem wesołym, o niepowtarzalnym gdzie indziej klimacie i wyjątkowym nastroju ulicy. Ten stan rzeczy znalazł swoje odzwierciedlenie w bulwarowych piosenkach cyganerii, „oczajduszów i fażików przedmieść”. Najczęściej były to utwory anonimowe, które w mniej lub bardziej zachowanych „wersjach autorskich” śpiewano w domach, knajpach i na majówkach podmiejskich.

W domach, przy różnych okazjach, najczęściej śpiewano pieśni patriotyczne, w których pobrzmiwały echa napoleońskich nadziei, a później powstania listopadowego. Lwów, będący pod zaborem austriackim, poprzez spiski i konspiracje, ale także patriotyczną pieśnią i poezją wyrażał wówczas swój bunt. Powstały wtedy anonimowe wiersze, niekiedy zbieżne z późniejszymi piosenkami lwowskich przedmieść. Takim przykładem jest ballada poświęcona postaci i śmierci Eugeniusza Ulatowskiego, jednego z polskich męczenników, którym „tajnie we Lwowie odbierają życie”. Powstały także utwory pełne tęsknoty za wolnością, które utrzymywane są w podobnej poetyce.

Bardzo dużo pieśni patriotycznych pojawiło się w okresie istnienia Legionów i późniejszych walk w listopadzie 1918 roku o Lwów między Polakami i Ukraińcami. Niektóre z nich są dziś swoistym dokumentem tamtej epoki. Bardzo popularny przez dziesiątki lat „Marsz lwowskich dzieci” doczekał się ponad stu zwrotek, często przerabianych i dodawanych przez kolejnych wykonawców.

Przeciwwagą dla spraw ważnych i poważnych jest zawsze zabawa. Lwowianie lubili śpiewać i bawić się. Najczęściej w knajpach „z kubitą” przy wódce i muzyce albo też w licznych wówczas restauracyjnych ogródkach. Lwowskie

przedmieścia (zawsze barwne i romantyczne) przejawiały nieodpartą skłonność do zabaw („bo naród lubi hecy”), niechęć do stałej pracy, awanturniczość i swoiste poczucie batiarskiego humoru.

Piosenki ludowe, które nazywano batiarskimi, bywały jurne jak życie ich bohaterów, a także dosadne, jędrne i rubaszne, niekiedy sprośne, albo też wręcz obsceniczne. Jednak były to najpopularniejsze piosenki lwowskiej ulicy, których ani autora, ani daty powstania nie da się dokładnie ustalić. Sądzić wszak można, że większość z nich ułożona została przed pierwszą wojną światową. Śpiewał je cały Lwów, bogaty i biedny, stary i młody.

Szukając rodowodu tych anonimowych piosenek, nie można pominąć wpływu pieśni ludowych z okolicznych wsi z całego Podola i Podkarpacia. Przynosili je napływający do miasta chłopcy. Wraz z ludową melodią przenikał tu ich język i zwyczaje, będące często mieszaniną kultur. Fakt ten miał niewątpliwie wpływ także na rozśpiewanie miasta i wrażliwość muzyczną jego mieszkańców.

Ale zdarzały się też relacje odwrotne. Muzyczne motywy kabaretów, które nucił ówczesny Lwów, były przerabiane na „ludową nutę” z przedmieścia, a swoje treści podkładał pod nie zadziorny lumpenproletariat.

W latach trzydziestych za sprawą radia, a dokładnie – „Wesołej Lwowskiej Fali” i jej głównych postaci: Szczepcia (Kazimierza Wajdy) i Tońcia (Henryka Vogelfangera), lwowska piosenka i batiarski humor doczekały się nobilitacji i stały się legendą. Autorzy audycji bezpośrednio wykorzystywali miejski folklor w dialogach oraz tekstach cioci Bandziuchowej i radcy Strońcia. Popularność tego programu była ogromna w całym kraju. Przekonano się, że folklor można spożytkować dla dobra działalności społecznej, patriotycznej i wychowawczej.

Gdyby nie kilka książek i filmów (zwłaszcza z udziałem Szczepcia i Tońcia), niewiele dotrwałoby do naszych dni. Utwory te są przecież fragmentem świata, który bezpowrotnie przeminął. Jednak chęć ocalenia spuścizny i przybliżenia jej nowym pokoleniom przyniosła efekty. Najpierw ukazała się antologia *Piosenki lwowskiej ulicy*, wydana przez Ośrodek Teatru Otwartego Kalambur we Wrocławiu (1987), a opracowana przez Janusza Wasylkowskiego. Jej kawiarniana promocja przybrała formę pełnospektaklowego programu scenicznego, który za tytułowano „A kto z nami trzyma sztary”. Scenariusz i reżyseria całości jest pomysłu Haliny i Wojciecha Dzieduszyckich. Przedsięwzięcie

okazało się sukcesem artystycznym i znakomicie utrafiło w moment historycznych przeobrażeń dokonujących się w Polsce. Spektakl spotkał się z ogromnym zainteresowaniem ludzi tutejszych, jak i Polonii. W ciągu kilku miesięcy piosenki prezentowane były w kilku większych miastach w kraju, a w październiku '88 słuchał ich i oklaskiwał Lwów. Jesienią tego roku aktorzy z Kalamburu jadą z tym programem m.in. do Francji i Szwajcarii, gdzie z niecierpliwością i nadzieją na wskrzeszenie ducha tamtych lat czekają byli lwowiaci.

Zanim nasi czytelnicy doczekają się zapowiadanej płyty oraz kaset z tego przedstawienia, proponujemy im lekturę wybranych piosenek ze wspomnianej już antologii.

(Niektóre myśli i sformułowania użyte w tym artykule pochodzą ze wstępu Janusza Wasylkowskiego.)

H.R.

Słowa: Emanuel Schlechter

Muzyka: Henryk Wars

Lwów jest jeden na świecie

(Piosenka Szczepcia i Tońcia z filmu „Włóczęgi” – znana także pod tytułem „Tylko we Lwowie”)

Niech inni sy jadą, dzie mogą, dzie chcą,
Do Wídnia, Paryża, Londynu,
A ja si zy Lwowa ni ruszym za próg!
Ta mamciu, ta skarż mnie Bóg!

Bo gdzie jeszcze ludziom tak dobrze, jak tu?

Tylko we Lwowie!

Gdzie pieśnią cię budzą i tulą do snu?

Tylko we Lwowie!

Czy bogacz, czy dziad, jest tam za „pan brat”

I każdy ma uśmiech na twarzy!...

A panny to ma, słodziutkie, ten gród,

Jak sok, czekolada i miód!

Więc gdybym miał kiedyś urodzić się znów –

Tylko we Lwowie!

Bo ni ma gadania i co chcesz, to mów –

Ni ma – jak Lwów!

Możliwe, że więcej ładniejszych jest miast,

Lecz Lwów jest jedyny na świecie!

I z niego wyjechać, ta gdzież ja bym mógł!

Ta mamciu, ta skarż mnie Bóg!

Bo gdzie jeszcze ludziom... (itd.)

Rozmaitości kresowe

Ballada o Mańci Szponderek

Do parku ja sy pohulał,
Taj siadać mi si zachciał,
Wtem patrze a na ławeczce
Tam siedzi sy kławe ciatu...

Ja do niej oko zrobitem
Ona si do mni łachujji.
Ja sy koło nij siądnałem
I tak ja do nij bajtlujji:

– Ja jestem Jóźku Pomidor
Nakrencać lubie frajerek!
A ona mi odpowiada:
– Ta ja je Mańcia Szponderek!

I tak my sy bałakali,
Aż si na dworzy ściemniłu.
Ona mi pada w objęcia,
A ja ji całuji w ryto!

W prasowym lusterku

Zawsze z chęcią sięgam po egzemplarze prasy przedwojennej. Nasączone sensacją i folklorem towarzyskim, mieszające swobodnie na swych łamach postaci zbrodniarzy z sylwetkami polityków, dają coś w rodzaju plastycznego obrazu życia w ówczesnej Polsce. Z pewnością, rzeczywistość przelamuje się tam we własną karykaturę, ale cóż – czy może mi to przeszkodzić w smakowaniu materii świata już dawno minionego?!

Nie odbiegała od ogólnego schematu prasa lokalna, wydawana przed II wojną w Chełmie, liczącym wtedy 30 tys. mieszkańców. Dominowały w niej wiadomości sensacyjne przeplatane „rewelacją” towarzyską, rzadziej – sprawami politycznymi, gospodarczymi lub narodowymi. Oto przykład tej ostatniej kategorii:

Kto chce, aby bilans nasz był aktywny, niechaj kupuje wyroby POLSKIE, za wszelką cenę unikając nabywania wyrobów zagranicznych i tych krajowych, które kryjąc się pod nazwą krajowych finansowane są przez kapitał zagraniczny.

W Chełmie zamieszkałym wówczas przez Polaków, Żydów i Ukraińców brzmiało to symptomatycznie. O składzie narodowościowym świadczyły niektóre anonsy:

Do Pana Meneszy Rozenbauma w Chełmie, ul. Lubelska 23. – Panię Rozenbaum, proszę uprzejmie zwrócić mi weksle na sumę zł 75, zapłacone 4 lata temu. Jeśli w ciągu 5 dni nie zwróci mi pan tych weksli, wówczas sprawę skieruję na drogę sądową. – Z poważaniem W. Ledersztajn.

I gdy dwaj Żydzi publicznie rozstrzygali problemy finansowe, niejaki Wasyl Ostapiuk, Ukraińiec, usiłował pobić uczciwego polskiego –

co skrupulatnie podkreślono – robotnika, Jana Szczapkę. Ale nie narodowość w efekcie świadczyła o uczciwości, gdyż Jan Zduńczuk z Krasnego, gm. Pawłów, pociągnięty został do odpowiedzialności za jazdę pociągiem bez biletu. Znacznie więcej pracy włożono w ustalenie złodzieja pięknie i dokładnie oskubanego koguta, przygotowanego na święta. Podejrzanie padło na sąsiada Goldsztajna Suchera. Rzeczywiście znaleziono u niego biednego ptaka, ale pociętego w drobne kawałki, a Goldsztajn oświadczył, że to kura. Wezwano wobec tego fachowca – rytualnego rzeźnika, który po odpowiednim zbadaniu wydał bezapelacyjne orzeczenie, że poćwiartowana kura to ...kogut.

Natomiast prawdopodobnie bez żadnego powodu zatrzymano konia na posterunku w Rejowcu. Włach, gniady, kuty na 4 nogi, czarna grzywa, dobry wygląd, wzrost 150 cm.

I gdy do Chełma mieli przyjechać słynni artyści warszawskich teatrów – „Cyganerii” i „Rex” w osobach Toli Mankiewiczówny, znanej z audycji radiowych, bohaterki filmów „10% dla mnie” i „Parada rezerwistów”, oraz „Lopka” Kazimierza Krukowskiego, w tym samym czasie:

hoża służąca z Ochożej 22-letnia Józefa Baranowska oskarżyła w Komisariacie P. P. w Chełmie swego dawnego narzeczonego Władysława Bartoszuca, że napadł ją i brutalnie pobił na targu, stłukł jej przy tym pół kopy jaj, tak że zrobiła się z nich jajecznicza. Powodem napaści według zeznania poturbowanej ma być to, że podała go do sądu, bo miała z nim dziecko; dlatego też gdzie ją tylko spotka to zaraz bije.

Skrupulatnie odnotowywano wszelkie wyjazdy i przyjazdy:

Naczelnik więzienia w Chełmie p. Paweł Bida opuszcza nasze miasto i wyjeżdża do Sieradza na stanowisko zastępcy naczelnika więzienia. Jest to niewątpliwie duży awans, ponieważ sieradzkie więzienie jest jednym z największych więzień w kraju (I klasy, w Chełmie III klasy). P. nacz. Bida żegnany jest ze szczerym żalem przez wszystkich, którzy się z nim stykali na niwie pracy społecznej...

Ówczesna prasa chełmska często podejmowała tematy estetyki i sanitarnego stanu miasta.

Czy płuća nasze koniecznie muszą być zatrutane zawsze zarazo- i chorobotwórczym kurzem ulicznym? Czy nie można by temu zaradzić? Zdaje się, że jest prosty i jedyny sposób – polewanie ulic wodą, ale... jak ten sposób jest stosowany. Przyjrzyjmy się. Dozorca domowy lub czasami właściciel domu stawia na ulicy wiadro z wodą do polewania i czeka. Jak idzie „władza” to polewa wodą ulicę, oczywiście tyle co kot napłakał...

Innym razem krytykowano, że: *ludzie nie jeżdżą ulicą, tylko po chodnikach, bo na chełm-*

skich wybojach i dziurach spotkać może człowieka wypadek! I rzeczywiście. Widać chełmski Magistrat uznaje tylko „kulturę” pobierania od cyklisty po 10 zł za prawo jazdy po mieście, ale bruków nie pilnuje.

Pewnego dnia chełmianie dowiedzieli się, że: *według otrzymanych z rządowych źródeł informacji nieprzyjacielskie eskadry samolotów napadną na Chełm i zbombardują miasto gradem pocisków gazowych. Aby umożliwić ludności przyjemne przyglądanie się obronie miasta przed tym napadem lotniczo-gazowym oraz ewolucjom samolotowym eskadr lotniczych – pobrane będą niewielkie opłaty od osób za wejście na górę katedralną. Siedzące miejsca 50 gr, stojące i dla młodzieży szkolnej – 20 gr, a dla dzieci – 10 gr.*

Gdy już o pieniądzech mowa, przypomnijmy notowania walut z 1934 roku:

Prywatnie dolar papierowy w żądaniu 5,23; w płaceniu 5,22; dolar złoty w żądaniu 9,00, w płaceniu 8,97; funt angielski w żądaniu 27,10, w płaceniu 27,00; rubel złoty w żądaniu 4,68, w płaceniu 4,65 ...

Łza się w oku kręci.

J. GÓRNY

Cytaty z „Echa Chełmskiego”, „Zwierciadła” i „Kroniki Nadbużańskiej”.

Encyklopedia...

Wawrzyniec Berezecki w chełmskiej prasie lat międzywojennych publikował własną „Encyklopedię humorystyczną”. Jej fragmenty drukowała również „Mucha”.

Oto kilka haseł z tej specyficznej „encyklopedii”.

A.

Alkohol – środek leczniczy do uzdrawiania budżetu państwowego.

Arena – miejsce, gdzie mądre konie pokazują swe zdolności przed głupimi ludźmi.

Amen – wyraz zamykający przemowę niektórych posłów sejmowych.

Ambona – miejsce trzykrotnego ostrzegania w formie zapowiedzi przed popełnieniem głupstwa zwanego ożenkiem.

B.

Baba – honorowy sekretarz diabła.

Bilet – dokument zezwalający na uczestniczenie w katastrofie kolejowej.

Bumerang – teściowa po ciśnięciu jej o drzwi.

Bajarz – minister wygłaszający exposé.

Biografia – streszczenie życia kucharki przez rozwścieconą stróżkę.

C.

Cenzura – ulewa zmywająca z płotu literaturę.

Cerowanie – płacenie długów pożyczkami.

Chimera – reforma rolna w Polsce.

Cywilizacja – badanie w policji za pomocą kieszki gumowej.

Kronika wschodnia

* W Kostomłotach (woj. białskie) od 6 do 8 stycznia trwały warsztaty literackie zorganizowane przez klub literacki „Maksyma”. Do udziału w nich zaproszeni zostali również przedstawiciele klubów literackich z Chełma i Zamościa, a także krytycy literaccy: Mieczysław Machnicki i Tadeusz Żóćciński z Warszawy. Referaty i dyskusje nad tym „Co wolno we współczesnym wierszu” oraz rozważania o „łatwości pisania prozą” i Turniej Jednego Wiersza wypełniły całość programu. Omawiano także przygotowania do V Podlaskich Spotkań Literackich oraz możliwości wydawnicze poszczególnych klubów literackich.

* *Zwracamy się do wszystkich, którzy nas czytają. Tylko dzięki Wam możemy spełnić nasz zamiar. A chcemy ułatwić poznanie dzieł i kultury naszego kraju uczniom polskiej szkoły we Lwowie. [...] Ogłaszamy zbiórkę na księgozbiór [...] – pod takim hasłem „Tygodnik Zamajski” ogłoszą akcję zbierania polskich książek dla dzieci ze Lwowa. Książki dla „Braci Polaków w ZSRR” zbierają także chełmscy demokraci z SD.*

* W Hrubieszowskim Domu Kultury rozpoczęła działalność Dyskusyjny Klub Filmowy o krótkiej nazwie „9”. Jest to trzeci DKF w woj. zamajskim. W chełmskim są dwa, w lubelskim 25 (z tego 13 w samym Lublinie), zaś w białskim nie ma ani jednego.

* Biuro Wystaw Artystycznych w Białej Podlaskiej doczekało się własnej galerii sztuki współczesnej. Mieści się ona w budynku przy bramie głównej prowadzącej do Parku Radziwiłłowskiego. Dotychczas BVVA korzystało z wynajmowanych pomieszczeń, nie zawsze posiadających odpowiednie warunki do ekspozycji dzieł sztuki. Pierwszą wystawą w nowej galerii był dorobek pleneru rzeźbiarskiego „Hajnowka'88”.

* W księgarniach „Domu Książki” kolejna, znaczna obniżka cen niektórych tytułów. W Chełmie można było kupić z przeceny m.in.: R. M. Rilkego *Listy*, L. Sciasci *Zniknięcie Majorany*, J. Cortazara *Prozę z obserwatorium*, J. Krzysztonia *Pocztę literacką*, J. J. Szczepańskiego *Za przełęczą*, E. Canetlego *Ocalony język*, B. Jasińskiego *Lukácsa*, A. Kuśniewicza *Mieszanińcy obyczajowe (sic!)* i... kilka pótek tomików poezji.

* Wśród czterech laureatów nagród im. Witosa znalazł się Władysław Kuchta – poeta ludowy i społecznik z Mołodutyna koło Chełma. Mimo 78 lat życia nadal odbywa on spotkania autorskie i aktywnie działa w organizacjach i stowarzyszeniach kulturalnych. W swoich wierszach podejmuje ważne sprawy wsi, sięgając do bogatych tradycji kultury chełmskiej.

* Z jednym recitalem wystąpił w Chełmie Krystyna Prońko. Mimo przystępnej ceny biletów (800 zł) znaczna część sal była pusta. Po kilku dniach „Masztalscy” (bilety po 1800 zł) dali trzy „koncerty” przy wypełnionej widowni.

* Prezydent Chełma podpisał w Kowliu umowę o współpracy przygranicznej na rok 1989 między dwoma zaprzyjaźnionymi od lat miastami. W wyniku realizacji tej umowy około 4 tys. mieszkańców uzyska możliwość poznaania ludzi, miasta i rejonu kowelskiego.

* Decyzją Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego monaster w Jabłecznej (gmina Sławatycze) podniesiony został do rangi siedziby biskupa nowo utworzonej chełmsko-lubelskiej diecezji prawosławnej. Jej pierwszym biskupem został ksiądz Andrzej Popławski. Ponadto w jabłecznyńskim klasztorze przebywa kilku alumnów i ośmiu zakonników. Dalszych dziewięciu przebywa w Grecji – kilku studiuje w Tessałonikach, a reszta doskonalą swoją wiedzę w krainie mnichów na świętej górze Athos.

* Na spotkaniu ministrów kultury PRL i Ukraińskiej SRR w Chełmie dyskutowano między innymi sprawę odbudowy cmentarza Orliąt Lwowskich i remontu kościoła w Rudkach, gdzie pochowany jest Aleksander Fredro. Przebieg prac nadzorować ma Fundacja Kultury Polskiej.

* W Chełmie odbyły się VI Ogólnopolskie Spotkania Kabaretów Wiejskich. Jury pod przewodnictwem Bogdana Smolenia po obejrzeniu 12 zespołów przyznało dwie równorzędne nagrody pierwsze. Zdobyły je kabarety: „Miećka” z Frysztaka (woj. rzeszowskie) i „Żądo” z Biskupca (woj. olsztyńskie). Jedynym laureatem z naszych stron został „Sęk” z Woli Ossowskiej (woj. lubelskie), który zdobył trzecią nagrodę.

* Ukazał się pierwszy zeszyt poetycki pt. „Aż słowa” z serii Podlaskich Arkuszy Literackich. Jego autorem jest Ryszard Chojek – nauczyciel z Łosic. Seria obliczona jest na kilkanaście pozycji wydawniczych, a patronuje jej klub literacki „Maksyma” w Białej Podlaskiej. Również Zamajski Klub Literacki zainicjował pracę edytorską tomikiem wierszy Teresy Maluchy pt. „Okruchy”. Z zainteresowaniem czekamy na kontynuację zamierzeń.

* Tylko raz wystąpiła w Chełmie Urszula Dudziak. Wokalistka przyjechała tu będąc na trasie promocyjnej czotowego zespołu Jazowego „Walk Away”. W Nowym Jorku bilet wstępu na koncert Urszuli Dudziak kosztuje 20 dolarów. Tutaj artystka wystąpiła (po przeliczeniu) za około 15 centów. Mimo to potawa miejsc na sali była wolna.

* Wielkie poruszenie wśród chełmskich załóg pracowniczych wywołała zapowiedź projekcji filmu Victora Fleminga „Przemienię z wiatrem”. Rozdzwoniły się telefony, tłum napierał na kasę kina „Kultura”. Kilka seansów zostało wykupionych w ramach przedsprzedaży już pierwszego dnia. Zorganizowano dodatkowe pokazy, a następnie seanse przeniesiono do kina „Zorza”, które wyświetlało ten film ponad dwa tygodnie. Przez sale kinowe przewinęło się kilka tysięcy widzów słozhaających nad romansem Scarlett O'Hary z Rettem Butlerem, nakręconym jeszcze w 1939 roku. Niektóre panie zwierzały się, że nie były w kinie od dwudziestu lat. „Przemienię z wiatrem”, wyprodukowane za 6 mln dolarów, w ciągu półwiecza przyniosło wpływy rządu kilkuset milionów dolarów. Ale nikt nie policzył jeszcze hektolitrów też wylanych na seansach. Przewodnik filmu fabularnego *Kino wenhut magiczny* w opracowaniu A. Garbicza i J. Kilnowskiego (Kraków 1981) ani słowem nie wspomina o tym arcydziele.

* *Ja nie twierdzą, że stosunki polsko-ukraińskie mają idylliczny charakter, ale jest po naszej stronie wiele trudu i dobrej, przyjaźnej woli dla zjednania Polaków. Choć problemów nie brakuje, a i my mamy pewne zła i oczekiwania pod waszym adresem. [...] Proszę – sprawa Przemysła. Przemysł spełnia dla nas podobną rolę jak Lwów dla Polaków. Mieszka tam przeszło 2 tysiące Ukraińców. Tymczasem nasza piękna katedra została przekazana onegdaj karmellitom, wyeliminowano z nazewnictwa ulic wybitnych twórców naszej kultury: Szewczenkę, Szaszkiewiczą, czy Ulanę Krawczenko, znakomitą poetkę urodzoną w ...Przemysłu. I ona nie ma nawet kawałka tablicy pamiątkowej. Albo inni twórcy, inne miasta – w Chełmie urodził się Michał Hruszewski, najwybitniejszy, światowej sławy historyk ukraiński, w Ciechanowie – poeta Wasyl Karmanski, w Jarosławiu – Stanisław Lutkiewicz [...]. A przecież u nas istnieją ulice wybitnych Polaków, tablice pamiątkowe, mamy we Lwowie chyba największy pomnik Mickiewicza – doc. Jossif Łoś z Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu we Lwowie w wywiadzie dla „Relacji” (nr 14/89).*

* *Marzy mi się Stowarzyszenie Pisarzy „Kresy”, które byłoby niejako i ponad ZLP, i ponad SPP. To powinno nastąpić. W tych „Kresach”, mój Boże, kogo by tam nie było. I ci z Wilna, i ci ze Lwowa, i z Polesia, i z Grodna, i z Sambora, i z Mikołajowa, i dziesiątki innych. Jako że i ja stamtąd pochodzę, chciałem wypowiedzieć się na temat spraw ukraińskich.*

Propaganda na rzecz „Niepodległej Ukrainy” jest największa bynajmniej nie w Kijowie, tylko wśród mniejszości ukraińskiej w Polsce. Marzy im się Sanok i Chełmszczyzna, i Podlasie. Nie ma powodów, aby jakkolwiek Polak miał to popierać. Nacjonalizm ukraiński, szczególnie wtedy, gdy idzie u nogi swego niemieckiego pana, pokazuje Polakom swoje kły. Jest nam od wieków nieszczęśliwym wrogiem. Brak jakiegokolwiek narodowego interesu w tym, żeby stojąc na mogiłach naszych braci pomordowanych przez UPA, padać sobie w ramiona z Ukraińcami. Jeżeli jeszcze teraz Polacy na Ukrainie będą się przyznać do swej przynależności narodowej, to możemy sobie wyobrazić, co ci ludzie przeszli. [...] Zamiast wątpliwych resentymentów trzeba twardo walczyć o zbiory bezcennych dla naszej kultury druków i rękopisów największych pisarzy (np. rękopis „Pana Tadeusza”), które to druki są we Lwowie „przechowywane” w optakanych warunkach i powoli zmieniają się w białą maź. Tu na stołkie słówka o przyjaźni może się jedynie nabrac jakiś sentymentalny grupiec – Jerzy Harasymowicz w artykule „Najlepiej samemu”, w: „Przegląd Tygodniowy” nr 30 z br.

* Przy budynku byłej Gromadzkiej Rady Narodowej w Majdanie Sopoćkim (woj. zamajskie) odkryto popiersie Józefa Piłsudskiego. Przypadkowo usunięty tynek ujawnił skrywaną przez wiele lat tajemnicę. Pomnik ma być odnowiony i przywrócony społeczeństwu.

* W Chełmie i Zamościu odbyły się zainicjowane zebrania oddziałów wojewódzkiej Towarzystwa Miłośników Lwowa.

Kronika wschodnia

* Odybła się I Międzynarodowa Sesja Naukowa na temat drugiej wojny światowej w literaturze polskiej i obcej. To „wędrujące” sympozjum zainaugurowano 1 maja w Sandomierzu, a zakończono 7 maja w Chełmie. Wzięli w nim udział przedstawiciele polskich środowisk naukowych oraz humaniści z Moskwy, Wilna, Lwowa i Debreczyna. Wygłoszono około stu referatów, głównie w szkołach średnich, m.in. Tarnobrzega, Stalowej Woli, Staszowa, Opatowa, Dubienki i Krasnegostawu. Całość przebiegała pod honorowym protektoratem rektora UMCS, prof. Zdzisława Cackowskiego.

* Przejście kolejowe w Dorohusku stało się faktem. 28 maja pociąg pośpieszny relacji Zielona Góra–Kowel przejechał po raz pierwszy granicę. W Chełmie odbyły się uroczystości inauguracyjne nowego połączenie kolejowe.

* 27 maja w budynkach sąsiadujących z chełmską drukarnią „Zwierciadło” wybuchł pożar. Gaszenie ognia nie przyniosło spodziewanych efektów. Drukarnia spłonęła prawie całkowicie. Zniszczeniu uległy maszyny oraz spora część papieru i materiałów propagandowych związanych z kampanią wyborczą do sejmu i senatu.

* Tu można mówić i pisać prawie wszystko. Chełmski Hyde Park to kawałek białej ściany na kamienicy przy placu Konstytucji i pień dla mówców na środku trawnika. Ale jak dotąd, nie było tu jeszcze publicznych wystąpień. Nawet Elżbieta Zając i Witold Graboś – kandydaci na senatorów, z których inicjatywy urządzono to miejsce – nie pokazali się tu ani razu. Za to kwitnie „twórczość ludowa” na licznych murach nowych osiedli, uwieczniana czerwoną farbą w aerozolu. Oto niektóre złote myśli: *Jest dobrze, Sex (ka)leczy, Apatia to choroba, Ziemia jest ptaska, Adam i Ewa byli Polakami, Myślę, więc jestem ...podejrzany, Jest mi wszystko jedno.*

* Koncertem galowym na Rynku Wielkim w Zamościu zakończyły się Dni Wołyń na Zamojszczyźnie. W tym roku uświetniły je zespoły z Łucka: wokaino-instrumentalny „Świtez”, Wołyński Chór Narodowy, Orkiestra Szkoły Muzycznej i zespół taneczny „Junost”. Artyści występowali także w Białogorze, Szczepieszynie i Tarnogrodzie. W Galerii Sztuki Współczesnej w Zamościu prezentowane były prace plastyków z Łucka, a w Garnizonowym Klubie Oficerskim – fotografla artystyczna. Członkowie Nauczycielskiego Klubu Literackiego spotkali się z Iwanem Czernieckim – poetą ukraińskim, urodzonym w 1935 roku w Złotcu na Zamojszczyźnie.

* W tegorocznym XIV Zamojskim Lecie Teatralnym z dużym zainteresowaniem i dobrym przyjęciem spotkały się „Zapiski więzienne Stefana kardynała Wyszyńskiego” w wykonaniu Teatru Ochoty oraz musical w stylu country „Naręczona rozbójnika” Teatru Popularnego w Warszawie. Jak zwykle nie zawiódł krakowski Teatr „Stu”, który zaprezentował kilka spektakli. Przyjechały też teatry z Leningradu i RFN. Pojawiały się głosy, aby spotkaniu teatrów nadać charakter konkursowy, jednak organizatorzy bronią dotychczasowych zasad przeglądu bez typowania miejsc, a każdy zespół nadal wyjeżdżać

będzie z Zamościa z „Butawą Hetmańską”.

* W swoim domu w Kazimierzu Dolnym zmarła 15 lipca Maria Kuncewiczowa – obywatelka świata i pierwsza dama współczesnej literatury polskiej. Przeżyła 92 lata. Debiutowała w 1927 roku utworem *Przymierze z dzieckiem*. Jej ostatnia książka to *Listy do Jerzego*.

* W tegorocznej Studenckiej Naukowej Akcji ZSP „Chełm” uczestniczyło ponad 800 studentów, którzy realizowali kilkanaście tematów naukowych, m.in. z dziedziny ekologii. Wzorem lat ubiegłych, studenci i pracownicy nauki Akademii Medycznej – Lublinie świadczyli też pomoc medyczną mieszkańcom wsi. W tym celu zorganizowano

obozy naukowe w Siedliszczu i Dubience, gdzie udzielano również bezpłatnych porad lekarskich.

* Po 50 latach znów uruchomione zostało regularne połączenie lotnicze na trasie Lwów-Warszawa-Lwów. Zainteresowanie rejsami jest tak duże, że bilety wyprzedane są najczęściej z ponad miesięcznym wyprzedzeniem. Loty obsługiwane są przez 120-miejscowe samoloty radzieckie JAK-42 i odbywają się raz w tygodniu. Przed wojną codzienne pasażerskie połączenia ze Lwowem obsługiwał oczywiście LOT.

(hr)

Polski list z Białorusi

[...] Nasza miejscowość do 17 września 1939 roku należała do Polski. Były to Kresy Wschodnie – Wileńszczyzna. Chociaż w 1939 roku byłam jeszcze mała, ale do szkoły zaczynałam chodzić. Bardzo boleśnie przeżyłam fakt zamknięcia polskich szkół. Już od pierwszej klasy dzieci z rodzin polskich zmuszone były pobierać naukę w szkole w języku obcym. Dzisiejsze młode pokolenie nie zna już przeważnie języka ojczystego. Pół wieku, jak na Białorusi nie mamy polskich szkół.

Moim zdaniem jest nas tu o wiele więcej, niż wymieniono w danej publikacji („Polacy w świecie”, wyd. UMCS – przyp. red.). Dane powszechnego spisu ludności ze stycznia 1989 roku jeszcze nie były opublikowane w prasie. Podczas ostatniego spisu dane o narodowości były zapisywane tak, jak podawał sam obywatel.

Przypomniał mi się przedostatni spis (chyba dziesięć lat temu). Kiedy na pytanie rachmistrza o narodowość odpowiedziałam, że jestem Polką, to mi wyjaśnił: „Nam powiedziano: Polakami nie pisać”. Musiałam pokazać paszport. Na szczęście jestem jedną z nielicznych osób, które w paszporcie mają zapisaną prawidłową narodowość. Tylko 10–20 proc. osób narodowości polskiej zalicza się do tych szczęśliwców. [...]

Od redakcji: Cytowany list autorka skierowała do Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS i Towarzystwa „Polonia” w Lublinie, prosząc o pominięcie jej nazwiska i adresu w przypadku opublikowania korespondencji.

ALEKSANDRA JENTYSÓWNA

Aleksandra Jentysówna (1861–1920), polska działaczka rewolucyjna, współzałożycielka Wielkiego Proletariatu, pseud. Jana. Janka, urodziła się 2 lipca w Deputyczach Królewskich. Ojciec jej, Adam Jentys, zubożały szlachcic, dzierżawca majątku ziemskiego, poległ w walce w czasie powstania styczniowego. Aleksandra wychowana przez matkę w duchu patriotycznym, otrzymała staranne wykształcenie. Ukończyła z wyróżnieniem gimnazjum lubelskie i następnie przy wsparciu rodziny ojca wstąpiła do instytutu Aleksandryjsko-Maryjskiego w Warszawie. Po uzyskaniu dyplomu (1876) została zaangażowana w tejsze uczelni jako nauczycielka matematyki. W instytucie otrzymała też mieszkanie.

W czasie pobytu na wakacjach 1880 r. w Szwajcarii zetknęła się tam z polskimi socjalistami i poznała Ludwika Waryńskiego. Pomiędzy dwójkiem młodych ludzi (on miał lat 25, ona 19), szybko zawiązała się nić sympatii, która z czasem przekształciła się w głębokie uczucie, tym trwalsze, że łączyła ich wspólna idea walki o lepsze jutro dla ludzi pracy.

Pod koniec 1881 r. Waryński powrócił do Warszawy i rzucił się w wir działalności rewolucyjnej, w czym dzielnie wspierała go Aleksandra Jentysówna. Na zjeździe w Wilnie (1. 09. 1882) ogłoszony został Manifest i Proletariatu, co wiąże się z powstaniem tej partii. W styczniu roku następnego ukonstytuowały się jej władze; na czele Komitetu Centralnego stanął Waryński, w skład tej instytucji weszła też Jentysówna, która otrzymała zadanie prowadzenia sekretariatu KC. W jej mieszkaniu ulokowana została drukarnia i magazyn materiałów propagandowych. Tam też często spotykali

się czołowi działacze rewolucyjni i odbywały się posiedzenia Komitetu Centralnego. Aleksandra poza pracą kancelaryjną często wraz z Waryńskim odwiedzała środowiska robotnicze, prowadząc agitację rewolucyjną.

Dotkliwym ciosem dla partii było aresztowanie (28. 09. 1883) Waryńskiego. W trzy dni później ujęta została przez żandarmów Jentysówna. Zaalarmowani działacze zdolali w porę usunąć z jej mieszkania hektografy i bibułę propagandową. Oboje, podobnie jak i inni przywódcy I Proletariatu, osadzeni zostali w osławionym X pawilonie cytadeli warszawskiej. Śledztwo było ciężkie i przewlekłe, trwało niemal dwa lata. Wyrokiem administracyjnym z 29 sierpnia 1885 r. Aleksandra Jentysówna skazana została na pięć lat zsyłki na Syberię do wsi Tara w guberni tobolskiej. W tym samym roku osądzono też Waryńskiego – na 16 lat katorgi.

W 1886 r. Jentysówna wystąpiła do władz carskich z prośbą o zezwolenie na ślub z Waryńskim i towarzyszenie mu na katordze. Jak podobne i wcześniejsze wystąpienie Waryńskiego i jej prośba została odrzucona.

W 1890 r. po wygaśnięciu terminu zesłania Aleksandra wyjechała do Odessy, gdzie utrzymywała się z tłumaczeń z języka francuskiego. Wobec sądowego zakazu, nie mogła powrócić do Polski. Tutaj wstąpiła do partii SR i z jej polecenia przeniosła się do Charkowa, gdzie współpracowała z Czerwonym Krzyżem (1901–1904). W 1911 r. została wydalona z Charkowa za pomoc okazywaną więźniom politycznym; zamieszkała czasowo w Jekaterynosławiu, później w Biełogrodzie, by następnie powrócić do Charkowa. Tam przeżyła wojnę i rewolucję. Pod koniec życia zamieszkiwała w Rosztowie nad Donem, gdzie zmarła w 1920 r.

MARIA ORSETTI

Maria Paulina Orsetti (1880–1957), pionierka polskiego ruchu spółdzielczego i działaczka oświatowa, urodziła się 22 czerwca w Świerżach. Rodzicami jej byli Teodor i Maria z Jełowickich, właściciele ziemscy. Gimnazjum ukończyła w Rydze, nagrodzona za wyniki złotym medalem. Studia podjęła w 1900 r. w Wyższej Szkole w Bernie, następnie przeniosła się do Zurichu na wydział matematyczno-fizyczny tamtejszej politechniki. Jeszcze w trakcie studiów (po 1905 r.) włączyła się na terenie Lubelszczyzny w działalność oświatową, prowadzoną przez Polską Macierz Szkolną, tworząc m.in. sieć bibliotek ruchomych.

Była inicjatorką założenia w Chełmie w 1906 r. pierwszej w tym mieście biblioteki publicznej. Jednocześnie ogłaszała liczne artykuły propagujące ideę oświecenia mas ludowych. W 1910 r. po ukończeniu studiów podjęła dalsze kształcenie się na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego, jednakże wkrótce zmieniła kierunek zainteresowań i przeniosła się do Brukseli na wydział ekonomiczno-społeczny, gdzie w 1915 r. uzyskała dyplom doktora tych nauk.

Zarówno w czasie pobytu w Brukseli, jak też podczas podróży na terenie Anglii Maria Orsetti zetknęła się z ruchem spółdzielczym, stając się wkrótce jego gorącą rzeczniką. Propagowała go po powrocie do Polski w licznych artykułach prasowych. W latach 1916–1917 mieszkając w Lublinie, działała w Lubelskiej Spółdzielni Spożywców wraz z Marią Dąbrowską, Janem Hemplem i innymi. Tutaj była współzałożycielką i pierwszą kierowniczką biblioteki LSS, a nadto redagowała czasopisma: „Ku przyszłości” oraz „Spółdziałka Lubelska”. W spółdzielni zetknęła się z ideologią socjalistyczną, która stała się jej bliska.

Następnym etapem jej pracy i działalności społecznej została

Warszawa (od 1917 r.). Pracując w Związku Spółdz. Spożywców, redagowała jej organ pt. „Społem”. Działała także w Towarzystwie Czytelni m. st. Warszawy. Była współzałożycielką i kierowniczką Stowarzyszenia Spółdzielczego „Książka” (do 1920 r.). Organizowała biblioteki robotnicze, współpracowała też ściśle z Uniwersytetem Ludowym. Przyczyniła się do założenia w 1921 r. Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Została powołana przez Związek Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych w skład rady organizacyjnej. Z ramienia ZSS uczestniczyła w 1921 r. w Kongresie Międzynarodowego Związku Spółdzielczego, na którym powołano ją do komitetu wykonawczego Międzynarodowej Ligi Kooperatystek. Po powrocie organizowała koła kooperatystek w szeregu miast polskich.

Z kolei w latach 1927–1928 będąc działaczką Związku Pracowników Spółdzielczych, redagowała jego organ pt. „Pracownik Spółdzielczy”. W 1935 r. uczestniczyła w założeniu Ligi Kooperatystek Polskich, wchodząc w skład jej władz.

W czasie okupacji pracowała w „Społem”, udzielając się jednocześnie w prowadzeniu tajnego nauczania. Uczestniczyła w powstaniu warszawskim i przeszła przez obóz pruszkowski. Później zamieszkała w Krakowie, by następnie przenieść się do Łodzi i wreszcie w sierpniu 1945 r. powrócić do Warszawy. Zatrudniona została w Zarządzie Głównym Ligi Kobiet. Była redaktorką pism spółdzielczych. W latach 1948–1950 pracowała jako kierownik referatu w Spółdzielczym Instytucie Naukowym.

Władza biegła kilkoma językami obcymi, w tym: rosyjskim, niemieckim, francuskim i szwedzkim. Była odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz licznymi odznaczeniami organizacyjnymi. Zmarła 27 maja 1957 r. i pochowana została na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Kiejstut Gabriel Žemaitis (1906–1973), syn Macieja i Adelajdy z domu Miller, urodził się w Piotrkowie Trybunalskim w rodzinie nauczycielskiej. Gdy miał lat 13, matka jego, po śmierci męża, przeniósła się w 1919 r. do Chełma i zaangażowana została jako nauczycielka języka niemieckiego w Gimnazjum im. S. Czarnieckiego. Tam też chłopak kontynuował naukę i w 1923 r. uzyskał maturę, wyróżniając się przy tym wybitnymi zdolnościami. Studia wyższe podjął na Akademii Górniczej w Krakowie, gdzie w 1928 r. ukończył wydział hutniczy. Służbę wojskową odbył w szkole podchorążych lotnictwa w Dęblinie, po czym jako młody inżynier rozpoczął pracę zawodową w Hucie Częstochowa. W latach 1930–1931 był asystentem w Katedrze Metalurgii Żelaza w AGH. Później pracował w Hucie Baildon na stanowisku inżyniera ruchu w stalowni.

W czasie okupacji wraz z żoną i nieletnią córką przebywał w Warszawie uczestnicząc w ruchu oporu. Po wyzwoleniu, w 1944 r. wstąpił jako ochotnik do II Armii WP i został wcielony w szeregi 9 Dywizji Piechoty (późniejsza Drezdeńska), z którą przeszedł cały szlak bojowy. W końcu 1945 r. został zdemobilizowany w stopniu kapitana.

W latach 1946–1949 pracował w Centralnym Zarządzie Przemysłu Hutniczego w Katowicach jako z-ca dyrektora, pełniąc też przejściowo obowiązki dyrektora Huty Kościuszk. W uznaniu wysokich kwalifikacji zawodowych i uzdolnień organizacyjnych w 1949 r. powołano go na stanowisko kierownika ministerstwa, a następnie ministra hutnictwa i przemysłu ciężkiego (ten odpowiedzialny urząd sprawował przez lat dziesięć). W 1959 r. objął

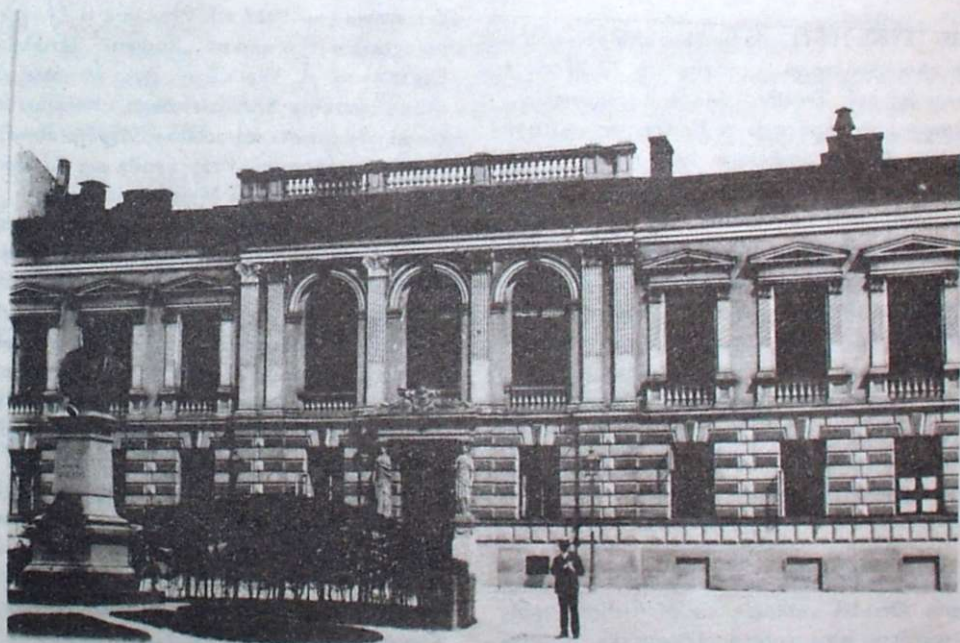
obowiązki zastępcy przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, by niedługo później, bo w 1961 r. przejść do pracy dydaktycznej i naukowej w Akademii Górniczo-Hutniczej, ze stopniem profesora nadzwyczajnego. Po upływie dwu lat powierzono mu prowadzenie Katedry Metalurgii Stali oraz kierownictwo Zakładu Elektrometalurgii. Od 1963 do 1969 r. zajmował stanowisko rektora AGH. Jednocześnie brał czynny udział w pracach społecznych. Był pełnomocnikiem ds. pokojowego wykorzystania energii jądrowej, przewodniczył Radzie Naukowej Metalurgii Żelaza, był zastępcą przewodniczącego Rady Naukowej Centralnego Instytutu Ochrony Pracy, sprawował też wiele innych honorowych funkcji.

W 1971 r. Kiejstut Žemaitis otrzymał nominację na profesora zwyczajnego, a pod koniec roku następnego z uwagi na zły stan zdrowia odszedł na emeryturę. Niedługo potem, bo w 1973 r. w wieku lat 67 zakończył życie.

Pozostawił po sobie bogaty dorobek naukowy i cały zastęp wysoko kwalifikowanych inżynierów i pracowników naukowych. Posiadał wiele zaszczytnych odznaczeń, m.in.: Krzyż Walecznych, Order Sztandaru Pracy I klasy (dwukrotnie), Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, odznakę „Zasłużony hutnik” i inne.

Do Chełma, jako miasta swej młodości żywił zawsze sentyment, brał udział w zjazdach absolwentów liceum S. Czarnieckiego, otaczał opieką studentów AGH pochodzących z Chełmskiego. Oddział PTTK w Chełmie dla uczczenia sławnego czarniecczyka wydał w 1981 r. pamiątkowy medal z jego portretem.

Konstanty Prożog



Gmach kasyna literackiego przy ul. Akademickiej we Lwowie, początek XX w. Zdjęcie z wystawy „Lwów w starej fotografii”, urządzonej przez Fundację Kultury Polskiej w jej warszawskiej siedzibie przy ul. Podwaile 1/3 i czynnej w czerwcu i lipcu br. Jej autorem był Eugenij Lendon, pracownik muzeum historycznego we Lwowie, gdzie też odbyła się premiera pokazu. Ekspozycja warszawska obejmowała 165 fotografii odbitych ze szklanych negatywów z końca XIX i początku XX stulecia. (Osobom zainteresowanym finansowym wsparciem Fundacji podajemy numer konta: 370044-2916-132-3, PBK XIII, Oddział w Warszawie. Stołeczny kod adresowy FKP: 00-252).



Fragment kolekcji sztuki współczesnej w Muzeum Okręgowym w Chełmie. Na pierwszym planie environment Karola Broniatowskiego „Ludzie”, 1969-1975, techn. miesz.

Jan Dzeduszycki
TRZY LATA
WYKREŚLONE Z ŻYCIORYSU

Wyd. 1, ark. wyd. 11,5, nakład 50 tys. egz.

Wspomnienia jednego z kilkunastu tysięcy Polaków internowanych przez organa NKWD w latach 1944-1945. Jan Dzeduszycki wywieziony został transportem z Przemysła w listopadzie 1944 r. do obozów Jegolsk, Waldlager i Szepietowo w rejonie Borowicz koło Nowogrodu, a następnie w połowie 1946 r. do obozów w rejonie Swierdłowska, gdzie pracował m.in. na terenie kombinatu Uralskich. Do kraju powrócił w listopadzie 1947 r. Książka ukazuje warunki bytowania i pracy w obozach, próby ucieczek, doznania osobiste Autora i współinternowanych. Po raz pierwszy wyszła nakładem Editions Spotkania w Paryżu w 1986 r.

Czesław Gryko
JÓZEF CHAŁASIŃSKI.

SOCJOLOGICZNA TEORIA KULTURY
 Wyd. 1, ark. wyd. 18, nakład 3 tys. egz.

Praca Czesława Gryki, doktora w Międzyuczelnianym Instytucie Filozofii i Socjologii UMCS, jest pierwszą w literaturze monografią twórczości Józefa Chałasińskiego (1904-1979), wybitnego socjologa, ucznia Floriana Znanieckiego, współautora metody wykorzystywania pamiętników i autobiografii w badaniach naukowych. Przez jednego Chałasiński uznawany był za „Napoleona socjologii polskiej”, przez innych w różnych okresach krytykowany, zwalczany i szykanowany to za brak marksistowskiego stanowiska, to znów za występowanie w obronie robotników w procesach po wydarzeniach w czerwcu 1956 r. Chałasiński był członkiem Polskiej Akademii nauk, współorganizatorem Uniwersytetu Łódzkiego. Jego najważniejsze dzieła, to: *Młode pokolenie chłopów*, *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej*, *Kultura i naród* oraz przeszło 600 innych prac, których dokładny wykaz zawiera najobszerniejsza z dotychczas publikowanych bibliografia podmiotowo-przedmiotowa załączona do książki.

Józef Lobodowski
KOMYSZE

Wyd. 1, ark. wyd. 22, nakład 50 tys. egz.

Powieść przebywającego po drugiej wojnie światowej na emigracji w Hiszpanii jednego z najbardziej niespokojnych i kontrowersyjnych twórców lubelskich okresu międzywojnia, Józefa Lobodowskiego (1902-1988), prozaika, poety, publicysty i dziennikarza, studenta prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego relegowanego z uczelni w 1932 r. „za szerzenie pornografii i bluźnierstwa w wydanych przez siebie utworach poetyckich, skonfiskowanych przez władze prokuratorskie” redaktora dwutygodnika Związku Młodzieży Demokratycznej „Trybuna”, później „Kuriera Lubelskiego”, „Barykad”, „Dźwigarów”, jednego z założycieli Lubelskiego Związku Literatów, autora takich tomów wierszy, jak: *Słońce przez szpary* (1928), *Gwiazdny psalter* (1931), *O czerwonej krwi* (1931 - nakład skonfiskowany), *W przeddzień* (1932), *Rozmowa z ojczyzną* (1935, 1936), *Demonom nocy* (1936), *Z dymem pożarów* (Nicea 1941), po wojnie związanego z polską rozgłośnią Radia Madryt. Jest też Józef Lobodowski autorem dwóch cyklów powieściowych. W pierwszym, składającym się z trzech tomów: *Komysze* (1955), *W stancy* (1958) i *Droga powrotna* (1961) odnajdujemy okres dzieciństwa pisarza spędzonego w stepach naddnieprzańskich i na Kubaniu.

Marek Ruszczyce
HETMAN

FRANCISZEK KSAWERY BRANICKI
DZIEJE RODU
I FORTUNY BRANICKICH
Z BIAŁEJ CERKWI

Wyd. 1, ark. wyd. 20, nakład 15 tys. egz.

Historyczny, lekką ręką kreślony portret barnej i ponurej postaci hetmana wielkiego koronnego Franciszka Ksawerego Branickiego, twórcy świetności rodu i kolosalnej jego fortuny, przyjaciela z lat młodości króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, ukazany na

WYDAWNICTWO LUBELSKIE
zapowiada:

tle intrygantów, zauszników, uzurpatorów, zadufanych w sobie i despotycznych władców i kandydatów na władców. Niezwykle plastyczne charakterystyki różnych postaci, m.in. carycy rosyjskiej Elżbiety i Katarzyny II, z której dworem związał się Branicki do końca życia, jak również opisy mechanizmów decyzji politycznych istotnych dla Europy i Polski, podejmowanych nie tylko w gabinetach, ale i alkowach. W książce wykorzystano pasjonujące przekazy pamiętnikarskie i korespondencję, a także rejestry majątkowe i inne źródła.

Jerzy Kuncewicz
WYSPI PAMIĘCI

Wyd. 2, ark. wyd. 10, nakład 5 tys. egz.

„Wyspy pamięci nie są klasycznym pamiętnikiem – pisze w przedmowie do pierwszego wydania książki Andrzej Zakrzewski. – Są one zapisem starego żeglarza, który po trwającej niemal wiek całej wielkiej wędrowce osiadł w cichej kazimierzowskiej przystani i zdecydował zaprezentować szerszej publiczności zdarzenia, których był uczestnikiem lub świadkiem, oraz ludzi, z którymi los go w toku owej wędrowki zetknął.” Pisze więc Kuncewicz w trzydziestu luźno ze sobą związanych opowiadaniach czy esejach o Józefie Piłsudskim i spotkaniu z nim w Lublinie w roku 1916, o budowie portu w Gdyni i projektach francuskiego inżyniera Adriana Godina, o pobycie w czasie drugiej wojny światowej na emigracji we Francji i Anglii i postaciach polskiego rządu emigracyjnego, o korespondencji i spotkaniach z francuskim filozofem Emmanuelem Mounierem i jego piśmem „Esprit”, o pozyskiwaniu dla sprawy polskiej świata wielkiej polityki i środowisk intelektualnych, o amerykańskich powojennych epizodach związanych z ponad dwudziestoletnim pobytom na emigracji.

Wymienione tytuły, wybrane z bogatej oferty edytora, powinny ukazać się w książkach do końca bieżącego lub na początku przyszłego roku.

